



HISTORIA, W KTÓREJ  
NIC NIE JEST TAKIE,  
JAK SIĘ WYDAJE

KASIA BULICZ-KASPRZAK

SPRZECZNE  
SYGNAŁY

KASIA BULICZ-KASPRZAK  
SPRZECZNE  
SYGNAŁY



EDI PRESSE  
KSIĄZKI

*Książkę tę dedykuję  
Michalinie Łukomskiej*

*Teraz*

Zmierzchało. Aksamitna szarość powoli spowijała ulice miasta i coraz trudniej było cokolwiek dostrzec. Zwłaszcza tu, w starej przemysłowej dzielnicy, między dawno opuszczonymi halami zakładów tkackich.

Panującą wokół ciszę przerwał odgłos kroków. O wyłożoną kocimi łbami ulicę stukwały obcasy. Kobieta biegła. Była w połowie drogi, gdy zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Tam, gdzie spodziewała się zobaczyć wyjście, stał wysoki na ponad trzy metry mur, ozdobiony graffiti o wątpliwej wartości artystycznej. Zatrzymała się gwałtownie. Chciała zawrócić, ale z ulicy w zaułek wbiegł mężczyzna o zwalistej sylwetce, rzuciła się więc ku ścianie i oparła o nią plecami. Zaczęła nerwowo grzebać w torebce. Szminka, portfel, grzebień... Zakłęła. Wreszcie palce dotknęły metalu, trupiozimnego metalu. Wyjmująca pistolet dłoń drżała. Odbezpieczyć, przeładować. Złowieszczy zgrzyt przeciął ciszę.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła, ale na prześladowcy nie zrobiło to wrażenia. Szedł ku niej pewny siebie. Gdy wszedł w smugę światła, rzucaną przez starą latarnię, na jego twarzy, którą wrodzone okrucieństwo uczyniło niesamowicie brzydką, można było dostrzec zadowolenie. Wiedział, że ofiara już mu nie ucieknie.

– Stój! – krzyknęła ponownie. Jej głos zlał się z hukiem wystrzału.

Mężczyzna popatrzył na kobietę zdziwiony. Zrobił jeszcze trzy kroki w jej kierunku, a potem zwałił się ciężko na ziemię. Wokół ciała zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

W tej chwili w zaułek ktoś wszedł. Chłopak. Przystanął, ocenił sytuację i powoli podszedł do dziewczyny. Z zaciekawieniem patrzył na jej trzęsące się ręce.

– Zabiłam...

Leżący na ziemi jęknął głucho.

– Widać jeszcze nie. Dobij go. Inaczej będziesz musiała uciekać przez całe życie.

Kobieta gwałtownie potrząsnęła głową. Pistolet wysunął się z jej bezwładnych palców i upadł na ziemię. Wolnym krokiem ruszyła przed siebie.

Nie doszła jeszcze do ulicy, kiedy padł drugi strzał.

*Pięć lat temu*

Był to pierwszy z tych ciepłych marcowych dni, kiedy już z całą pewnością wiadomo, że zima to przeszłość. Ptaki darły się jak szalone, dając upust swojej radości życia. Cieszyły się ciepłem słońca, absolutnie lekceważąc ludzi, którzy zebrali się licznie, by oddać ostatnią posługę tak ważnej osobie, jaką był dyrektor liceum Jerzy Janicki.

Ludmiłę Janicką zdziwiło, że w takiej chwili zwraca uwagę na szczegóły otaczającego ją świata. Powinna... Co powinna? Myśleć o ojcu? Przez ostatnie lata nie robiła niczego innego i była tym zmęczona. Kiedy to zdarzyło jej się obserwować, jak topnieje śnieg, czy podziwiać żółtobrzuchą sikorkę? Można powiedzieć, że gdy ojciec skończył po długiej i nierównej walce z chorobą, ona odzyskała swoje życie.

Ukradkiem przyglądała się twarzom przybyłych. Złamana bólem matka, do której boleśnie docierało, że przyszłość taka, jak ją sobie wyobrażała, nie jest już możliwa.

Krzysztof z poważną miną, jakby rozważał, co należy teraz zrobić. Babcia z różańcem oplecionym wokół dłoni, uciekająca w religię, bo gdyby jej nie miała, ból by ją zabił. Obok babci stała, wsparta na ramieniu narzeczonego, Iza. Pod jej oczami łyzy wyżłobiły ciemne doły. Pewnie to sprawiało, że ludzie się nad nią litowali. „Biedactwo – szeptali – jest taka dzielna”.

Ludmiła z wściekłością odwróciła wzrok. Nie mogła patrzeć na siostrę. Na nikogo nie mogła patrzeć. A gdyby tak sobie pójść? Ta myśl wydała jej się bardzo kusząca. Cofnęła się o krok, w tym momencie ksiądz powiedział: „Amen” i garść ziemi spadła na wieko trumny. Ludmiła poczuła, jakby to w jej serce ktoś rzucił garścią gorących węgli. Wiedziała, że nie zniesie odgłosu kolejnych grud ziemi padających na trumnę. Na szczęście kościelny zaintonował pieśń, która wszystko zagłuszyła. Ludzie przesuwali się w kolejce, zostawiali kwiaty i opuszczali cmentarz. Potręcali Ludmiłę, przepychali i nagle znalazła się w zupełnie innej alejce, wśród obcych grobów. Stała tu ławeczka. Kobieta usiadła na niej, owijając kolana połami czarnego płaszcza i bezmyślnie gapiła się na ludzi.

– Ludmiła? – usłyszała.

Podniosła oczy. Obok niej stał pan Andrzej. Kolega ojca, przyjaciel rodziny, mentor brata. Zauważyła, że się postarzał, na brzydkiej twarzy przybyło zmarszczek. Najwięcej ich było wokół małych, wodnistych oczu, które wyglądały, jakby lada chwila miały się zapaść w bruzdy między bladymi policzkami a cienkim, długim nosem. – Co ty tu robisz, dziecko? Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

– Musiałam odpocząć.

Wyciągnął rękę. Gdyby od razu położył ją na ramieniu dziewczyny, może uznałaby to za jeden z tych gestów, którymi ludzie okazywali jej wsparcie. On się jednak zawahał. To ociąganie miało w sobie podtekst i Ludmiła instynktownie się wzdrygnęła.

– Przykro mi z powodu twojego ojca, bardzo się lubiliśmy...

– Tak, wiem. – Wstała z ławki. – Muszę już iść.

– Gdybyś chciała porozmawiać... To pomaga. – On jeden krok do przodu, ona dwa w tył. – Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Naprawdę muszę iść.

Ruszyła ku cmentarnej bramie, nawet się nie oglądając. Chciała jak najszybciej zapomnieć o tym spotkaniu.

I zapomniała. Tydzień później wyjechała na wczasy do Egiptu.

Siergiej Wolatow siedział w elegancko urządzonym gabinecie swojej podmiejskiej willi. Przed nim na biurku stał kieliszek i butelka wódki. Sięgnął po nią. Lubił dźwięk odkręcanej zakrętki. Z przyjemnością patrzył na krystaliczny płyn, wypełniający kieliszek.

– *Prosit!*

Podniósł kieliszek w toaście, a potem wylał jego zawartość na ziemię. Pokój zapachniał etanolem.

– *Da swidania!* – Następną porcję alkoholu wypił. Zapiekł w gardle, wzdrygnął się. Wolatow nie poszedł na pogrzeb. W zasadzie mógł, ale nie chciał. Wolał pożegnać się z Janickim po swojemu.

Wpadające do gabinetu słoneczne światło irytowało go. Wstał i zaciągnął zasłony. Wszystko go dziś złościło. Ten dom, ten kraj i ludzie... Najbardziej złościła go śmierć, która przysła o trzydzieści lat za późno.

*Rok temu*

Gdyby można było usłyszeć, jak pączki na drzewach pękają, powietrze wypełniałyby trzaski. Dzień był cudny, słoneczny i ciepły. Jeden z tych, kiedy chce się żyć.

Dwóch mężczyzn wspinało się na królujące nad miastem wulkaniczne wzgórze, porośnięte pięknymi drzewami i stanowiące ulubione miejsce spacerów. Rozciągał się stąd piękny widok na dolinę z płynącą środkiem rzeką. Dawno temu, w czasach swojej młodości, miasteczko przysiadło na jednym brzegu, by z czasem opanować drugi i spiąć je malowniczymi mostami i mostkami.

Dotarli do miejsca, gdzie cofający się lodowiec porzucił wielki głaz. Doprawdy, nawet gdyby szukał, nie mógłby znaleźć dla niego bardziej malowniczego miejsca. W otoczeniu młodych buków o srebrnej korze wyglądał jak z obrazu Kitty Kielland.

Starszy z mężczyzn oparł się o kamień i dyszał ciężko.

– Pamiętasz, Krzysztof, jak z twoim ojcem wbiegaliśmy na Śnieżkę? A dziś na byle pagórek wejść nie mogę.

– Nie narzekaj, Andrzej, ja też sapię.

– Bo się upasłeś. Schudłbyś trochę. Nie pasuje politykowi...

– Jaki tam ze mnie polityk, urzędnik zwykły.

– Wystarczy, że ja tak o sobie myślałem – społecznik, działacz. Pomogłem komuś, to mi wystarczyło. I co z tego mam? Starość, samotność, na leki mi brakuje...

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem. Ja... – Chciał powiedzieć, jak bardzo sobie ceni tę przyjaźń, zamilkł jednak, zamyślił się. Młody Janicki był dla Andrzeja jak syn. Trudno wyrazić słowami, ile ta relacja dla niego znaczyła. Była jedyną w życiu, która mu dobrze wyszła. Własnego ojca Andrzej nie pamiętał. Matka, och, kochał ją bardzo, to oczywiste, ale jej nadopiekuńczość utrudniała mu życie. Żona, poślubiona pod wpływem szczeniackiego zauroczenia, okazała się zupełnie inna, niż sądził. Ich spojrzenia na świat były tak odmienne, że związek nie miał szans na przetrwanie. Później, rozważając, co poszło nie tak, uświadomił sobie, że problem polegał na uporze, z jakim była żona broniła swoich racji. Wymyślił sobie wtedy taką ogrodniczą metaforę, że nie da się zmienić kształtu dorosłego drzewa, trzeba więc znaleźć młode, podatne na wpływy, które będzie można po swojemu uformować. Znalazł taką i początkowo wszystko szło dobrze. Dziewczyna go lubiła, godzinami grali w szachy, on opowiadał jej rozmaite historie, ona słuchała z uwagą. Stało się jednak coś, co sprawiło, że odsunęła się od niego...

Poczuł rękę Krzysztofa na ramieniu.

– Nie zamartwiaj się. Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy... – Widać przyjaciel uznał, że zamyślenie Andrzeja wiąże się z kłopotami finansowymi.

– Nie martwię się o pieniądze. Jest w tym mieście paru dłużników. Przyszedł na nich czas zapłaty.

Krzysztof odwrócił ku towarzyszowi twarz, a w jego spojrzeniu malowało się zaniepokojenie.

– Uważaj, żebyś sobie jakichś kłopotów nie narobił.

Andrzej chciał zażartować, że kłopoty to jego specjalność, jednak zmienił zdanie. Spojrzał na młodego przyjaciela. Już nie takiego młodego, Krzysztof zbliżał się do czterdziestki. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki, na skroni błyszczały siwe włosy. Wciąż jednak w niebieskim spojrzeniu skrzył się entuzjazm, a cała twarz, o rysach harmonijnych, zdecydowanych, męskich, wyrażała pogodę ducha. Andrzej uśmiechnął się. Jakież ten Krzys jeszcze naiwny, pomyślał. Sam też kiedyś taki był. Teraz jednak postanowił, że wszystko będzie inaczej. Niewiele czasu mu zostało i nie będzie go marnował. Dostanie to, co zechce. Nawet na dziewczynę znajdzie wreszcie sposób. Zrobi z Krzysztofa burmistrza, a sam będzie... jak to się nazywało? Sam będzie szarą eminencją.

– Kiedy w przyszłym roku wygrasz wybory, pierwszą rzeczą, którą się zajmiesz, będzie to. – Wskazał ręką dawną dzielnicę przemysłową, wyglądającą jak zgorzel na zdrowej tkance ich pięknego miasteczka.

*Pół roku temu*

To był elegancki hotelowy pokój. Wielkie podwójne łóżko, telewizor plazmowy i czekoladki na poduszkach. Ale na Magdzie nie robiło to już wrażenia. Mogli się spotykać gdziekolwiek. Przydrożny motel byłby tak samo dobry, bo to obecność Artura sprawiała, że każde miejsce było piękne i magiczne.

Przeciągnęła się na łóżku. Każda komórka jej ciała cieszyła się przeżytym właśnie orgazmem. Było tak dobrze, tak słodko, tak radośnie jak nigdy dotąd.

Odruchowo sięgnęła po kołdrę i naciągnęła ją na spocony, pokryty sinymi liniami zrostów po cesarkach, brzuch.

– Zostaw – poprosił leżący obok mężczyzna. – Lubię patrzeć na twoje ciało.

– Daj spokój, jestem stara...

Jednak on odsunął kołdrę, a potem zaczął wodzić palcem wskazującym po brzuchu i piersiach kobiety.

– Jesteś śliczna, seksowna i mądra. Jesteś najwspanialsza na świecie.

Kiedy to mówił, ona tak właśnie się czuła. To była magia.

– Zrobisz coś dla mnie? – poprosił.

– Przecież dopiero co skończyliśmy.

– Nie widzieliśmy się ponad tydzień. To dziwne, że nie mogę się tobą nasycić?

Uśmiechnęła się. Przysunęła się i zaczęła delikatnie lizać najpierw jego pierś, potem brzuch. Przesuwała się wzdłuż jego ciała coraz niżej. Mężczyzna westchnął zadowolony. Miał jej dziś powiedzieć o dziwnym SMS-ie, który dostał kilka dni temu, ale bał się, że zacznie panikować i nie będzie chciała się z nim kochać. Zresztą to pewnie czyjś głupi żart. Zapomniał o sprawie i pozwolił, by język kobiety przeniósł go do innego wymiaru.

*Miesiąc temu*

Marcin Respondek stał na parkingu przed blokiem i z przerażeniem patrzył na swój

nowiutki samochód. Ktoś gwoździem wydrapał na nim znak koperty. Zrobił to z premedytacją i tak głęboko, że Marcina bardzo zabolalo. Nowiutki, kupiony w kredycie pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, samochód! I choć Respondek był dorosłym facetem, łzy zakręciły mu się w oczach.

– Czekaaj, stary popierdoleńcu! – krzyknął w stronę bloku. – Dorwę cię!

Dobrze wiedział, kto jest za to odpowiedzialny. Konflikt zaczął się przed miesiącem, kiedy Marcin kupił nowe auto. Wracał z roboty po dwudziestej i wszystkie miejsca parkingowe pod blokiem były już zajęte. No, prawie wszystkie. Miejsce dla inwalidy było wolne. To denerwowało. Na całym osiedlu nie mieszkał ani jeden niepełnosprawny, a miejsc dla nich było osiem. Wolnych, prowokacyjnie pustych, tuż pod oknami Marcina. Zaparkował raz, potem drugi. Zawsze powtarzając sobie, że jak ktoś będzie potrzebował, to on od razu przestawi wóz. Nie przeszkadzało to nikomu poza Andrzejem Musiałem, który zaczął nasyłać na Marcina straż miejską i policję. Przyjeżdżali, pouczali, raz wypisali mandat. Nie można było mieć do nich żalu, taką mieli robotę. Do Marcina zawsze grzecznie się odnosili. Rozumieli jego problem.

Wyciągnął z kieszeni nowy telefon komórkowy i wybrał numer straży miejskiej.

– Tym razem pan Musiał posunął się za daleko! – krzyknął do słuchawki. – Proszę natychmiast przyjechać!

Strażnicy miejscy zjawili się pół godziny później. Nie mieli daleko, ale też zbyt szybko się nie śpieszyli. Marcowy poranek był wyjątkowo zimny i pewnie chcieli się najpierw napić gorącej kawy.

– O co chodzi? – zapytał jeden z nich, gramoląc się z samochodu.

– Pan zobaczy! Ten cham zniszczył mi samochód! – gorączkował się Respondek. Strażnik podrapał się w głowę i spojrzał na kolegę.

– Może to dzieciaki zrobiły? – zapytał.

– Pan raczy żartować, tak? Przecież to jasne, że zrobił to Musiał. To świr!

– Widział go pan?

– Nie. Ale to oczywiste!

Strażnicy popatrzyli na siebie. Mieli kłopot. Pan Andrzej Musiał często bywał ich nieocenionym pomocnikiem. To on zawsze wiedział, kto wywozi śmieci do lasu, a kto połamał ławki na skwerze. Ale na ogół był tylko upierdliwcem, który dzwonił za każdym razem, gdy ktoś źle zaparkował, palił na przystanku czy pozwalał psu srać na miejskim trawniku.

– Aresztujcie go! Musi mi za to zapłacić.

– Panie, my nie możemy – rzucił drugi strażnik. – Nie mamy dowodów.

– To zbierzcie jakieś odciski palców czy coś.

Jak na komendę obaj strażnicy uśmiechnęli się cynicznie.

– Co my możemy, panie Respondek? Może policja?

Marcin zmiął w ustach przekleństwo. Był wściekły. Gliniarzom nawet się tyłków z komisariatu ruszyć nie chciało do, jak to nazwali, „sprawy sąsiedzkiej”. Znikoma szkodliwość społeczna, tak powiedzieli, chuligański wybryk. Na to idą moje podatki? – Marcin zaklął w myślach.

Jeden ze strażników poklepał go po ramieniu.



– Załóż pan sprawę w sądzie o zniszczenie mienia. My, jakby co, poświadczymy, że widzieliśmy to zarysowanie.

Respondent podziękował za radę. Pewne było, że tak tego nie zostawi.

Wyświetlacz telefonu rozbłysnął na bursztynowo, a biurową ciszę wypełniły dźwięki „Marsza tureckiego”. Magda Janicka od razu rozpoznała numer. Złapała komórkę i wybiegła na korytarz.

– Chciałbym się z tobą spotkać. W Jeleniej Górze o siedemnastej, w tej kawiarence przy rynku, dobrze?

– Jasne – odpowiedziała natychmiast. Zaniepokoił ją ton głosu rozmówcy. – Coś się stało?

– Musimy porozmawiać. – Rozłączył się.

Bolesny skurcz ścisnął jej krtań. Oparła się o ścianę. Musimy porozmawiać? – to nie brzmiało zbyt dobrze. Może nie mógł rozmawiać, może ktoś z nim był? – próbowała tłumaczyć kochanka. Miała jednak przeczucie, że to, czego najbardziej się obawiała, właśnie się zdarzyło.

Była rozdygotana i potrzebowała chwili, żeby się opanować. Weszła do łazienki. Oparła dłonie o chłodną umywalkę. Popatrzyła w lustro. Zobaczyła w nim kobietę niepokojąco podobną do swojej matki. Delikatne kiedyś, dziewczęce rysy powoli się rozmywały. Wokół oczu pojawiły się zmarszczki, przy ustach głęboka bruzda. Trzy cięższe odcisnęły znak na jej ciele – nie tylko na biodrach i brzuchu, ale też na twarzy. W jej ciemnych oczach nie było już radości, zgasiło ją zmęczenie. Kąciki wąskich ust opadły i zawsze już będzie wyglądała na niezadowoloną. Kiedyś była niewątpliwie ładna, teraz już nie. Nic dziwnego, że tak to się kończy...

Nie planowała romansu. Nie była złym człowiekiem i mimo wszystko nie chciałyby skrzywdzić Krzysztofa ani dzieci. Po prostu tak wyszło. Od lat samotna, tym najgorszym rodzajem samotności, bo wśród ludzi. W licznej rodzinie męża nie było nikogo, kto okazałby jej choć odrobinę serdeczności. Teść, kiedy jeszcze żył, traktował Magdę z pobłażliwym rozbawieniem, teściowa ciągle pouczała. Najgorsza ze wszystkich była Iza. Ta jej chłodna wyniosłość, to protekcyjne traktowanie ludzi doprowadzało Magdę do szaleństwa. Spotkania rodzinne zamieniały święta w koszmar. I nagle zjawił się on. Młody, energiczny, przystojny. Po raz pierwszy od lat ktoś okazał jej zainteresowanie. Najpierw tylko rozmawiali. Uczucie spadło na nich nagle i niespodziewanie. Nie potrafiła się przed nim bronić, choć nie chciała romansu. Miłość ją porwała i uniosła do nieba. Poddał się. Nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Jednak nie była głupia, wiedziała, że pewnego dnia to się skończy.

Wróciła do biura i ciężko opadła na krzesło

– Kto dzwonił? – zapytała koleżanka.

– Klient. Mam się z nim spotkać.

Wybrała numer teściowej i poprosiła, żeby zajęła się dziećmi. „Ważne spotkanie” – tak to ujęła i matka męża nie protestowała. Potem już tylko wpatrywała się w zegarek, który z ociąganiem pchał wskazówki. Również o szesnastej wyszła z biura. Normalnie pojechałaby do domu, by pod biurową garsonkę włożyć seksowną bieliznę. Przeczucie mówiło jej, że dziś to nie będzie potrzebne.

Zjawiała się dwadzieścia minut przed czasem. Zamówiła kawę, której nie piła, i tępo patrzyła w okno. Czekwała.

Artur zjawił się pięć po piątej. Szukał jej wzrokiem, a kiedy znalazł, oczy mu nie rozbłysły. Na powitanie musnął ustami jej policzek – kolejny znak, że nie jest dobrze.

– O czym chciałeś porozmawiać? – zapytała. Już wystarczająco długo czekała na wyrok.

– Nie chciałem ci tego mówić, nie chciałem cię martwić, ale... musimy przestać się widywać.

Ciszę kawiarni wypełnił brzdęk tłuczonego serca. A może była to filiżanka z kawą, którą strąciła?

– Przepraszam – wyszeptała, głos odmawiał posłuszeństwa. – Jasne. Rozumiem. Byłam na to przygotowana od początku.

– O czym ty mówisz?

– Artur, ja rozumiem i nie mam pretensji. Jesteś młody, przystojny, a ja stara...

Jego dłoń spoczęła na jej ręce. Magda poczuła, że kochanek usiłuje spojrzeć jej w oczy, więc odwróciła głowę. Nie chciała, by zobaczył łzy.

– Nigdy nie uważałem, że jesteś stara. Jesteś wspaniałą kobietą...

Wstała. Pociągnął ją za rękę.

– Usiądź – poprosił łagodnie. – Porozmawiajmy...

Odpowiedziała, że nie ma sensu. Po co przedłużać męki? Niech to już się skończy. Niech powie, że z nią zrywa.

– Powiedz, że ze mną zrywasz, i miejmy to za sobą.

W jego oczach malowało się zdziwienie i rozbawienie.

– Skąd pomyśł, że z tobą zrywam?

– Powiedziałeś, że musimy przestać się widywać.

– Na jakiś czas. – Delikatnym pociągnięciem za rękaw zmusił ją, by usiadła. – Nie chciałem ci o tym mówić, bo chciałem cię chronić. – Włączył telefon i przesunął go w stronę Magdy. – Czytaj.

Przebiegła wzrokiem po treści SMS-a. W miarę jak czytała, jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

– Rozumiesz teraz?

– Ale kto?...

– Pojęcia nie mam – skłamał. Miał pewne podejrzenia, ale tego jej mówić nie chciał. – Jak mogłaś pomyśleć, że z tobą zrywam?

W głowie Magdy się kotłowało. Przed chwilą myślała, że kochanek chce rozstania, teraz dowiedziała się, że ktoś groził Arturowi ujawnieniem ich tajemnicy.

– Co zrobimy?

– Coś wymyślę. Chciałbym trzymać cię od tego z daleka. Przez jakiś czas nie będziemy się spotykać. Przez jakiś czas – podkreślił. – Kocham cię i będę chronił.

Skinęła głową. Po raz pierwszy pomyślała, że za grzech przyjdzie odpokutować.

Barbara Janicka odłożyła telefon na stolik w przedpokoju. Jej twarz rozjaśniał uśmiech tak promienny, jakby przed chwilą była świadkiem zwiastowania.

Ludmiła przyglądała się matce zaintrygowana.

– Kto dzwonił? – zapytała.

– Iza. I wyobraź sobie – na moment zawiesiła głos, żeby wywołać napięcie – przyjeżdża! Za tydzień, może dwa. Ma kilka spraw do załatwienia, a gdy się z nimi upora, przyjdzie. Czyż to nie wspaniale?!

I po co, durna, pytałam? Ludmiła odwróciła głowę, żeby matka nie mogła zobaczyć jej twarzy. Uczucia, jakie wzbudziła w niej wieść o przyjeździe siostry, do pozytywnych nie należały.

– Czyż to nie wspaniale?!

– Tak, super. To świetnie dla ciebie, mamo.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Barbara chyba nie wyczuła sarkazmu w głosie córki. – Tak za nią tęsknię. Wybacz, pójdę powiedzieć babci.

Ludmiła skinęła głową. Poczekala, aż drzwi za matką się zamknęły, i wtedy uderzyła pięścią w ścianę.

Siergiej Wolatow długo wpatrywał się w wyświetlacz telefonu, zanim zdecydował się odebrać.

– No co tam? – zapytał.

– Z sondażu wynika, że ten fiut ma większe poparcie.

– Tak i bywa – rzucił filozoficznie.

– Ty mi, Siergiuszka, nie pierdziel. Siedzimy w tym gównie razem. Nie. Ty siedzisz nawet głębiej niż ja. Marzy ci się wizyta prawdziwych urzędników w tej twojej cegielni? To mogłoby być nawet zabawne. – W słuchawce zatrzeszczał nerwowy śmiech.

Siergiej splunął na ziemię. Potem czubkiem buta roztarł plwocinę.

– Jakież sugestie? – zapytał.

– Powiedzmy, że mam pomysł. Wiem, jak pozyskać pewne... – chichot – nazwijmy to, dokumenty...

– Durak! – krzyknął Siergiej. – Nie przez telefon. Jutro wieczorem, tam gdzie zawsze.

*Dwa tygodnie temu*

Czerwona mazda Ludmiły Janickiej zaparkowała sto metrów od dworca kolejowego, po tej stronie, gdzie chodnik wyłożony był kocimi łbami. Dziewczyna wysiadła z samochodu i nieśpiesznie ruszyła w kierunku stacji.

Budynek dworca pochodził z czasów, gdy dynamicznie rozwijająca się kolej niemiecka docierała do każdej miejscowości. Dowodził, że funkcja użytkowa nie musi być powodem brzydoty. Łuki, zdobienia, kolumny i wielkie okna poczekalni, dzięki którym można było obserwować, co dzieje się na peronie. W hallu było przestronnie, a płytki, którymi wyłożono podłogę, przetrwały ponad sto lat.

Ludmiła lubiła to miejsce. Kojarzyło jej się z wyjazdami, a w jej przypadku opuszczanie domu było nader przyjemne. Nie to, żeby nie lubiła swojej rodziny. Po prostu czuła, że do nich nie pasuje – jak czarna owca w stadzie. Rzucam się w oczy – pomyślała. Nie powinna była wracać, ale cztery lata temu wydawało się to jedynym rozwiązaniem.

Weszła na peron. Pociąg z Wrocławia, którym miała przyjechać Iza, był opóźniony. Ludmiła przysiadła na jednej z drewnianych ławek. Oprócz niej na peronie nie było

nikogo. Czasy, kiedy pociągi stanowiły podstawowy środek komunikacji, dawno się skończyły.

Głos w megafonie zachrypiał skrzekliwie. W oddali zahuczało, zagwizdało i po chwili na peron wtoczyła się lokomotywa, ciągnąc zdezelowane zielone wagony. W oknie jednego z nich Ludmiła dostrzegła swoją podobiznę, ale nie była pewna, czy szyba, jak lustro, odbiła jej twarz, czy to była Iza.

Pociąg zahamował z nieprzyjemnym zgrzytem. Drzwi zaczęły się otwierać. Ludmiła nie ruszyła się z miejsca. Spokojnie obserwowała, jak młody mężczyzna wynosi z wagonu walizkę, tak wielką, że można by w niej zmieścić słonia. Otarł pot z czoła i wspiął się na schodki, by pomóc wsiąść kobiecie, którą Ludmiła doskonale знаła.

– No kurwa mać! – zaklęła z nerwów. – Wygląda jak mój klon!

Iza wylewnie podziękowała ostatniemu z żyjących gentlemanów, po czym omiółwszy peron wzrokiem, energicznie pomachała ręką. Dopiero wtedy Ludmiła z ociąganiem wstała i podeszła do siostry.

– Co to ma znaczyć? – zapytała, dodając w myślach kilka wulgaryzmów.

– Tak mnie witasz?

– Przepraszam bardzo, że uraziłam, ale – oskarżycielsko wymierzyła palec w nową fryzurę Izy – Sama rozumiesz, trochę jestem zdziwiona.

– Postanowiłam coś zmienić.

– Ta zmiana polega na tym, że staniesz się mną?

– Przypadek – Iza zbagatelizowała sprawę.

– Jutro pójdziesz do fryzjera – zażądała Ludmiła. – Tam zaparkowałam. – Wskazała ręką i bez słowa ruszyła przed siebie.

Ludmiła Janicka była idealnego wzrostu – metr siedemdziesiąt. Tyle właśnie potrzeba, żeby wyglądać na wysoką w sportowych butach, a jednocześnie nie musieć się ograniczać, wybierając szpilki. Smukła i zgrabna. Miała energiczne, niemal kocie ruchy. Patrzyło się na nią z przyjemnością. Twarz okrągła, proporcjonalna. Mocno podkreślone ciemnym tuszem rzęsy stanowiły idealną oprawę dla dużych, błękitnych oczu. Naturalne brwi były trochę asymetryczne, dlatego wiele wagi przykładła do ich wyskubywania. Lekko zadarty nos spędzał jej sen z oczu, kiedy była nastolatką. Jednak wbrew wielokrotnie składanym sobie obietnicom nie zdecydowała się na operację plastyczną. Od liceum ścinała włosy na krótko i farbowała na wszelkie możliwe kolory – od głębokiej czerni po jasny róż. Dwa lata temu zdecydowała się nieznacznie je zapuścić. Nosila teraz boba w naturalnym blond kolorze.

Iza Janicka niewiele się od siostry różniła. Była dwa centymetry niższa i może dwa kilo grubsza, co wynikało z jej naturalnej powolności. Na tęczówce prawego oka miała małą brązową plamkę. Lewy kącik ust lekko opadał. Iza zawsze nosiła długie włosy związane w koński ogon. Była bardzo dumna z ich naturalnego pszenicznego koloru, dlatego nigdy ich nie farbowała. Teraz, chcąc je uchronić przed zniszczeniami, które mogłaby spowodować ciąża, zdecydowała się na ścięcie. Bob wydawał się najpraktyczniejszym rozwiązaniem.

Kiedy siostry stały obok siebie, wnikliwy obserwator mógł wskazać różniące je detale. Była to jednak trudna sztuka. Tak to już bywa z bliźniętami jednojajowymi –

trudno je było od siebie odróżnić.

– Mogłabyś mi pomóc? Ta walizka jest strasznie ciężka.

– Trzeba było pomyśleć, kiedy się pakowałaś.

Iza westchnęła, jakby chciała dać do zrozumienia, że właśnie takiego powitania spodziewała się po siostrze. Od lat nie układało się między nimi najlepiej. A przecież były już dorosłe i należało wreszcie skończyć tę dziecinadę.

Szarpnęła walizkę, ale małe kółka nie chciały się toczyć po bruku. Jeszcze raz ciężko westchnęła. Ludmiła jednak nie zareagowała.

– Mogłabyś tu podjechać samochodem? Naprawdę nie daję rady. Proszę.

Nie magiczne słowo, ale coś w twarzy Izy sprawiło, że Ludmiła zmiękła. Znała ten wyraz. Sama taki miała, gdy...

– Jesteś w ciąży?

Iza zdrętwiała.

– Jesteś w ciąży.

– Nie mów nikomu.

– Bo co? To jakaś tajemnica?

– Jest za wcześnie, żeby o tym mówić – wytłumaczyła Iza, jednak Ludmiła zbyt dobrze znała siostrę, żeby nie słyszeć w tych słowach kłamstwa.

– Przecież zawsze chciałaś dziecka – drążyła.

– Chciałam. Tylko, że teraz... Wiele rzeczy się zmieniło i nie wiem już, czego chcę. I nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

– Przecież my w ogóle ze sobą nie rozmawiamy – zauważyła Ludmiła, a chwilę później jej czerwona mazda zatrzymała się na wysokości Izy.

– Zapakować też mi nie pomożesz? Nawet jak obiecuję, że pójde do fryzjera?

Ludmiła wysiadła z samochodu i sapiąc, władowała walizkę do bagażnika.

– Trzymam cię za słowo – powiedziała.

Iza skinęła głową.

W sklepie nie było dużego ruchu. Kręciło się tylko kilkoro „zwiedzających”, jak ich tu nazywano. Wchodzili, rozglądali się, dyskutowali, porównywali, ale nie kupowali nic. Marcin szybko nauczył się odróżniać ich od potencjalnych klientów, do których należało podejść z uprzejmym: „W czym mogę pomóc?”. Zwiedzających takie słowa od razu płoszyły, wychodzili ze sklepu, a tak być nie powinno. Raz, że pusty sklep odstrasza, dwa, że zawsze była nadzieja, że kupią w końcu choć paczkę baterii albo film z przeceny.

Mały ruch na ogół martwił Marcina. Dziś było jednak inaczej. Nie chciał z nikim rozmawiać. Chodził po sklepie wte i wewte, chaotycznie. Strącił z półki pudełko z suszarką, wpadł na klientkę, którą potem wylewnie przeproszał.

– Respondek, do mnie! – huknął szef z zaplecza. – Co się z tobą dzisiaj dzieje? – zapytał, kiedy Marcin stanął w drzwiach.

– Przepraszam.

– Weź się, chłopie, ogarnij!

– Dobrze... Przepraszam... – Głos mu drżał.

Przełożony spojrzął na niego, jakby podejrzewał, że chłopak kosztował czegoś mocniejszego. Podszedł bliżej i pociągnął nosem. Niczego nie wyczuł.

– Co cię gryzie? – zapytał łagodnie.

Z Respondka jakby powietrze zeszło. Zupełnie oklapł.

– Pamięta szef tego faceta, co mi auto porysował? To jakiś świr totalny. Byłem u ubezpieczyciela, ale nie dadzą kasy bez wskazania winnego. To poszedłem, żeby pogadać jak człowiek z człowiekiem. Niech się przyzna.

– Nie zgodził się. – Szef życie znał.

– Na dodatek jakieś takie bzdury wygadywał. Że ja mu zapłacę, że wszyscy zapłacą. Odbiło mu.

– Widzisz, synu, tak się dzieje, jak człowiek zamiast wziąć się do uczciwej roboty, podejmuje działania pozorowane. Jakies prace społeczne, działalność kulturalno-oświatowa. Jedna wielka bzdura. Dlatego robotę szanuj. Wróć na sklep, do klientów się uśmiechaj, sprzedaj choć żelazko. – Szef poklepał chłopaka po plecach, ewidentnie zadowolony z tej krótkiej gadki dydaktycznej. – A tym gościem się nie przejmuj.

Marcin grzecznie podziękował i przeprosił za swoje wcześniejsze zachowanie. Bo co racja, to racja – robotę trzeba szanować. Wychodząc, mruknął pod nosem:

– On mnie popamięta.

W cieniu garażu podmiejskiej willi stało dwóch mężczyzn. Starszy z nich, Siergiej Wolatow, wyglądał na sześćdziesiąt lat, choć miał mniej. Ciemne włosy dawno przyprószyła siwizna. Nadawało mu to majestatycznego dostojęstwa. Siatka zmarszczek mimicznych, która oplatała usta, świadczyła o tym, że nawykł do wydawania rozkazów i że jest w nim pewne okrucieństwo. Drugi, nieco młodszy i niższy, miał lisią twarz i chytre, rozbiegane oczka. Obaj ubrani byli w eleganckie, szyte na miarę garnitury. Rozmawiali szeptem.

We wnętrznościach zaparkowanego najnowszego modelu BMW, auta, które zwykli ludzie widują na okładkach magazynów motoryzacyjnych, z zapalem grzebał chłopak. Nie wykazywał zainteresowania toczącą się tuż obok rozmową. Na zydlu pod ścianą, beznamiętnie przerzucając strony pisemka dla mężczyzn, siedział zwalisty czterdziestolatek o twarzy odstręczającej jak siedem grzechów głównych. Jakby mało było na niej dziur po ospie, to jeszcze przez policzek biegła głęboka, sina blizna.

– Miska – zwrócił się do mechanika Siergiej – robotę będziesz miał. Trzeba przesyłkę dostarczyć.

– Gówniarza chcesz posłać? – zdziwił się wchodzący za Wolatowem mężczyzna o lisiej mordzie. – Czemu nie tamten? – Wskazał amatora fotografii artystycznej.

– Wysłać Iwana, to jak podpis złożyć. No popatrz na tę mordeczkę. Zobacysz taką raz, a już do końca życia będzie ci się przypominać w koszmarach. – I Siergiej kiwnął na Miskę, żeby do nich podszedł. A potem powoli wytłumaczył mu co i jak.

– Zapamiętałeś wszystko? – zapytał chłopaka ten z lisią mordą.

– Jasne. Jak wszyscy wyjdą, zacynam działać. Wkładam klucz do zamka, wprowadzam kod jeden dwa trzy cztery, wchodzę na pierwsze piętro, pokój sto dwa, i kładę tę kopertę na biurku. Bułka z masłem.

– Na monitoring uważaj. Na ulicy jest kamera, przy tym sklepie naprzeciwko. Na nagraniach gówno widać, ale na wszelki wypadek nie gap się, tylko łeb nisko trzymaj. W urzędzie tak się nieszczęśliwie złożyło, że dzień wcześniej ktoś wyłączył urządzenie

rejestrujące od monitoringu i do tej pory tego nie zauważono. Chyba, że zauważono, pewności nie mam. Na wszelki wypadek staraj się wyglądać jak petent, który coś zgubił, a teraz szuka. Nie chcę kłopotów, jasne?

Wręczył Miszce szarą kopertę. Drugą taką samą podał szefowi, mówiąc, że to kopia bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– A dlaczego coś miałyby pójść nie tak? – Szef się uśmiechnął. – Ty jesteś zuch chłopak, co nie, Miszka?

Chłopak kiwnął głową. Zachowanie lisiej mordy wcale mu się nie podobało. Był arogancki i wredny. Ale szef mówił, że to tylko klient i coś tam po łacinie „non olet”, co znaczyło, że kasa jest zawsze dobra.

– No to zjeżdżaj, Miszka, i załatw sprawę – odezwał się Wolatow. – I ubierz się jakoś porządnie, bo wyglądasz jak mechanik.

Wszyscy trzej zarechotali.

*Dwanaście dni temu*

Krzysztof Janicki stał przy otwartej szafie w sypialni i zastanawiał się, który krawat powinien założyć. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę to drobiazg, ale nagle nabrał on wielkiej wagi. Janicki czuł się zablokowany. Przez otwarte drzwi popatrzył na salon, gdzie na kanapie leżała przyczyna wszystkiego złego, co się ostatnio działo w jego małżeństwie – żona. Nie żyli ze sobą najlepiej, ale jeszcze do niedawna potrafili się dogadać, dla dobra dzieci i jego kariery. Jakiś czas temu coś się zmieniło. Madzia bez powodu wybuchała albo złością, albo płaczem. Potem apatycznie opadała na kanapę i potrafiła tak leżeć godzinami. Nic jej nie obchodziło. Próbował z nią rozmawiać, ale tylko pogorszył sprawę. Jeśli to potrwa dłużej, myślał, odbije się na wyniku wyborów.

W salonie zadzwieczał telefon. „Marsz turecki”. Z narastającą irytacją czekał, aż żona odbierze.

– Madziu, twój telefon dzwoni – ponaglił. Wreszcie odebrała. Usłyszał kilka słów, których nie zrozumiał, a po chwili żona weszła do sypialni.

– Czerwony – zawyrokowała. – Znamionuje pewność siebie, poza tym ładnie ci w nim.

Odwiesił pozostałe krawaty i pozwolił, by pomogła mu z wiązaniem.

– Kto to był?

– Koleżanka – rzuciła lekko. W kącikach jej ust błąkał się uśmiech.

– Widzę, że poprawiła ci humor?

– Co? A tak. Wiesz, chyba muszę z kimś pogadać. Ostatnio byłam okropna. To przez te wybory, denerwuję się. Nie masz nic przeciwko temu, że zawiozę dzieci do twojej mamy i wyskoczę z dziewczynami?

– Nie. To świetny pomysł. – Było mu głupio. Miał do niej pretensje, ale nie przyszło mu do głowy, że ona może się stresować nie mniej niż on. – Baw się dobrze. – Pocałował ją w policzek.

Madzia ruszyła do łazienki, nucąc pod nosem.

– Muszę się wyszykować! – rzuciła głośniej, przekrzykując szum wody. – Nie chcę, żeby mówili, że burmistrzowa o sobie nie dba!

– Jasne, ja już muszę iść.

Magda odczekała, aż kroki Krzysztofa na schodach ucichną, i wróciła do sypialni. Chwilę szperała w szufladzie z bielizną. Różowy stanik? Romantycznie. Artur go lubił. Nagle coś sobie przypomniała. Gorączkowo przetrząsnęła szufladę. Nie ma. Zajrzała do szafy. Na jednej z półek leżało pudełko z kompletem bielizny, którą podarował jej Krzysztof w czasach, gdy uważali, że należy podejmować wszelkie próby ratowania ich małżeństwa. Ponieważ krótko potem okazało się, że jest w ciąży, nigdy jej nie włożyła.

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Stanik był ciut za mały. Nie miało to jednak znaczenia, bo efekt był powalający – dwie cudownie okrągłe piersi wyglądały prowokacyjnie pod czerwoną koronką. Wyobraziła sobie, jak Artur wsuwa język w rowek między nimi i aż przeszedł ją dreszcz.

Ubrała się szybko, dbając o każdy szczegół. Przeciągnęła rzęsy tuszem. Spacyfikowała dzieci. Kubuś i Antoś chętnie jeździli do babci, ale Emilka się buntowała: mogę zostać w domu, jestem już prawie dorosła. Nastolatka! Magda wyjaśniła jej, że sprawa nie podlega dyskusji. Zapakowała potomstwo do samochodu i dwadzieścia minut później zadzwoniła do drzwi teściowej.

Barbara Janicka wyglądała na lekko zdziwioną.

– Chcesz, żeby zostały na noc?

– Krzysztof ma spotkanie z wyborcami – tłumaczyła Magda, wpychając dzieci do środka. – Nie wiadomo, kiedy wróci i – ściszyła głos – w jakim będzie stanie. Dzieci i tak mają sporo stresu w związku z jego... karierą.

Teściowa przyznała jej rację i zaprosiła do środka, ale Magda odmówiła.

– Mam spotkanie – powiedziała. – Potem wrócę do domu i będę czekać na Krzysia. Dzwon, jeśli zajdzie potrzeba.

Wiedziała, że teściowa nie zadzwoni. Wsiadła do samochodu i wyłączyła komórkę.

Miszka spojrzął na zegarek. Już czas. Wsiadł do BMW, na siedzeniu obok położył owiniętą w folię kopertę. To żeby nie było odcisków palców. Niczego nie dotykać gołymi łapami – przypomniał sobie słowa szefa. Wątpliwe, żeby adresat przesyłki chciał kontaktować się z policją, ale nie można było tego wykluczyć.

Był ciekaw, co jest w kopercie, i kiedy tylko został sam w garażu, ostrożnie zajrzał do środka. Poczł rozczarowanie, ale dla adresata to pewnie będzie miało jakieś znaczenie. „U nas na VK wrzucają lepsze zdjęcia” – pomyślał. Ogarnęła go nostalgia i poczuł, że on, Miszka, powinien pokazać tym nudnym ludziom odrobinę zadziornej fantazji. Sięgnął do schowka, gdzie miał czarne okulary z logo Raybana. Szperał chwilę. Mapa, jakieś kable, masa paragonów z McDonalda. Nagle pod palcami wyczuł metal. Nagan? Skąd tu nagan? Obejrzał. Prawdziwy pistolet, pełny magazynek. Pewnie Iwan go tu zostawił. Odruchowo wsunął broń za pasek spodni i przykrył koszulą. Odszukał okulary. Okazało się, że prawie nic w nich nie widzi, więc podniósł je. W kieszeni miał skręta. Zapalił. Fajek nigdy w aucie nie palił, śmierdziało, wonny dym skuna to co innego.

Spojrzał na swoje odbicie w lusterku.

– *Nu, da*, teraz nie jak mechanik, teraz jak gangster.

Ostatni opuszczający urząd miasta pracownicy nie zwrócili uwagi na wchodzącego mężczyznę. Ten nie wyglądał na spóźnionego petenta. Pewnym krokiem wszedł na



schody. Był tu stałym gościem. Schody i korytarz miały słabe oświetlenie; o szesnastej trzydzieści automatycznie wyłączały się górne światła, a włączały lampki ledowe, bo taka była polityka energetycznej oszczędności Ratusza. Na piętrze, prawie na samym końcu korytarza, jedne uchylone drzwi zapraszały, żeby wejść do pokoju.

– No witaj, witaj! Myślałem, że już nie przyjdiesz. Siadaj. Napijesz się czegoś?

– Nie wolno mi.

– A komu wolno? Malutki kieliszek, za przyszłość naszego miasta. Parę spraw chciałem z tobą omówić.

– Nie możemy na tym spotkaniu z przedsiębiorcami? Wybieram się tam.

– Nie daliby nam, bo zawsze ktoś będzie miał coś do załatwienia. Teraz sobie tak na spokojnie pogadamy. – Podniósł kieliszek. – Na zdrowie.

Szkło brzdęknęło.

Trwająca kilka lat rewitalizacja rynku zakończyła się jesienią. Ostatnią z remontowanych kamienic był Domek Zegarmistrzowski, piętrowa kamieniczka położona w centralnej części wschodniej pierzei. Podania mówiły, że mieściła się tam siedziba wolnomularzy, ale historycy tego nie potwierdzali. Budynek wyremontowano, a jego front ozdobiono tablicą pamiątkową i pięknym zegarem. Wskazywał dokładnie siedemnastą, kiedy z urzędu miasta ktoś wyszedł. Przeszedł dwadzieścia metrów ulicą, po czym wsiadł do samochodu. Otarł pot z czoła. Włożył kluczyki do stacyjki i odjechał.

Na biurku przed Ludmiłą Janicką wciąż leżał spory plik dokumentów. Westchnęła. Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Pracownikiem urzędu miasta została dopiero trzy miesiące temu. Nie było tajemnicą, że dostała tę posadę dzięki protekcji brata – zastępcy burmistrza. A to oznaczało, że musiała się starać. Niechętnie przysunęła do siebie papieryska i zaczęła je segregować. Co jakiś czas spoglądała w okno. Widoczny nad dachem stojącej naprzeciwko kamienicy skrawek nieba ciemniał coraz bardziej.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Przestraszona aż podskoczyła na krześle.

– Proszę – rzuciła niepewnie.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich pan Kazio, woźny.

– Pani Ludwika kończy już, bo ja chcę pozamykać i iść do domu.

Ludmiła sapnęła. Nie cierpiała, kiedy woźny przekręcał jej imię. Na początku ciągle go poprawiała: „Mam na imię Ludmiła. Tak, takie imię istnieje” – mówiła. Nie przynosiło to jednak rezultatów i w końcu dała sobie spokój. Tak to jest, kiedy rodzice planują jedno dziecko, a dostają dwupak. Wariują z nadmiaru szczęścia i nadają bonusowi jakieś durne, ruskie imię.

– Ja też chcę iść do domu, panie Kaziu. Tylko najpierw muszę to skończyć. – Wzrokiem wskazała papiery przed sobą.

Woźny zmarkotniał.

– Toż to jeszcze godzina roboty. A ja serial mam.

Ludmiła pomyślała, że ma zdecydowanie zbyt dobre serce.

– Proszę zostawić klucze, pozamykam – powiedziała i wróciła do dokumentów. Też chciałaby iść do domu. I to nie na jakiś głupi serial, tylko do dziecka.

Pan Kazio położył pęk kluczy na biurku i wyszedł, żegnając się wylewnie.

Krzysztof Janicki siedział w sali konferencyjnej hotelu Zagórze i się denerwował.

Nawet wypita przed chwilą duża whisky nie pomogła. Od jakiegoś czasu wszystko szło źle. Nie, nie od jakiegoś czasu. W jego życiu zaczęło się chrzanić w momencie, kiedy postanowił się ubiegać o stanowisko burmistrza. Ta decyzja nikomu się nie podobała. A przecież było to naturalne zwieńczenie jego wieloletniej kariery. Piętnaście lat pracy społecznej. Najpierw w radzie miejskiej, przez cztery ostatnie na stanowisku zastępcy burmistrza. Miał pomysły, widział w ich małym miasteczku wielki potencjał. Tymczasem wszyscy jakby się przeciw niemu zmówili – koledzy z pracy, żona, matka – nie było nikogo, kto nie wyrażałby swojego sceptycyzmu. Nikogo, poza Andrzejem. Szkoda tylko, że ostatnimi czasy przyjaciel zaczął się dziwnie zachowywać. Może to choroba, a może dopadła go starość.

No, ale trudno. Przejdzie przez to sam. Za pół godziny miał się spotkać z lokalnymi przedsiębiorcami. Przyszedł wcześniej, żeby przejrzeć materiały. Rozejrzał się za teczką, ale nigdzie jej nie było. Pewnie zostawił ją przy barze albo w samochodzie. Podniósł się i ruszył do wyjścia. W drzwiach zderzył się z wchodzącym właśnie burmistrzem.

– Dobry wieczór, Krzysztofie. Już wychodzisz? – zapytał ze śmiechem. Jego pociągła twarz wydłużyła się przez to jeszcze bardziej.

– Tylko do samochodu. Ze zdenerwowania zapomniałem prezentacji – wyznał Janicki szczerze.

– Ty się, chłopie, nie denerwuj, wiedz, że jestem tu, żeby cię wspierać. To przecież nie jest tak, że walczymy przeciwko sobie. Walczymy dla dobra miasta, co nie?

Krzysztof skinął głową i po przyjacielsku klepnął burmistrza w ramię. To właśnie była polityka. Pomimo zapewnień o przyjaźni, nienawidzili się jak psy.

Michaił Iwanowicz Serafin, zwany przez przyjaciół Miską, stał w bramie budynku naprzeciwko urzędu miasta. W rękę trzymał szarą kopertę, która już dawno powinna się znajdować na biurku w pokoju sto dwa. Nie leżała tam tylko dlatego, że w oknach na parterze ciągle paliło się światło. Ktoś tam był. Widać było kobietą postać pochyloną nad biurkiem. Miska sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę, w której zostały dwa ostatnie papierosy. Zapalił. Wciągnął głęboko do płuc aromatyczny dym. Polskie szlugi były dużo lepsze niż to gówno, które palił w Rosji. Wszystko tu było lepsze, tylko robota ta sama. Kogoś trzeba było postraszyć, komuś obić facjatę, coś ukraść, coś podrzucić. Miska marzył o wyjeździe do Ameryki. Mógłby robić w warsztacie samochodowym, bo miał do tego smykałkę. W soboty chodziłby na mecze bejsbolu albo razem z sąsiadami urządzaliby barbecue. To byłoby dobre życie. A tak... szkoda gadać. W Moskwie narobił sobie kłopotów. To przez to, że bywał zbyt spontaniczny. Ta robota potrzebowała ludzi opanowanych, którzy nie wykazują własnej inicjatywy. Dobrze, że szef Miskę lubił.

„Pojedziesz – powiedział – do Polski. Przyjaciel mój robi tam interesy. Przyda mu się obrotny *maladiec*”.

I tylko dzięki temu Michaił nie został karmą dla jesiotrów i mógł teraz palić papierosa w bramie, czekając, aż ta *sucz* w końcu pójdzie do domu.

Krzysztof Janicki klął na czym świat stoi. Teczki z prezentacją nie było ani przy barze, ani w samochodzie. Wyglądało na to, że zostawił ją w pracy. Choć było późno, miał nadzieję, że kogoś tam jeszcze zastanie, ale telefon urzędu miasta zabawiał go, grając w kółko pierwsze takty „Yesterday”. Wybrał więc numer swojego asystenta, ale

beznamiętny głos automatu poinformował go, że abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem.

– Właśnie teraz, kiedy go potrzebuję?!

Przyszło mu do głowy, że może poprosi o pomoc żonę, ale jej telefon też nie odpowiadał. Nic dziwnego, siedzi z koleżankami w jakiejś knajpie, chce poplotkować i wyłączyła komórkę. Nie miał pretensji. Jej też należało się trochę rozrywki. Została mu tylko Ludmiła. Westchnął. Lubił siostrę jak nikt, wspierał, załatwił pracę. Ale wiadomo, jaka była Ludmiła. Katastrofa to jej drugie imię. Zawsze w coś się wplątała, nie potrafiła niczego doprowadzić do końca.

Palcem przesunął po ekranie nowego, superbajeranckiego telefonu. Prezent od Madzi. Najdroższy, jaki mu kiedykolwiek dała. Jakby chciała mu coś wynagrodzić. Może lata nudnych krawatów i praktycznych skarpetek? Krzysztof udawał zachwyconego drogim podarunkiem, choć nie do końca był. Urządzenie trochę go przerażało, bo nie potrafił go sprawnie obsługiwać. Bez okularów nie widział wyraźnie numerów, na szczęście były zdjęcia. Gdy na wyświetlaczu mignęła uśmiechnięta twarz siostry, pacnął w nią palcem, żeby uzyskać połączenie.

– Halo!

– Słuchaj, Ludmiła...

– Nie Ludmiła.

– Nie wygłupiaj się, dobrze?

– Piłeś?

– Jednego, może dwa.

– No! To wszystko tłumaczy.

– Nie przesadzaj, nic mi nie jest. Tylko zostawiłem w biurze dokumenty. Taka szara teczka. Możesz mi je przywieźć? Jestem w hotelu Zagórze i zaraz mam spotkanie z przedsiębiorcami. To ważne.

– Dobrze – padła odpowiedź.

Ludmiła podeszła do szafy na dokumenty i, wpinając do segregatora ostatni już plik kartek, spojrzała za okno.

Masz szczęście, że Kazio poszedł do domu – powiedziała w myślach do chłopaka, który po drugiej stronie ulicy rzucił na chodnik peta. – Dałby ci on popalić.

Woźny miał bzika na punkcie porządku nie tylko w urzędzie, ale też wokół niego. Łatwo nie było, bo władze miasta urzędowały obecnie w budynku będącym plombą, którą wstawiono w ciąg kamienic przy ulicy Brackiej.

Popatrzyła na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Zebrała swoje rzeczy i wyszła z pokoju. Zlustrowała korytarz, sprawdziła, czy gdzieś nie pali się światło, po czym energicznie ruszyła do tylnych drzwi. Przekręciła klucz, wstukwała ściśle tajny kod do alarmu i ruszyła w boczną uliczkę, gdzie stała zaparkowana czerwona mazda.

O renesansowych architektach, którzy tworzyli plany miasta, Ludmiła mogła powiedzieć jedno – zabrakło im wyobraźni. Kamieniczki śliczne, to fakt, ale ulice były za wąskie, bo gdy powstawały, nikt nawet by nie pomyślał, że w przyszłości ludzie będą się przemieszczać nie tylko pieszo. Dlatego miejsc parkingowych było tyle, co kot napłakał.

Była w połowie drogi do domu, kiedy zadzwieczyła jej komórka. Wygrzebała ją

z torebki jedną ręką i popatrzyła na wyświetlacz. Ustawiała w awatach członków rodziny postacie z kreskówek Disneya, żeby jej córka wiedziała, kiedy, bawiąc się telefonem matki, może odebrać. Na ogół oglądała uśmiechniętą mordkę Timona, informującą, że dzwoni Krzysztof. Bratu dostała się chuda surykatka, bo był do niej podobny, a jego żonie – z czystej złośliwości – guziec. Tym razem patrzyła na twarzyczkę Śnieżki – najbardziej irytującej z pięknych księżniczek. Tej, która zamiotła pod dywan cały syf swojego życia i udawała, że jest bez skazy. Ludmiła pomyślała, że naprawdę nie lubi swojej siostry.

– Halo – rzuciła chłodno do słuchawki.

– Gdzie jesteś?

– W samochodzie.

– Musisz coś zrobić.

Ludmiła wzniosła oczy ku niebu w niemej skardze.

– Tak?

– Dzwonił Krzysztof. Chyba się pomylił. Mówił o jakichś dokumentach w gabinecie. Rozumiesz coś...

W tej chwili telefon, który barkiem dociskała do ucha, przesunął się i Ludmiła nie usłyszała ostatnich słów. Zakląła, poprawiła telefon, nerwowo się rozejrzała, czy gdzieś nie czają się policjanci, chętni obdarowywać punktami karnymi.

– Dlaczego dzwonił z tym do ciebie?

– Chyba nie jest trzeźwy.

Ludmiła westchnęła.

– Okej. Załatwię to.

Brzydkimi słowami wyrażając irytację, zaczęła się rozglądać za miejscem, gdzie mogłaby spokojnie zawrócić. Nie była dobrym kierowcą. Mało było rzeczy, w których była dobra. Kiedyś mogła powiedzieć, że jest świetna w łóżku, ale nie była tam z żadnym facetem od ponad dwóch lat. W samotne wieczory czuła, jak jej miejsca intymne pokrywa rdza.

Michał wszedł do budynku urzędu miasta. Począł chwilę, aż oczy przywykną do ciemności. Jak to miało być? Po lewej schody na górę, trzecie drzwi na prawo – przypominał sobie wskazówki, których udzielił mu ten z lisią mordą. Przystanął na chwilę i poświecił sobie telefonem, żeby upewnić się, że wchodzi do właściwego pomieszczenia. Znalazł klucz i włożył go do zamka, ale ten nie chciał zaskoczyć. Miska odruchowo nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Wszedł, zanim zdał sobie sprawę, że nie powinien był tego robić.

– Jest tu kto? – zapytał. Cisza. A jednak czuł czyjąś obecność.

Cofnął się w kierunku drzwi. Wtedy usłyszał ten dźwięk. Najpierw skrzypnął fotel, a potem rozległ się metaliczny trzask... jakby odbezpieczanego pistoletu. Ktoś tu był i miał broń! Pewnie nie będzie czuł oporu przed posłaniem Miskowej duszy na łono Abrahama. Chłopak rzucił kopertę i sięgnął za pasek, wyszarpnął broń, ale nie tak sprawnie, jak robią to na filmach, tylko nieporadnie, walcząc z połami koszuli. Oddał trzy strzały w kierunku, gdzie jego zdaniem powinien być przeciwnik, i rzucił się do ucieczki w chwili, gdy coś z łoskotem padło na ziemię.

Był już na schodach, kiedy na parterze zabłysło światło. Znalazł się w pułapce.

– Ależ jestem roztargniona – powiedziała do siebie Ludmiła. – Byłam pewna, że zamknęłam te cholerne drzwi. Dobrze, że wróciłam. Nasłuchałabym się jutro od pana Kazia.

Chwilę wcześniej udało jej się wcisnąć mazdę obok czarnego BMW. Bo oczywiście miejsce, na którym poprzednio parkowała, już było zajęte.

Szybko wspięła się po schodach na górę. Zapaliła światło na korytarzu. Nie lubiła tego miejsca – biurowej elegancji wyrażonej chłodnym błękitem ścian i szarymi płytkami na podłodze. To nie była przestrzeń, w której Ludmiła chciałaby spędzić resztę życia zawodowego. Ale pewnie tak będzie i trzeba się z tym pogodzić. Żadne z marzeń o wyjeździe do dużego miasta i robieniu kariery, o pieniądzach, sławie i miłości się nie spełniło. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, Ludmiła zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby uniemożliwić sobie realizację marzeń, wszystko, żeby spieprzyć sobie życie. I teraz była trzydziestoletnią panną z dzieckiem, która dzięki protekcji została biurwą w urzędzie. Było trochę tak, jakby już leżała w trumnie.

Drzwi od gabinetu Krzysztofa były otwarte. Ludmiła się zatrzymała.

– Jest tam kto? – zapytała, ale odpowiedziała martwa cisza.

Wydawało jej się, jakby gdzieś na dole skrzypnęły drzwi. Poczowała na plecach ciarki.

– Hej! To pan, panie Kaziu? – krzyknęła. Żadnej odpowiedzi. Przez chwilę nasłuchiwała, ale jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał do jej uszu, było bicie jej serca. Postąpiła jeszcze kilka sekund, po czym machnęła ręką.

– Robisz się nerwowa – zgaśniła się. – Za dużo telewizji.

Uśmiechnęła się do siebie i pchnęła drzwi do gabinetu.

Magda siedziała przy barze eleganckiego, górskiego pensjonatu i powoli sączyła kolorowego drinka. Wszystko wokół było tak odrealnione. Za oknem szczyty gór, na których leżał jeszcze śnieg, ten bar z przytłumionym światłem i cichą muzyką – sceneria jak z amerykańskiego filmu. Tak mogłoby wyglądać jej życie. Dlaczego los postawił na jej drodze Krzysztofa? Dlaczego była tak głupia i pomyliła miłość z zauroczeniem? Dlaczego zgodziła się na ślub? Mogła być panną z dzieckiem, tak jak Ludmiła. Z alimentami i własną pensją dałaby sobie radę. A tak musi tkwić przy mężu, a jedyna radość, jaka jej pozostała, to ta godzinka w hotelowym pokoju.

Energicznie potrząsnęła głową. Za chwilę zjawi się Artur, nie chciała, żeby zobaczył ją smutną. Od tak dawna się nie widzieli. Wspomnienie dziwnego SMS-a na powrót ją przygnębiło. Dopijała drink i poprosiła o następny. W momencie, kiedy kelner stawiał przed nią kieliszek, zjawił się Artur. Od razu zauważyła, że jest zdenerwowany.

– Wszystko w porządku? – zapytała. Planowała, że powie: „Witaj, nieznajomy, masz ochotę się zabawić?”, ale widząc jego twarz, zmieniła zdanie.

– Tak – skłamał.

Popatrzyła na niego z wyrzutem. Dał kelnerowi znak, że chce whisky, i teraz obydwójce pili w milczeniu.

– Brakowało mi ciebie – wyznała.

– Wynagrodzę ci to dzisiaj. – I jednym haustem opróżnił szklanekę.

– Wyglądasz na zdenerwowanego, powiesz mi, co się stało?

– Powiedzmy, że definitywnie załatwiłem sprawę tych dziwnych wiadomości. Nie wracajmy już do tego, dobrze? – Skinął na kelnera. – Czy mogę prosić butelkę szampana do pokoju? Chodź, kochanie.

Objął ją czule. Całował w kark, kiedy wchodzili po schodach. W pokoju powoli, drżącymi rękoma rozpinął guziki jej koszuli. Westchnął głęboko, kiedy zobaczył bieliznę. Pchnął Magdę na łóżko i rzucił się na nią z niespotykaną gwałtownością. Poczowała ból i strach. Wiedziała, że coś się stało albo stanie, bo w sposobie, w jaki w nią wchodził, była desperacja. Jakby jutro miał się skończyć świat. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ale zmieniła zdanie. Nigdy jeszcze tak jej nie pragnął. Poddała się temu.

Ciszę hotelowego pokoju zmąciły ich dzikie krzyki.

Ludmiła popatrzyła jeszcze raz na ciało, które niewątpliwie było martwe, a potem na wyświetlacz swojej komórki. Gdzieś po zakamarkach mózgu tłukła się myśl, że powinna zadzwonić na policję. Wiadomo jednak, że policja zaraz zajmie się poszukiwaniem winnego. I choć ona, Ludmiła, nie miała absolutnie nic wspólnego z doprowadzeniem tego człowieka do jego obecnego stanu, to jednak nie raz mu tego życzyła. Głównie w rozmowach prywatnych, ale nie mogła być pewna, czy i publicznie jej się nie zdarzyło, a to czyniło ją idealną kandydatką na podejrzaną. Stąd tylko krok do spędzenia całego życia za kratkami. Musiała się z kimś skonsultować. Z kimś rozsądnym, kto nie panikuje. Gdyby Krzysztof był trzeźwy, zadzwoniłaby do niego. Są sytuacje, kiedy zaufana przyjaciółka bardzo by się przydała. A tak musi liczyć na rodzinę, i to na tę jej przedstawicielkę, którą lubi najmniej. Z rezygnacją wyszukała numer Śnieżki. Nawet nie miała jej w szybkim wybieraniu, co dobrze obrazowało ich relacje.

– Musisz mi pomóc! – zaczęła od razu.

– W szukaniu teczki? – Głos siostry kęsał ironią.

Ludmiła westchnęła. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

– Trupa znalazłam – wyjaśniła.

– Jakiego trupa? – zapytała Iza głosem, który świadczył o absolutnym braku zainteresowania.

– Martwego – szepnęła poirytowana Ludmiła. Co ta Iza za durne pytania zadaje? Przecież to nie jakiś cholerny Zombieland.

– Bardzo śmieszne. – Iza też była zła. – Jesteś pijana?

Ludmiła westchnęła ciężko. Właśnie dlatego ich stosunki tak wyglądały. Iza była jak ich matka: albo ją upominała, albo miała do niej pretensje.

– Pomyśl logicznie. Rozmawialiśmy niecałe dwadzieścia minut temu. Nawet jakbym się bardzo starała, nie dałabym rady się urząnąć. Uwierz, to już za mną. – Zamilkła. – Wiesz, ja nawet wolałabym teraz być pijana. Niestety, jestem trzeźwa. Siedzę w jednym pomieszczeniu z martwym facetem. To nie wygląda zbyt dobrze. Nie wiem, co robić. Pomóż mi... – wyrzuciła z siebie na jednym tchu.

W słuchawce przez chwilę, długą jak wieczność, panowała cisza, a potem siostra się odezwała.

– No dobra, gdzie jesteś?

– W gabinecie Krzyśka.

– Co? – krzyknęła Iza.

– Mówiłam ci, że to nie wygląda dobrze – westchnęła Ludmiła.

– Już jadę! – I się rozłączyła.

Ludmiła, jakby w obawie, że ktoś może ją zobaczyć, zamknęła drzwi i została sama z doczesną powłoką kogoś, kogo nienawidziła.

Michaił Iwanowicz stał na urwistym brzegu czegoś, co miejscowi nazywali rzeką. On, który widział Wołgę i Dniepr, nazwałby to raczej strużką, niewartą nawet splunięcia. Sapnął i wyciągnął paczkę papierosów. Wyjął z pudełka ostatniego, włożył go do ust i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Wtedy zadzwonił telefon.

– No?

– Miszka?

– No.

– I jak poszło?

Miszka westchnął. Szukał właściwego słowa, które najlepiej oddałoby sytuację.

– Spierdoliło się – powiedział w końcu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Potem rozmówca zapytał spokojnym, ale lodowatym tonem:

– A co konkretnie się spierdoliło?

Miszka w prostych żołnierskich słowach opowiedział, jak już od początku wszystko szło nie tak. Bo najpierw jakaś baba siedziała po godzinach. Wreszcie poszła. Odczekał jeszcze z dziesięć minut i wszedł do budynku. A tam był jakiś gość ze spluwą. Zaczęła się strzelanina, z której on, Miszka, cudem wyszedł cało. Nie wie, czy tamtego załatwił, bo niespodziewanie wróciła ta baba. Na szczęście go nie widziała, inaczej ją też by sprzątnął.

Cisza w słuchawce przeciągała się niepokojąco.

– Masz jeszcze tę klamkę, z której kropnąłeś gościa?

Miszka popatrzył na spokojne, leniwie płynące wody rzeki.

– Mogę mieć.

– To miej. I czekaj na telefon.

Miszka sapnął. Czy ten stary pierdziel nie mógł zadzwonić pięć minut wcześniej? Rad nie rad zdjął buty i ruszył ku ciemnym nurtom rzeki.

Siedzący w swoim gabinecie Siergiej odłożył telefon na biurko. Z górnej szuflady wyjął pendrive'a i podłączywszy go do laptopa, zaczął stukać w klawisze.

Ludmiła Janicka patrzyła na ciało leżące na podłodze.

– Nie wiem, kto ci to zrobił, ale jestem mu wdzięczna.

Zaczęło się przed laty w ich rodzinnym domu, który Andrzej Musiał często odwiedzał. Marzyła o wyjeździe na studia, bo to był sposób, by uniknąć niechcianych spotkań z nim. Gdy ojciec zachorował, Musiał zachowywał się normalnie, ale po pogrzebie wszystko zaczęło się od nowa. Podszedł wtedy do niej i zaproponował rozmowę. Odmówiła. Zapomniała. On nie. Kiedy wróciła z Egiptu, zadzwonił raz, potem drugi, kolejny. W końcu niechętnie zgodziła się na spotkanie. Wiedziała, co się za tym kryje, a mimo to próbowała sobie wmówić, że tamte doświadczenia to przeszłość. Przyjaźnił się z ojcem – racjonalizowała – może naprawdę chodzi tylko o rozmowę? Spotkali się w kawiarni, nie chodziło o serdeczne pogaduchy. Kiedy jej dotknął, omal nie

zwymiotowała. Przypomniała sobie jego wizyty w domu rodzinnym. Miała może dwanaście lat, a on zapytał, czy urosły jej cycuszki. Chciał zobaczyć. Gdyby ojciec nie wszedł, pewnie by pokazała, nie umiając odmówić w dziecięcej naiwności. Wybiegła wtedy z pokoju. I to poczucie winy, jakby zrobiła coś złego... Nie mogła nawet o tym myśleć.

Kiedy się do niej przystawiał w kawiarni, już nie była małą dziewczynką, więc kazała mu spierdalać. Myliła się, myśląc, że to wystarczy. Andrzej próbował ją szantażować brudami z jej przeszłości. „Wiesz, co się stanie, kiedy ludzie się o takich rzeczach dowiedzą?” – zapytał. „Jestem w ciąży, dziecko będzie czarne. Mów ludziom, co chcesz, tego nie przebijesz” – zaśmiała mu się w twarz i wyszła. Na jakiś czas odpuścił, ale kilka miesięcy temu pojawił się znowu. Na początku był miły, przeprosił. Kiedy się zorientował, że w ich relacjach nic się nie zmieniło, zagroził, że odszuka arabskiego ojca jej córki. To Ludmiłę przeraziło. Gdyby naprawdę chciał to zrobić, uległaby. Wszystko, byle nie stracić Gabrysi. A teraz już nie musiała się bać. Ktoś załatwił sprawę za nią.

Rozległo się pukanie i Ludmiła, wyrwana z zamyślenia, podskoczyła, a adrenalina, którą jej nadnercza wystrzeliły do krwi, wprawiła serce w dzikie łomotanie.

– To ja – dobiegł głos z korytarza.

Ludmiła otworzyła drzwi, żeby wpuścić siostrę. Iza, zanim weszła, obejrzała się, jakby w obawie, że ktoś może ją śledzić. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do zwłok. Mężczyzna leżał na boku z lekko podkulonymi nogami. Jego martwe oczy patrzyły przed siebie, lekko zdziwione. Iza, po swojemu opanowana, przyglądała mu się uważnie, z wyższością, jakby samym spojrzeniem chciała dać mu do zrozumienia, że jest od niego lepsza, mądrzejsza, bardziej żywa. Zdaniem Ludmiły Iza patrzyła tak na każdego.

– Może się tak na niego nie gap, żeby ci nie zaszkodziło – zwróciła się do siostry.

Iza popatrzyła na nią z wyższością, a jakże.

– Widywałam już martwych ludzi – wyjaśniła.

– Tak, ale wtedy nie byłaś w ciąży i...

Iza nie pozwoliła jej skończyć.

– To nie ma nic do rzeczy. Wiesz kto to? – zapytała.

Ludmiła kiwnęła głową. A ponieważ Iza patrzyła na nią wyczekująco, westchnęła i powiedziała:

– Jaja sobie robisz? Wujka Andrzeja nie pamiętasz?

– On nie był naszym prawdziwym wujkiem?

Ludmiła pokręciła głową, że nie.

– W życiu bym go nie poznała. Postarzał się – zauważyła obojętnie Iza.

Pochyliły się nad ciałem w słusznej zadumie nad okrucieństwem czasu.

– Powinnyśmy zawiadomić policję – przerwała ciszę.

– Wiem przecież, ale... spanikowałam. – Siostra popatrzyła na Ludmiłę pytająco. –

Szantażował mnie – wyjaśniła.

– Dlaczego?

– Myślisz, że ci powiem?

Ale Izy to już nie interesowało. Widać było, że zastanawia się nad czymś innym.

– Skoro ty miałaś z nim jakiś konflikt... – gestem uciszyła siostrę, która chciała coś



wtrącić. – ...i on teraz leży martwy w gabinecie Krzysztofa, to nie wygląda dobrze.

– Właśnie! Zdenerwowanie nie pozwala mi logicznie myśleć. Dlatego zadzwoniłam do ciebie – szepnęła Ludmiła. Iza ze zrozumieniem kiwnęła głową. Ludmiła za nią nie przepadała, ale ceniła w siostrze spokój i dystans do wszystkiego.

– I to nie ty go zabiłaś?

– Uwierz mi, nie. Przyznaję, pragnęłam tego. Zamieniał mi życie w piekło. Ale wytrzymałam... Ktoś nie wytrzymał.

– Jednak to ty stanowisz świetną kandydatkę na podejrzaną. Nie powinno cię tu w ogóle być...

– Nie byłoby mnie, gdybyś nie zadzwoniła w sprawie tych dokumentów dla Krzysztofa. Teraz byłabym w domu, piła herbatę i bawiła się z córką.

– No dobra, to ustalmy fakty – zastanowiła się głośno Iza. – Długo tu jesteś?

– Przyszłam jakieś pięć, może dziesięć minut przed telefonem do ciebie.

Iza wyjęła komórkę z kieszeni dzinsów.

– Czyli przyszedł tu kwadrans po szóstej. Widział cię ktoś?

Ludmiła wzruszyła ramionami.

– A ty kogoś?

– Nie. Na korytarzu było pusto. Chociaż... Tak dziwnie mi było, jakbym oglądała thriller.

Iza lekko zmarszczyła czoło.

– Jak myślisz, kiedy to się stało? – zapytała.

– Krzysztof wyszedł po szesnastej, zaraz po nim reszta urzędników. Ja siedziałam prawie do osiemnastej, Kazio się kręcił. Może to on?

– Kto?

– No pan Kazio, woźny.

Iza palnęła się w czoło. – Tylko w kiepskich filmach mordercą jest kamerdyner.

– Więc kto?

– Daruj sobie, Sherlocku – przerwała Ludmile siostra. – Od tego jest policja. Oni są od szukania sprawcy, a my od szukania rozwiązania, które będzie ich trzymać z dala od ciebie. Kiedy go znalazłaś, tak leżał?

– Nie. Stał. Ułożyłam go, żeby mu było wygodniej – ironizowała Ludmiła. – No przecież nie jestem głupia. – Spojrzenie Izy świadczyło, że ma na ten temat inne zdanie. – Przyjechałam po te nieszczęsne dokumenty. Miały leżeć na biurku. Drzwi były otwarte, a kopertę zobaczyłam na podłodze. Pomyślałam, że to pewnie przeciąg. Schyliłam się po te papiery i wtedy zauważyłam, że za biurkiem ktoś leży, podeszłam... Myślałam, że zasłabł. Wtedy zauważyłam dziurę w piersi. Niczego nie dotykałam. Dobrze, że tylko w filmach trup leży w kałuży krwi, bo chyba bym zwymiotowała...

Ludmiła na chwilę zamilkła, a potem nagle wyrzuciła z siebie wszystko to, co ją tak bardzo niepokoiło i bolało.

– Powiedz, Iza, czemu tak się składa, że to ja zawsze dostaję od życia w dupę? Wiesz, jak to wygląda? Wychodziłam ostatnia, miałam klucze, znałam gościa. Jak udowodnię, że ktoś zabił tego człowieka akurat wtedy, kiedy ja byłam w drodze do domu? Jeśli policja mnie oskarży, to opinia publiczna w ciągu godziny wyda na mnie wyrok.

Nawet jeśli nie pójde siedzieć, to życia tu nie będę miała...

W spojrzeniu Izy była odrobina współczucia. W tej chwili Ludmiła wyczuwała, że tamta przyznaje jej rację. I że, niestety, uważa również, że siostra sama zapracowała na swoją reputację, ale nie dlatego, że była zła, tylko po prostu głupia.

– Zrobimy tak: ty się zmyjesz, a ja tu zostanę. Do mnie Krzysztof zadzwonił, ja miałam tu przyjść – powiedziała. – Wezwę policję. Czemu mieliby mnie podejrzewać? W domu zastanowimy się, co dalej. Dobrze to nie wygląda.

Ludmiła pomyślała, że wygląda to dużo gorzej, niż się Izie wydaje. I że nie powinna była w to wciągać siostry. Teraz już za późno. Iza przylazła i po swojemu przejęła kontrolę.

– Pomogę ci – oświadczyła. – Daj mi klucze i swoją kurtkę! Na wypadek, gdyby ktoś cię widział – wyjaśniła.

Ludmiła podała siostrze zieloną kurtkę i bez słowa wyszła na korytarz. Rozglądając się nerwowo, jakby naprawdę była przestępcą, dotarła do samochodu. Jeśli nie liczyć ślubu Krzysztofa, to był niewątpliwie najgorszy dzień w jej życiu.

Krzysztof dał dupy. Siedział w barze i splukiwał alkoholem gorzki smak porażki. Opóźnił spotkanie o kwadrans, tłumacząc, że lada chwila zjawi się Ludmiła z dokumentami. Ale siostra jak zwykle go zawiodła. Nie można było na niej polegać. Musiał improwizować, a to przecież byli ludzie biznesu. Do nich przemawiały tylko konkretne liczby. Facet, który roztacza przed nimi wizję stworzenia wielkiego centrum konferencyjno-szkoleniowego w ruinach starej fabryki, musi wyglądać na fantastę, jeśli nie potrafi podać żadnych konkretnych danych. Fundusze unijne, programy rządowe, nisko oprocentowane kredyty, to tylko puste słowa. A przecież Krzysztof miał konkretne wyliczenia: koszty, inwestycje, a przede wszystkim zyski. Duże zyski dla wszystkich.

Przed wojną w tym mieście kwitł przemysł włókienniczy. Po wojnie również. Choć okolica była bardzo malownicza – otaczające miasto wzgórza ze wspaniałym mikroklimatem – nikt tu nie myślał o czerpaniu korzyści z turystyki. Wierzano w przemysł, wielkie tkalnie pracowały dzień i noc. Miasto się rozrastało. Aż przyszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Mieli największe bezrobocie w regionie. Jedno z najwyższych w kraju. Miasto podupadło, ludzie powyjeżdżali, a wielkie hale fabryczne straszyły powybijanymi oknami. Dawna dzielnica przemysłowa wyglądała jak rana miasta. Przez to jego urok nie mógł w pełni zachwycić, choć miasteczko naprawdę było piękne. Usytuowane przy jednym z głównych szlaków handlowych Śląska, od zawsze bogate, a takie nigdy nie są brzydkie. Zamożni mieszkańcy budują piękne domy i inwestują w infrastrukturę. Przed wojną ich miasto nazywano małym Dreznem. Nie podzieliło na szczęście losu oryginalnego imiennika, bo linia frontu przechodziła kilka kilometrów na północ od rogatek.

Niestety w latach siedemdziesiątych podjęto złe decyzje architektoniczne. Tadeusz Janicki, dziadek Krzysztofa, planista i wizjoner, nie pracował już w urzędzie planowania przestrzennego. Odszedł z pracy kilka lat wcześniej, oburzony wydarzeniami w kraju. On nigdy by nie pozwolił na zmniejszenie rynku i poprowadzenie przez niego ulicy, co można było uznać za zbrodnię na ładzie architektonicznym. Na szczęście poprzedni burmistrz, Marek Pieczyński, podjął starania, by przywrócić stan sprzed wojny.

Początkowo szło to opornie, ale kiedy udało mu się stworzyć Stowarzyszenie Łużyckie, uzyskał spore państwowe dotacje. Rynkowi przywrócono dawną świetność i przez trzy lata z rzędu zwyciężał w plebiscycie na najbardziej magiczne miejsce Dolnego Śląska. Szkoda, że Pieczyński zrezygnował ze stanowiska, by całkowicie poświęcić się pracy w stowarzyszeniu. Aktualnie walczył o ratowanie Bogatyni i przepięknych domów słupowych. Jego następca nie miał tyle zapału. Na szczęście zbliżały się wybory.

Podczas metamorfozy, jakiej poddawane było miasto, ciągle omijano dawne tereny przemysłowe. Krzysztofowi przyszło do głowy, żeby coś z tym zrobić. Powoli, dzień po dniu, krystalizował się w jego głowie prawdziwie wizjonerski projekt. W halach dawnych fabryk miałyby powstać sale konferencyjne i wystawowe. W przedwojennych budynkach, które przez lata zajmowały biura, dziś mogłyby być apartamentowce. Lofty, to byłoby coś. No i masa nowych miejsc pracy. Przy polskich cenach mogłyby być konkurencyjni dla podobnych ośrodków w Niemczech. Na dodatek do miasta był doskonały dojazd. Do Wrocławia docierało się stąd w dwie godziny. Do dawnej granicy jechało się zaledwie dziesięć minut.

A teraz nie miał jak roztoczyć przed przybyłymi tej pięknej wizji, bo jego siostra nawaliła. Krzysztof dał barmanowi znak, żeby nalał mu jeszcze jednego.

Od wyjścia Ludmiły minęło dokładnie pięć minut, a ponieważ o tej porze nie było już korków, prawdopodobnie dojeżdżała już do domu. Iza westchnęła i spojrzała na telefon. Wybrała numer alarmowy i cierpliwie czekała na zgłoszenie się operatora.

– Dobry wieczór – odpowiedziała grzecznie na burkliwe „Słucham”. – Chciałam zgłosić... – zamilkła. Słowo morderstwo nie brzmiało dobrze. Nawet jeśli ten biedak pożegnał się z tym światem gwałtownie i przed czasem, to ona nie powinna o tym wiedzieć. – ...zgłosić, że znalazłam człowieka, który chyba nie żyje.

– Posłuchaj, dziewczynko. – W głosie dyspozytora było słycać zmęczenie i złość. – Robienie sobie takich żartów jest karalne. Rozłącz się, a nic nie powiem mamie.

Iza westchnęła. Okazuje się, że wezwanie policji nie jest takie łatwe, jak by się to mogło wydawać.

– Przepraszam pana, ale nie jestem dzieckiem. – Starła się mówić tak, żeby jej głos brzmiał dojrzały, ale dobrze wiedziała, że da to mierny skutek. – Nazywam się Izabela Janicka, mam trzydzieści lat. Jestem w urzędzie miasta w jednym pokoju z martwym mężczyzną. Ja rozumiem, że pan jest zmęczony, ale ja jestem skołowana i nie wiem, co powinnam zrobić.

– A jest pani pewna, że ten człowiek jest martwy? Może tylko zasnął?

– Widywałam martwych ludzi. Poza tym ten ma dziurę w piersi.

– No dobrze. – Dyspozytor dał za wygraną. – Proszę jeszcze raz podać nazwisko i adres, zaraz tam kogoś pošlę. Proszę niczego nie ruszać i poczekać na patrol – dokończył.

– Bardzo panu dziękuję. I życzę miłego wieczoru – kulturalnie pożegnała się Iza, zapominając, że ludzie zdenerwowani nie bywają uprzejmi.

„W co ta Ludmiła się wpakowała?” – myślała Iza Janicka. Zajęła jedno z tych krzeseł dla petentów, które stały na korytarzu, i czekała na policjantów. Przeczucie jej mówiło, że z tego nie wyniknie nic dobrego. Doświadczenie podpowiadało, że jeśli chodzi

o Ludmiłę, przeczucie Izy nigdy się nie myliło.

Mniej więcej po kwadransie zjawili się dwóch policjantów w mundurach. Najpierw pomachali legitymacjami, potem wylegitymowali Izę.

– A te niby zwłoki to gdzie? – zapytał jeden z nich. Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wskazała głową drzwi pokoju sto dwa. Jeden wszedł, drugi został, chyba po to, żeby mieć na nią oko.

– Ale jaja! Stary, dzwoni do chłopaków. Mamy tu prawdziwego krajmsajta!

Policjant, który został z Izą, poprosił, żeby poczekała. Zajrzał do kolegi. Jeszcze raz wymienili pełne ekscytacji uwagi, potem zaszczeakały krótkofalówki.

Po dziesięciu minutach zjawili się kolejnych dwóch mężczyzn. Obaj byli mniej więcej w wieku Izy, może trochę starsi, ale niewiele. Obaj ubrani w źle dobrane marynarki i dżinsowe spodnie. Nie miała wątpliwości, jaki zawód wykonują.

A jednak mimo pozornego podobieństwa byli bardzo różni. Wyższego z nich, szatyna o przenikliwych niebieskich oczach, cechowała pewna subtelność ruchów. Wyglądał jak aktor, grający rolę policjanta.

Niższy, brunet, sprawiał wrażenie człowieka, który więcej robi, niż mówi. Biła od niego autentyczność, taka przyjemna szczerść.

– No i co tu mamy? – zapytał szatyn.

– Morderstwo – odpowiedział mundurowy.

– To się okaże w toku czynności śledczych. Najpierw lekarz musi stwierdzić zgon.

– Nie ma co stwierdzać, facet sztywny jak wczorajszy schabowy.

Iza wlepiła wzrok w podłogę i kontemplowała plamę, która kształtem przypominała Australię.

– Ten konował to chyba piechotą idzie – zauważył brunet.

– Pośpiech nic nie da – roześmiał się ten drugi. I zapytał: – To ta pani znalazła ciało? – Kiedy usłyszał potwierdzenie, zwrócił się bezpośrednio do Izy. – Starszy aspirant Jarosław Nowak. – Machnął legitymacją. – Przepraszam, może pani chwilę poczekać? Będziemy mieli kilka pytań.

Skinęła głową.

Wkrótce zjawiał się lekarz. Miał ponad pięćdziesiąt lat i miłą aparycję. Wszedł do pokoju, gdzie było ciało, po chwili wyszedł i usiadłszy obok Izy, zaczął zupełnie nieczytelnym pismem wypełniać formularz.

– Pani go znalazła? – zagał. – Nieprzyjemna sprawa, co? Może chce pani coś na uspokojenie?

Dziewczyna zrozumiała, że źle zinterpretował powód jej bladości.

– To przez zapach mundurów. Mdli mnie.

– Też nie przepadam. Na izbie chorych w koszarach odbywałem obowiązkową służbę wojskową. Masakra. Najgorzej było, jak który szwej zdjął skarpety! – Iza bała się dalszego ciągu retrospekcji, na szczęście lekarz skończył pisać, wyjął z kieszeni pieczętkę, grzmotnął nią w papier, aż podkładka zatrzeszczała i podał dokument policjantowi. – To dla panów, ja wracam do pracy. Miło było poznać – zwrócił się do Janickiej.

Ci w cywilu jednocześnie popatrzyli na Izę, potem na siebie, potem znowu na nią.

– No dobra – powiedział Nowak – zabieramy się do roboty. Trzeba zadzwonić do Styksa, że mamy dla nich Pana Martwego. Wy – zwrócił się do mundurowych – śmigacie na rozpytanie, może ktoś coś widział. A pani odpowie nam na kilka pytań.

Wyjął z bocznej kieszeni notes, a potem przetrząsał pozostałe w poszukiwaniu długopisu.

– Pozwól, Jarek, ja to zrobię – przerwał ten niższy.

Nowak rzucił koledze zaciekawione spojrzenie, wzruszył ramionami, mruknął „Jak chcesz”, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i dał znak, że będzie na zewnątrz.

Brunet podszedł do Izy i wyciągnął rękę:

– Młodszy aspirant Bogdan Kowaluk – przedstawił się, siadając na sąsiednim krześle.

– Izabela Janicka. Miło mi. – Iza odwzajemniła uścisk.

– To pani go znalazła? – zapytał. Miał miły, aksamitny głos i ciepłe, przyjacielskie spojrzenie.

Iza kiwnęła głową.

– Może mi pani powiedzieć, co tu robiła?

Iza uśmiechnęła się ciepło. Pamiętała, że kiedy się kłamię, trzeba patrzeć rozmówcy prosto w oczy. Oczy policjanta były tak ładne, że robiła to z prawdziwą przyjemnością.

– Przyjechałam po dokumenty. Brat mnie prosił.

– A pani brat to..?

– Krzysztof Janicki. Zastępca burmistrza – wyjaśniła.

– Ach tak. Nie wiedziałem, że ma siostrę.

– Nawet dwie. – Iza się roześmiała. – Myślałam, że w tym mieście wszyscy się znają.

– Podobno. Ja jestem elementem napływowym – powiedział młodszy aspirant. – W mieście od dwóch tygodni, wciąż jeszcze gubię się w drodze na komendę.

Iza doceniła dowcip, po czym zapytała:

– I praca sprowadziła pana w nasze strony?

– Właściwie to dziewczyna.

– Ach tak – westchnęła.

– Już nie jesteśmy razem – zadziwiająco szybko sprostował policjant.

– Przykro mi. Co się stało?

– Nie ma pani przypadkiem wrażenia, że to ja powinienem tu zadawać pytania? – zapytał żartem i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nie chciałam być wścibska. – Iza zrobiła przeproszającą minę. Na korytarzu zjawił się policjant z aparatem, bez słowa wszedł do pokoju. Raz po raz dobiegał trzask lampy błyskowej. – No to proszę pytać.

– O której pani przyjechała?

– Jakoś po szóstej. Zaraz powiem panu dokładnie. – Wyjęła z kieszeni telefon. – Siostra do mnie zadzwoniła, kiedy szukałam tych dokumentów. – Pokazała policjantowi wyświetlacz, a on przepisał godzinę do notesu. – Jakby nie ten telefon, w ogóle bym się nie zorientowała, że on tam jest. Stałam przy szafce z dokumentami. – Wstała, stanęła naprzeciwko policjanta. – Był poza moim polem widzenia. Ale jak rozmawiałam,

musiałam się jakoś przesunąć. – Zrobiła dwa kroki w tył i jeden w bok. – Rozłączyłam się. I wtedy go zobaczyłam. Podeszłam, sprawdziłam puls. – Przyklęknęła, kończąc tym samym wizję lokalną.

– I od razu zadzwoniła pani na policję?

– Nie, od razu to straciłam głowę – wyznała z rozbijającą szczerością i spojrzała policjantowi w oczy. – Przepraszam... Nie wiedziałam, co robić...

Policjant przyglądał jej się badawczo.

– Jak pani weszła do budynku?

– Miałam klucze.

– Drzwi były zamknięte?

– Tak. – Czy Ludmiła mówiła o drzwiach? – Nie. Tak. – Nie pamiętam. Przepraszam, ale to taka sytuacja jak wtedy, gdy człowiek wychodzi z domu i wciąż zastanawia się, czy wyłączył żelazko.

Policjant skinął głową.

– Znała pani tego człowieka?

– Tak. To Andrzej Musiał. Znajomy mojego ojca. Nie wiem dokładnie, czy łączyły ich relacje zawodowe, czy prywatne. Dzieci nie zwracają uwagi na takie sprawy. Odkąd wyjechałam na studia, nie widziałam go ani razu. Ani razu od dziesięciu lat. – Przynajmniej to jedno nie było kłamstwem.

Policjant skrzętnie wszystko notował. – Zechce pani podać mi swoje dane? I jakiś kontakt, możliwe, że pojawią się jeszcze jakieś pytania.

– Oczywiście – odpowiedziała Iza głosem prawego obywatela. I jednym tchem wyrecytowała imię, nazwisko i datę urodzenia. Pominęła stan cywilny, bo nie znajdowała odpowiedniego słowa na określenie jej wieloletniego związku z Pawłem. To wspomnienie mimowolnym skurczem wykrzywiło jej twarz. Policjant źle to zinterpretował, bo odpowiedział jej uśmiechem. Izie zrobiło się głupio, więc się zaczerwieniła.

– Jeszcze adres i telefon – poprosił grzecznie stróż prawa.

Podawała mu numer.

– Na stałe mieszkam w Sochaczewie – tłumaczyła. – Przyjechałam z wizytą do mamy. Wałbrzyska osiemnaście, pierwszy dom po prawej stronie.

Policjantowi nie udało się ukryć rozczerwania.

– To znaczy, że niedługo pani wyjedzie?

– Niestety nie. To będzie jedna z tych długich wizyt – roześmiała się.

– Czyli mogę zadzwonić? – zapytał policjant.

– Oczywiście – odpowiedziała Iza, która zupełnie się nie zorientowała, że to pytanie nie dotyczyło już śledztwa...

W tym momencie zjawili się kolejni funkcjonariusze. Nie zwracając na nikogo uwagi, weszli do gabinetu. Po chwili jeden wyszedł i przywołał Kowaluka. Iza nie wiedziała, co powinna zrobić. Nerwowo skubała szew spodni. Kiedy na korytarzu pojawił się ten drugi policjant, podeszła do niego i zapytała, jak długo będzie jeszcze potrzebna.

– Chciałbym zdjąć pani odciski palców, potem będzie pani mogła iść do domu – powiedział miłośnik nikotyny. – Nie muszę dodawać, że w związku z trwającymi

czynnościami wyjaśniającymi wolelibyśmy, żeby nie opuszczała pani miasta?

– Nigdzie się nie wybieram – powiedziała Iza.

Ludmiła wróciła do domu. Mama z babcią oglądały brazylijski serial. Obie ciałem siedziały na sofie w dużym pokoju, ale duchem były w gustownie urządzonym salonie w Rio de Janeiro. Nie miały świadomości, co się dzieje wokół nich. Witanie się nie miało sensu, tylko ofuknęłyby Ludmiłę, że zagłusza. Dlatego od razu poszła na górę. Gabrysia siedziała na podłodze i bawiła się klockami. Obok niej leżał Pan Chrumeł – ulubiona pluszowa zabawka.

– Cześć, córeczko, jak ci minął dzień?

– Babcia mnie odebrała z przedszkola – powiedziała z wyrzutem.

– Wiem, prosiłam ją o to. Miałam bardzo dużo pracy. Przepraszam. Jutro ja cię odbiorę, obiecuję – ucałowała dziecko. – Poczytam ci, chcesz?

Potem była bajeczka i jeszcze jedna. Przytulanie, kąpiel i jeszcze więcej przytulania. W końcu Gabrysia zasnęła.

Ludmiła zeszła do kuchni. Do pań tkwiących przed telewizorem dołączył dziadek. Spojrzała na zegarek. Późno już. Miała nadzieję, że nikt nie zwróci na nią uwagi. Nie chciała nic mówić, dopóki nie ustalą z Izą jakiejś sensownej, wspólnej wersji wydarzeń. Ale się porobiło! Zakłęła pod nosem. Nastawiła wodę. Zalała herbatę. Bezmyślnie gapiała się na ciemne smugi naparu. Wyciągnęła torebkę, kiedy uznała, że jest już wystarczająco mocny. Podeszła do kredensu, wyjęła karafkę z nalewką cytrynową i wlała trochę do herbaty. Nie piła od ponad czterech lat. Od momentu, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Nawet jej nie ciągnęło. Tylko że dziś... Okropny dzień, a jeszcze się nie skończył. Czekała ją rozmowa z siostrą. Potrzebowała czegoś dla kurażu.

Jakby zwabiona jej myślami do kuchni weszła Iza. Popatrzyła krytycznie na karafkę.

– Słyszałam, że masz to już za sobą – powiedziała do siostry.

– Bo mam. Tylko ten dzień dzisiaj...

Odstawiła nalewkę na miejsce. Iza w tym czasie wylała jej herbatę do zlewu.

– Wystygła. Zrobię nam świeżej – wyjaśniła.

Ludmiła westchnęła.

– Nie musiałas tego robić. Nie mam problemu z alkoholem.

– Ale ja mam – odpowiedziała Iza. – Zapach mi przeszkadza. Wiesz, jak to jest – ściszyła głos do szeptu – w ciąży. Pewnych zapachów po prostu nie możesz znieść.

Ludmiła kiwnęła głową. Była pewna, że nie o stan odmienny tu chodzi. Tylko co mogła powiedzieć? Nikt nie wierzył, że nie jest pijaczką. No, może poza Krzysztofem. Starszy brat zauważył, jak desperacko pragnie się zmienić, dorosnąć. Nie chciała już udawać, że ciągle jest nastolatką. Taką rozbrykaną, która imprezuje, upija się do nieprzytomności i wraca do domu rano, jeśli w ogóle. Chciała być mamą, chciała stworzyć córeczce dom.

Ani matka, ani babcia nie wierzyły w tę dojrzałość Ludmiły. Ciągle widziały w niej dziecko, którego trzeba na każdym kroku pilnować. A teraz jeszcze zjawiała się Iza. Nie dość, że traktowała siostrę z góry, to na dodatek rodzina widziała w niej swoją królową.

Ciekawe, dlaczego Iza jeszcze nie powiedziała mamie o ciąży. Tamta, gdyby się

dowiedziała, sypałyby płatki róż na ziemię, po której stąpała ukochana córeczka. Może Iza się czegoś boi? A może coś ukrywa? Czyżby Paweł nie był ojcem? W końcu mieli problemy z poczęciem. Ludmiła pamiętała awanturę, którą zrobiła jej Iza, gdy się dowiedziała, że zostanie ciocią. Tak, jakby winą Ludmiły było i to, że Iza ma problem z zajściem w ciążę, i to, że Ludmiła tego problemu nie miała. A przecież ta ciąża była zupełnie nieplanowana. Na dodatek była bezproblemowa, żadnych nudności czy trudności. Może dlatego dopiero na początku czwartego miesiąca zdała sobie sprawę, że rośnie w niej mały człowiek. Nerwowe wyliczenia wykazały, że jest to jeszcze jedna pamiątka przywieziona z wakacji w Egipcie.

Przypomniała sobie, jak była wściekła, kiedy się dowiedziała o ciąży. Matka też była zła na Ludmiłę, wyrokując zmarnowane życie, Krzysztof zapytał, czy pomyślała, jak to wpłynie na jego wizerunek, a Iza stwierdziła, że to było do przewidzenia. Ludmiła rozumiała, że zapracowała sobie na ten brak wsparcia swoim zachowaniem – piciem, prowadzeniem po pijanemu i innymi grzechami, nie zmienia to jednak faktu, że bolało. Jednak kiedy zobaczyła córeczkę i po raz pierwszy popatrzyła w wielkie, ciemne oczy, odziedziczone po bezimiennym ojcu, doszła do wniosku, że może to być jedna z lepszych rzeczy, które jej się w życiu przytrafiły. Oto przyszedł na świat ktoś, kto będzie ją kochał bezwarunkowo i dla kogo warto zacząć wszystko od nowa.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Izy:

– Po twoim wyjściu zadzwoniłam na policję. W ogóle nie chcieli mi uwierzyć, że znalazłam trupa! – zbulwersowała się.

Ludmiła puknęła się w czoło i wzrokiem pokazała otwarte drzwi do salonu. Telewizor co prawda ryczał dość głośno, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Masz rację. – Iza kiwnęła głową. – Lepiej chodźmy na górę.

Dom rodziny Janickich był duży, żeby nie powiedzieć ogromny. Postawił go dziadek Tadeusz, według własnego projektu, kilka lat po przybyciu do tego malowniczego miasteczka na Dolnym Śląsku. Dziadkowie nie byli repatriantami. Rzuciła ich tu wojenna zawierucha.

Babcia Jadzia pochodziła z Warszawy. W czasie powstania dzielnie opatrywała rany żołnierzom. Opuściła stolicę razem z ludnością cywilną, jak się potem okazało, na zawsze. Wojna wciąż trwała, pielęgniarki były potrzebne i dlatego znalazła się w szpitalu polowym, a wraz z nim w Berlinie. Tu na dwa dni przed kapitulacją trafił pod jej opiekę młody mężczyzna o ślicznej twarzy. Lekarz obejrzał jego ranę i tylko machnął zrezygnowany ręką. Jednak ani sanitariuszka, ani żołnierz nie zamierzali się poddać i walczyli ze śmiercią równie zajadle, jak wcześniej z faszyzmem.

Gdy Tadeusz poczuł się trochę lepiej, ruszyli na wschód. Zatrzymali się zaraz za nową polsko-niemiecką granicą. To miejsce polecił im lekarz, który w Berlinie opiekował się Tadeuszem. Mówił, że przed wojną to było słynne uzdrowisko, że powietrze tam leczy. Czy leczyło powietrze, czy miłość, tego już nie wiadomo. Grunt, że mężczyzna szybko dochodził do siebie. Przez jakiś czas młoda para rozważała, czy nie wrócić do Warszawy. O ich losach zadecydowały w końcu władze miasta, proponując Tadeuszowi pracę przy planowaniu odbudowy – przecież był architektem. Trzyosobowa już wtedy rodzina najpierw zajmowała małe mieszkanie w kamieniczce, niedaleko rynku. Potem dziadek



znalazł piękny plac pod miastem. Tam postawił dom. Z ogromną piwnicą, w której rodzina mogłaby się schronić na wypadek bombardowania. Na szczęście nigdy nie było takiej potrzeby. Za to ciągnęło od niej chłodem i kolejne pokolenia młodych Janickich chodziły zakatarzone.

Jadzia została pielęgniarką w szpitalu. W zasadzie bywała nią między rodzeniem a odchowyaniem kolejnych dzieci. Najpierw na świat przyszedł Bronisław. Poszedł w ślady ojca, został architektem, a ponieważ jego wizje świata nijak nie przystawały do peerelowskiej rzeczywistości, wyjechał do Kanady. Potem urodziła się Maria, o której mówiono Szalona Maryśka. Malarka, poetka, niespokojny duch. Wyszła za równie szalonego co ona Szkota i prowadzą pub w Glasgow. Po kilku latach przerwy Jadwiga znów zaszła w ciążę. Ślicznego synka nazwano Jerzy. Cechowały go spokojny charakter i miłość do historii. Po ukończeniu studiów we Wrocławiu wrócił do rodzinnego miasta, by szybko awansować na dyrektora szkoły. I choć wiele kobiet wodziło za nim oczyma, on zdawał się ich nie widzieć. Na szczęście dla trwałości rodu Jadwiga wzięła sprawy w swoje ręce i zaprosiła na niedzielny obiad Basię, młodą panią doktor z pediatrii. Nie minął rok, gdy na świat przyszedł Krzysztof. Ten najmłodszy dziedzic nazwiska od początku miał problemy z nauką, co pewnie martwiłoby rodziców, gdyby nie to, że Krzyś dość szybko ujawnił wielki talent organizacyjny. Już w technikum działał na rzecz miasta w najróżniejszych organizacjach. Ludzie szanowali go i lubili, i w końcu zrobili radnym. Teraz Krzysztof starał się o stanowisko burmistrza i był najpoważniejszym kandydatem.

Kilka lat po urodzeniu Krzysztofa Jerzy i Barbara znowu zostali rodzicami. Matka skrycie marzyła, że będzie to dziewczynka. I była, ale ku zaskoczeniu wszystkich nie jedna. Bliźniaczki nazwane Ludmiła i Izabela, przez długi czas były lokalną atrakcją. Dwie śliczne, rezolutne dziewczuszki skupiały na sobie uwagę wszystkich. Aż dorosły i bycie ciągle w centrum zainteresowania zaczęło im przeszkadzać. Każda radziła sobie z tym na swój sposób. Iza zamknęła się w wieży z książek, wyjechała na studia i robiła karierę w Warszawie. Ludmiła, diabelnie zdolna i inteligentna, też chciała zdobyć wyższe wykształcenie, jednak rzuciła medycynę po pierwszym roku. Próbowwała antropologii, kulturoznawstwa, nawet filozofii. W końcu przerwała studia i zadowoliliła się prowadzeniem imprezowego życia. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, podkuliła ogon pod siebie i wróciła do domu.

– Dlaczego tak długo cię nie było? – chciała wiedzieć Ludmiła, kiedy drzwi jej pokoju się zamknęły i nikt nie mógł już słyszeć ich rozmowy.

– Rutynowe czynności śledcze tyle trwają. Wiesz, że musi przyjechać lekarz, żeby stwierdzić, że trup to trup?

– O co cię pytali?

– Jak go znalazłam i czy go znałam. Powiedziałam, że tak, bo kiedyś był u nas w domu. Wydawał się być miły. Nie był? – zapytała Iza, widząc, jak Ludmiła krzywi się z niesmakiem.

– Jak byłaś mała, to cię nie zaczepiał?

– Zaczepiał? – Iza nie zrozumiała.

– Nie chciał oglądać twoich piersi?

– Chodzi o molestowanie, tak?

Ludmiła musiała przyznać, że siostra nie ma problemu z nazywaniem rzeczy po imieniu. Skinęła głową.

– Chcesz porozmawiać?

– Ja nie mam ochoty rozmawiać z tobą o pogodzie, a co dopiero o traumatycznych wydarzeniach z dzieciństwa.

Iza nie skomentowała tej wypowiedzi. Wiedziała, że w takich sytuacjach rozmowa przynosi ulgę. Może jednak nie była właściwą osobą? Najlepszy byłby psycholog, ale bała się to zaproponować. Lepiej będzie, jeśli podpowie mamie, żeby zasugerowała Ludmile wizytę u specjalisty.

– Przykro mi – powiedziała tylko.

– Spotkała go kara.

– Jak myślisz, kto to mógł zrobić?

– Nie obchodzi mnie to. Nie mam zamiaru o tym myśleć. Idę spać. Tobie też radzę. I wymownym spojrzeniem dała Izie znać, że już czas na nią.

Jarek Nowak usiadł na tym samym krześle, które wcześniej zajmowała Iza. Wyciągnął nogi i z satysfakcją przyglądał się swoim sportowym butom. Model z zeszłorocznej kolekcji, o uniwersalnej budowie, czarny z granatowymi wstawkami. Ładne i wygodne. I czyste – w przeciwieństwie do zakurzonych półbutów Kowaluka.

Spojrzał na kolegę, który z zapamiętaniem szrajbował notatki służbowe.

– Jak chcesz, możesz iść. Sam na nich poczekam.

Bogdan podniósł wzrok znad notesu i przecząco pokręcił głową. Mieli już za sobą zabezpieczenie miejsca zdarzenia i teraz czekali na ekipę techniczną.

– Technicy będą mieli masę roboty. Tu odcisków palców jest więcej niż Chińczyków.

Kowaluk zachichotał.

– No. A morderca i tak zakłada rękawiczki.

– Mnie to nie wygląda na coś planowanego. Kto przy zdrowych zmysłach strzela do faceta w miejscu publicznym? Trzeba będzie jutro przejrzeć kartoteki i podzwonić po wariatkowach, czy im jakiś Eligiusz Niewiadomski nie uciekł.

– Myślisz, że ktoś chciał kropnąć powiedzmy burmistrza, a trafił... – Kowaluk przekartkował notes. – ...Andrzeja Musiała?

– Na obecnym etapie śledztwa nawet ta hipoteza wydaje się prawdopodobna – roześmiał się. – A ty tak pilnie tam bazgrolisz, bo liczysz, że stary da ci tę sprawę?

– Toż to zabójstwo. Kto by nie chciał?

Nowak nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie w tej chwili zjawili się technicy.

– To co, pędzelkujemy, panowie?

Policjanci skinęli głowami.

Iza z ociąganiem opuściła pokój siostry i udała się do swojego. Miały po sześć lat, gdy rodzice postanowili umieścić je w osobnych pokojach. Tłumaczyli to brakiem miejsca na biurka w ich wspólnym pokoju. Tak naprawdę pragnęli położyć kres awanturom, które wciąż wybuchały między dziewczynkami. Iza lubiła swój pokój, ale gdy go opuszczała, miała nadzieję, że na zawsze. Nie sądziła, że tu wróci. Tymczasem stało się to jedyną opcją, gdy jej życie wypadło z drogi na zakręcie. Teraz wszystko było

nie tak.

Iza chciała iść na studia do Wrocławia, na historię, śladami ukochanego ojca. Tylko że Ludmiła szła na wrocławską medycynę i było jasne, że od siostry nie ucieknie. Rodzice nie wyraziliby zgody na osobne mieszkania. Akademik mógł być ratunkiem, ale w tym samym mieście siłą rzeczy siostry spotykałyby się czasami. Nie to, żeby Iza nie kochała Ludmiły. To przecież naturalne, że kochamy swoich bliskich. Po prostu męczące było stanowienie połowy pary i ciągle obrywanie za grzechy sprawiającej ciągle problemy i ściągającej na siebie kłopoty bliźniaczki. Iza chciała być sobą. Zdecydowała się więc na lingwistykę stosowaną w Warszawie. To był dobry pomysł. Studia jej się podobały, miasto też, a najbardziej podobał jej się chłopak, który mieszkał piętro niżej w akademiku. Miał jasną czuprynę i śliczne zielone oczy. Nosił okulary i rozciągnięty szary sweter. Był niesamowicie słodki. Bardzo się zdziwił, kiedy się dowiedział, że Iza żywo się nim interesuje. Zaczęli się spotykać i wkrótce nie mogli już bez siebie być. To nie była tylko młodzieńcza miłość. Byli przyjaciółmi, wspierali się i opiekowali się sobą nawzajem. Po studiach zamieszkali razem w kupionym na kredyt mieszkaniu. Iza pracowała w agencji reklamowej i jednocześnie robiła doktorat. Paweł został architektem w dużym biurze projektowym. Było super. A wtedy zadzwoniła matka natura. Najpierw były to tylko delikatne sugestie. Iza dostrzegła, że wszędzie wokół są dzieci. Na ulicach, w autobusach, w parkach. Uświadomiła sobie ich słodycz. I to, jakie są miłe, mądre, zabawne. Zorientowała się, że w centrach handlowych są sklepy z rzeczami dla dzieci. Oglądała ubranka, które wyglądały jak dla lalek, i nagle nade wszystko na świecie zapragnęła mieć kogoś, kogo mogłaby w nie ubierać. Powiedziała Pawłowi. Przyjął to z pewną rezerwą, ale nie był przeciwny. Tylko może jeszcze nie teraz. Iza zgodziła się, że może poczekać. Nie mogła. Odstawiła pigułki i czekała na nowe życie. Myślała, jak to będzie, gdy zajdzie w ciążę i będzie musiała powiedzieć Pawłowi o tym. Ukochany się zorientował, nic nie powiedział. Odniosła wrażenie, że seks jest mniej seksualny, a bardziej prokreacyjny. Jakby Paweł się przykładał. Jakby mu zależało. To sprawiło, że stał się jej bliższy i droższy. To był dobry czas. I w końcu coś w niej zakiełkowało. Była szczęśliwa. Tak bardzo niewyobrażalnie szczęśliwa. Niestety tylko dwa miesiące. Potem była krew na prześcieradle, dużo łez i bólu. Miała wrażenie, że Paweł nie rozpacza tak mocno, jak powinien. Lekarz powiedział, że nie ma przeciwwskazań do kolejnej próby, ale przecież nie mogła tego zrobić sama, a Paweł nie był chętny do współpracy. Unikał stosunków, potem zaczął unikać sypialni, a w końcu Izy. Gdy dostał propozycję pracy w Belgii, przyjął ją, nie pytając nawet żony o zdanie. Ona zaś nie powiedziała mu tego, czego kilka dni wcześniej dowiedziała się z testu ciążowego. A kiedy Paweł pakował walizki, Iza też to zrobiła. Pod wpływem impulsu postanowiła pojechać do domu rodzinnego. Miała nadzieję, że znajdzie tu spokój, tak potrzebny do przemyśleń.

Teraz podniosła klapę laptopa.

„Co tam?” – pytał mąż.

„W porządku” – odpowiedziała. – „A u Ciebie?”

„Tak samo”.

„To dobrze”.

I tyle.

Po czym można poznać, że małżeństwo się rozpadło?

*Jedenaście dni temu*

Iza miała ciężką noc i jeszcze gorszy poranek. Jakiś czas temu przeczytała, że poranne nudności u większości kobiet ustępują w drugim trymestrze. Czekając na ten moment z niepokojem, istniała przecież możliwość, że należy do tych nieszczęśnic, u których poranne nudności nie ustępują, zamieniając ciążę w dziewięć miesięcy udręki.

Wymęczona zeszła do kuchni, żeby splukać gorącą herbatą cały ten niesmak, który miała teraz w przetyku.

Przy stole siedziała Emilka, najstarsze dziecko Krzysztofa. Była uderzająco podobna do matki – wysoka i smukła. Miała delikatne rysy, ciemne oczy w kształcie migdałów i ciemne, proste włosy. To znaczy kiedyś ciemne, a obecnie rude z pasmami soczystej zieleni. Kolczyk w brwi i koszulka z logo Amnesty International świadczyły o tym, że to dziecko ma już swoje poglądy.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie Iza.

– Bry! – odpowiedziała Emilka, nie odrywając oczu od wyświetlacza swojego telefonu.

– Nie wiedziałam, że tu nocujesz – zagaiła Iza, ciągle grzeczna. Przerazało ją to, że zupełnie nie potrafi rozmawiać z bratanicą.

– Szambo! – Emilka pogardliwie wydeła wargi.

Iza sięgnęła po czajnik i nalała do niego wody. Otworzyła szafkę, żeby wyjąć kubek... albo kubki.

– Chcesz herbaty?

Emilka mruknęła coś niejednoznacznie. Iza, narzekając w duchu na dzisiejszą młodzież, na wszelki wypadek wyjęła też drugi kubek.

– W domu wszystko w porządku? – zapytała, żeby przerwać ciszę, która jej ciążyła.

Nastolatka spojrzała na ciotkę jak na wariata.

– Ojciec, pod pozorem uprawiania polityki lokalnej, idzie chlać. Matka, pod pozorem spotkania z koleżankami, idzie chlać. Podrzucają więc dzieci starej kobiecie, która jest ich babką. Tak, w domu wszystko w porządku.

To była najdłuższa wypowiedź Emilki, jaką Iza słyszała od dawna. Pamiętała, że kiedyś ta dziwna, chuda nastolatka była małym, pulchnym aniołeczkiem, który nosił różowe sukienki, marzył o tym, żeby zostać wróżką albo ewentualnie syrenką, i opowiadał kochanej cioci o wszystkim, co wydarzyło się w przedszkolu. To było jakieś osiem lat temu. Szmata czasu. Teraz ciotka, stara i skostniała, mogła liczyć tylko na słowa takie, jak „szambo” albo „beznadzieja”. Najbardziej zaś dziwiło ją to, że ani Krzysztof, ani jego żona nic z tym nie robili. Jakby zupełnie im nie przeszkadzało, że ich córka zmienia się w monstrum. Kiedy Iza próbowała kiedyś poruszyć ten temat, lekceważąco machnęła rękami, mówiąc, że to taki wiek.

Postawiła przed bratanicą kubek z herbatą. Emilka popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Nie chciałaś herbaty? – zapytała Iza niepewnie.

Emilka podsunęła jej pod twarz tekturkę z logo.

– To nie herbata! To wyzysk biednych azjatyckich kobiet. Przez gardło by mi to

nie przeszło. – Oburzona wstała i wyszła z kuchni. Iza słyszała, jak mruczy „beznadzieja” pod jej adresem.

Westchnęła, siadła na ciepłym jeszcze krześle i powoli piła wyzysk. Smakował podle. Nie zdążyła jeszcze dopić do połowy kubka, kiedy w kuchni zjawiała się mama.

– Dzień dobry, kochanie – przywitała się. Podeszła do Izy, pocałowała w policzek i pogładziła po głowie. – Jak się czujesz? – zapytała z troską w głosie.

– Nieźle. – Iza trzymała fason.

– Kiepsko wyglądasz.

Iza zdawała sobie sprawę, że rano zawsze kiepsko wygląda. Cięża nie miała tu nic do rzeczy. I bez niej budziła się z nieświeżym oddechem, pomarszczoną skórą i worami pod oczyma. Na głowie miała wronie gniazdo. To, jak genetyka była dla niej okrutna, widziała, patrząc rano na matkę. Ubrana w klasyczną, jedwabną piżamę i takiż szlafrok Barbara wyglądała jak wycięta z niemieckiego katalogu. Jej jasne włosy były nieskazitelnie gładkie, twarz promienna, oczy błyszczące. Nawet zmarszczki wyglądały, jakby je zrobiono od linijki. Wokół siebie Barbara roztaczała przyjemny zapach mydła i kremu do rąk.

– Jesteś strasznie blada – zauważyła matka.

– Źle spałam – przyznała Iza. – „Męczy mnie sumienie” – dodała w myśli. I żeby przekonać matkę, że wszystko jest w porządku, zaproponowała:

– Zrobię ci kawę.

Włączyła czajnik. Wszyscy w rodzinie pili kawę z ekspresu, ale mama pozostała wierna „plujce”. Dwie czubate łyżeczki, najlepiej świeżo zmielonych ziaren i wrzątek. Wlewając wodę do kubka, Iza wdychała niepowtarzalny aromat. Tak pachniało całe jej dzieciństwo.

Kiedy postawiła kubek na stole, zauważyła, że mama jest nieobecna myślami.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Barbara popatrzyła na córkę, na jej twarzy malowało się wahanie. I wiele, wiele matczynej troski.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się denerwować. To sprawa dotycząca Krzysia... – Zawiesiła głos, co wyszło trochę teatralnie.

– Masz na myśli tego trupa w jego gabinecie? – Iza postanowiła skrócić jej cierpienia.

Matka patrzyła na nią zszokowana.

– Skąd wiesz?

Teraz Iza miała problem, jak i co powiedzieć. Najlepiej jak najmniej.

– Byłam tam wczoraj...

Na szczęście matka nie czekała cierpliwie do końca zeznania.

– Wiedziałaś już wczoraj i nic mi nie powiedziałaś? – zbulwersowała się.

– Rozmawiałam z Ludmiłą. Oglądałyście z babcią telewizję...

Mama skinęła głową.

– Masz rację, babci lepiej na razie nic nie mówić. Bardzo martwię się o jej serce. – Upiła kilka łyków gorącej kawy. – Ja muszę pędzić do szpitala. Odwieź chłopców do szkoły, a potem przyjedź do mnie.

– Jakich chłopców?

Matka spojrzała na córkę z wyrzutem.

– No przecież Kubusia i Antosia. Madzia przywiozła wczoraj wieczorem całą trójkę, bo miała spotkanie. Rano zadzwoniła, że kontaktowała się z nią policja. Pytali o Krzysia w związku z tą sprawą. Madzia uznała, że lepiej nie narażać dzieci i żeby prosto od nas pojechały do szkoły, a ja nie mogę się dziś spóźnić, więc...

Iza się przestraszyła. Wszystkie dzieci Krzysztofa? Nie tylko Emilka, ale jeszcze jej okropni młodsi bracia?

– Ale... ale ja nie mam fotelika. – Na czas swojego pobytu w rodzinnym domu Iza dostała do dyspozycji samochód taty, srebrne sportowe audi. Myślała, że na decyzję o zakupie takiego samochodu wpłynął kryzys wieku średniego. Ot, taka ekstrawagancja na stare lata. Nie rozumiała, dlaczego mama go nie sprzedała, kiedy jego wartość była jeszcze znaczna. Pewnie jakaś sentymentalna przyczyna zaważyła na tym, że stał ciągle w garażu. Ale fajnie było, kiedy kilka dni temu matka bez słowa wręczyła jej kluczyki. Dzięki temu czuła się niezależna.

– W garażu – rzuciła lakonicznie mama i wyszła z kuchni. – Jakby Emilka chciała jechać, to weź i ją. Choć z tą dziewczyną nigdy nie wiadomo – dobiegło już z korytarza.

Iza kilkoma łykami opróżniła drugi kubek herbaty i ruszyła na poszukiwanie dzieci.

Jarek Nowak siedział przy swoim biurku na komendzie. Nie spał dziś wcale. Kiedy wieczorem zadzwonił komendant i kazał mu jechać na zgon, poczuł ekscytację zawodową. Z pewną ciekawością obserwował działania techników. Czekał na prokuratora i Styks. Patrzył, jak doczesna powłoka Andrzeja Musiała, odziana w czarny wór, opuszcza gabinet i udaje się na spotkanie z lekarzem medycyny sądowej. Po drodze do domu wszedł na komendę i zdał dyżurnemu wszystkie notatki służbowe. W swoim mieszkaniu był tylko chwilę – przebrał się w dres i poszedł biegać. To mu trochę rozjaśniło w głowie. Wziął zimny prysznic, ubrał się szybko. Jakiś czas temu zauważył, że zbyt dobrze ubrany mężczyzna nie sprawdza się w roli policjanta. Wymuskany elegancik nie wzbudza w ludziach niepewności. Inaczej ma się sprawa z drwalopodobnym macho. A to ważne, bo łatwiej przesłuchiwać kogoś, kto się boi.

Wychodząc, rozejrzał się po mieszkaniu, czy panuje w nim idealny porządek. Kumple ze śmiechem nazywali go Pedancikiem. Nie rozumieli, że tylko idealnie posprzątane pomieszczenie stanowi odpowiednie tło dla nowoczesnego designu. Śmiali się, kiedy Jarek oświadczył, że jedzie do IKEA po szafkę nocną. No bo jak trzeba być szurniętym, żeby zasuć sto pięćdziesiąt kilometrów po jakąś drewnianą skrzynkę? Został policjantem, żeby sobie udowodnić, że jest prawdziwym facetem. I był. Zewnętrznie. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt, wyciskał na klatkę sto dwadzieścia kilo, podciągał się na jednej ręce. Testy sprawnościowe zaliczał bez zadyszki. I co z tego? Był samotny, a na dodatek czuł się osaczony. Popatrzył na zdjęcie stojące na komodzie. To była historia jak z melodramatu. Jakby opowiedział ją jakiejś kobiecie, płakałaby jak bóbr. Poznali się na forum wielbicieli twórczości Moniki Mulder. Rzucił mu się w oczy dowcipny komentarz porównujący konewkę do męskiej cewki moczowej. Wyraził swoje rozbawienie, pisząc na priv, i tak się zaczęło. Były rozmowy na Skypie do białego świtu, było przesyłanie sobie zabawnych kartek. Potem pierwsze spotkanie w realu. Jarek ciągle

czuł ten strach, kiedy wysiadł z samolotu na małym podparyskim lotnisku. Ale jedno spojrzenie w oczy Camille sprawiło, że strach zastąpiła euforia. Potem było wino, bagietki, wycieczki na Riwierę i mnóstwo radosnego seksu. Bajka trwała pięć lat. A potem była deszczowa noc, wypadek na autostradzie i telefon, który go obudził. Dzwoniła siostra Camille – „Byłeś najważniejszy” – powiedziała łamaną angielszczyzną. Przez ponad rok każda myśl o przeszłości była jak wbijanie sobie w serce haczyka wędkarskiego.

Na szczęście od jakiegoś czasu było łatwiej. A teraz, gdy zjawił się Bogdan, to już całkiem nieźle. Odnalazł w nim bratnią duszę i od razu go polubił. To na razie była relacja czysto zawodowa, ale Nowak miał nadzieję, że sprawy między nimi pójdą krok dalej. Potrzebował przyjaciela.

Wrócił na komendę. Wziął akta sprawy i zaczął je wnikliwie przeglądać. Na czystej kartce notował wszystkie informacje, które chciał zapamiętać.

Nowak wierzył w sprawiedliwość i porządną policyjną robotę. Taką opartą na służbowych notatkach, przesłuchaniach i psychologii. Nie jakieś amerykańskie ecie-pecie z DNA, jak w tym durnym serialu, w którym siedzą w laboratorium, machają probówkami i na koniec wsadzają akurat tego najmniej podejrzanego gościa. Żeby był suspens. Życie to nie jakaś tam Christie.

Starszy aspirant Jarosław Nowak wierzył też w policyjne przeczucie, a ono mu teraz mówiło, że w tej sprawie coś śmierdzi. Ktoś, kto tak jak on ukrywa przed światem swoją tajemnicę, jest wyczulony na sekrety innych. I teraz czuł, że coś było nie tak z tą dziewczyną. Kłamała. A Bogdan albo tego nie widział, co znaczyło, że był idiotą, albo zobaczyć nie chciał, co znaczyło, że był idiotą i będzie miał kłopoty. Na wspomnienie maślanego spojrzenia, jakim Kowaluk pieścił nogi dziewczyny, Nowak poczuł złość.

Dowiem się, co ona kombinuje, pomyślał.

To był absolutnie zły poranek. Pełen wrzasków, poganiania, mówiących jednocześnie ludzi. Iza czuła, jak niewiele brakuje, by dostała migreny. Na szczęście byli już pod szkołą i dzieci powoli gramoliły się z samochodu.

– Miłego dnia – rzuciła za nimi. W odpowiedzi usłyszała pomruki Emilki, że jest żalowo.

Już miała odjechać, ale zmieniła zdanie. Potrzebowała odrobiny świeżego powietrza. Zamknęła samochód i ruszyła w dół ulicy.

Ledwie zrobiła kilka kroków, kiedy usłyszała za sobą wesołe „Dzień dobry!”. Zatrzymała się gwałtownie.

– Przyszła pani uzupełnić zeznania?

Policjant, ten, z którym wczoraj rozmawiała, Bogdan Kowaluk nonszalancko opierał się o pień kasztanowca. Cień zarostu pokrył jego policzki, a cedrowy zapach dezodorantu walczył o palmę pierwszeństwa z ostrą wonią męskiego potu. Koszula zyskała setkę nowych zagnieceń. Nie był w domu – zauważyła Iza.

Obiekt jej wnikliwej dedukcji uśmiechał się uprzejmie i wyglądał na wyraźnie zadowolonego ze spotkania.

Coś w mózgu mówiło Izie, że to jest właściwy moment, żeby przerwać całą tę maskaradę. Jeśli przyzna się teraz, to nie będzie żadnego utrudniania śledztwa czy

współdziału. Nie będzie miała żadnych kłopotów. Ona nie, ale siostra tak. I choć była to istota głupia i nieodpowiedzialna, to na pewno nikogo nie zabiła. A skoro Ludmiła nie była morderczynią, Iza musiała zostać kłamczuchą.

– Nie! Skąd ten pomysł?

Policjant wymownie spojrział na gmach, naprzeciwko którego stali.

„Komenda policji” – przeczytała napis. No tak. Już zapomniała, że tuż przy szkole znajdowała się, jak to mówili uczniowie, „psiarnia”. Można powiedzieć, że program „Bezpieczna szkoła” był tu realizowany wzorcowo.

– Odwiozłam bratanków do szkoły i postanowiłam się przejść – wyjaśniła i powoli ruszyła przed siebie.

– Jakbyśmy byli w jakimś dużym mieście, to zaprosiłbym panią na kawę. Ale tu jest jedna kawiarnia, a otwierają ją o dwunastej – powiedział wesoło.

– Nie szkodzi. Ja i tak nie pijam kawy – odpowiedziała Iza chłodno.

– Mnie się zdarza. – Policjanta najwyraźniej nie zraził jej ton. – Czasem, jak się jakaś robota w nocy trafi, to nawet sporo. Ale takie noce to rzadkość, to spokojne miasto. Czasem kradzież, rozróżba w barze albo przemoc małżeńska. Taka sprawa jak to zabójstwo to pewnie pierwsza w tym dziesięcioleciu.

– Pan w ogóle może ze mną o tym rozmawiać? – zapytała Iza.

Policjant przez chwilę przyglądał się jej badawczo. Potem się roześmiał.

– Oczywiście. Jak zwykły mawiać mój dziadek: kiedy nadarza się okazja, żeby porozmawiać z piękną kobietą, należy ją wykorzystać.

Iza poczuła, jak pod wpływem zdenerwowania krew uderza jej do twarzy. Policjant, widząc rumieniec dziewczyny, zdał sobie sprawę, jak dwuznacznie zabrzmiało to, co powiedział, i strasznie się zmieszał.

– Przepraszam. Nie chciałem pani urazić.

– Chyba powinnam już wracać – powiedziała Iza, zawracając w kierunku samochodu.

Do parkingu doszli w milczeniu. Pożegnała policjanta chłodno i szybko odjechała.

Bogdan został sam. Sam jak palant, którym zresztą był. Co mu strzeliło do łba z tym „żeby ją wykorzystać”? Ciekawe, co ta dziewczyna teraz o nim myśli. W zasadzie łatwo wydedukować. A tak dobrze mu wczoraj szło. Chyba na tym właśnie polega jego problem z kobietami. Nieźle zaczyna, a potem wszystko pieprzy. Bo choć jego byłej można wiele zarzucić, to, że ich związek się rozpadł, to akurat jego wina.

Może powinien kupić tej dziewczynie kwiaty? A swoją drogą to słodkie, że jest taka, po staroświecku, skromna.

Po powrocie do domu Iza chciała pójść prosto do siebie, ale zatrzymała ją babcia.

– Telefon zostawiłaś w domu – wyjaśniła. – A dzwonił bez pamięci. Teraz też coś tam miga.

I pociągnęła wnuczkę do kuchni, gdzie na stole leżał telefon.

– Ludmiłki to odbiorę, bo tam wystarczy palcem dziugnąć. A twój jakiś inny. To nic nie dotykałam.

Iza wzięła telefon i włożyła do kieszeni spodni.

– A sprawdź, kto to dzwonił. – Nestorka Janicka wyglądała na bardzo



zainteresowaną. Rad nie rad, Iza wyciągnęła telefon.

– Mama, Ludmiła i Magda – przeczytała.

– A czego chcieli?

– Nie wiem, babciu. Jak coś ważnego, zadzwonią jeszcze raz.

Babcia przymrużyła oczy i lekko przekrzywiła głowę. Wyglądała trochę jak ptak, który zastanawia się, czy warto dziobnąć to, co przed nim leży.

– Coś się stało, ale mnie nic powiedzieć nie chcą. Rano straszne hałasy były.

– Dzieci Magdy nocowały, zawiozłam je do szkoły – wyjaśniła Iza. Jako jedyna nie nazywała bratowej Madzią, tylko zwyczajnie Magdą. Pewnie była też jedyną osobą, która naprawdę ją lubiła. Pozostali udawali sympatię tylko ze względu na Krzysztofa.

– Znaczy albo znowu się pożarli, albo czwarte robią – stwierdziła babcia.

Iza westchnęła. Nie rozumiała mamy, która dla dobra babci spowijała ją siecią kłamstw i niedomówień, jakby ta była dzieckiem.

– Tym razem to co innego. W gabinecie Krzysztofa był trup.

– Jaki łup? – zacięła się babcia.

Iza poprawiła jej aparat słuchowy.

– Trup – powiedziała głośno i wyraźnie.

– Ale taki całkiem nieżywy? – Babcia podekscytowała się jak nastolatka. – I to Krzysztof go zabił?

– Ależ skąd, co też babcia! – zbesztła staruszkę Iza. – Krzysztofa tam nawet nie było. Miał spotkanie z wyborcami. Z trupem nie ma nic wspólnego.

– A tam nie ma. Polityki mu się zachciało. Teraz będzie miał jakiego łotergejta, prizma, albo i co gorszego. Idę, dziadkowi opowiem.

– Babciu...

– No co? Niech ma trochę rozrywki na stare lata.

Nestor Janicki zwykł mawiać, że starość obnaża ludzkie słabości. Tak było w jego przypadku. Posłuszeństwa odmówiły nogi. Laskę zastąpił najpierw balkonik, potem wózek. Nie tylko ciało się starzało. Pamięć też. Wstydząc się swoich słabości, dziadek rzadko opuszczał pokój. A może to była tylko wymówka, żeby jak najmniej czasu spędzać z rodziną?

Bogdan zgasił papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i energicznie roztarł końcem buta. Przed chwilą dzwonił na domowy numer Krzysztofa Janickiego. Po raz kolejny usłyszał „Męża jeszcze nie ma”. „Niech się z nami skontaktuje” – poprosił i się rozłączył. Potem wszedł na komendę i siadł przy swoim zawalonym papierami biurku. Otworzył jedną z leżących na nim teczek i zaczął bezmyślnie przerzucać kartki. Sprawy kryminalne nigdy nie wyglądają tak, jak mogłoby się wydawać. Bogdan marzył, żeby choć raz w życiu mieć do czynienia z zimnokrwistym morderstwem i zbrodnią perfekcyjnie zaplanowaną. A tu? Same banały. Kradzież roweru, kradzież samochodu. Ostatnio trafiła im się sprawa, którą rozwiązali w ciągu dziesięciu minut. Właściciel monopolowego przyszedł zgłosić kradzież dwóch skrzynek wódki. Bogdan jeszcze nie zdążył wypełnić papierów, a już dzwonił ze szpitala, że mają dwóch nastolatków w stanie ciężkim, po przepiciu.

Ten trup wyglądał obiecująco. Nie należało sobie jednak robić nadziei. Nowak

twierdził, że zamkną sprawę w ciągu dwóch tygodni, bo tylko pozornie wygląda na skomplikowaną. I nie dane się będzie przy niej wykazać. A Bogdan chciał się wykazać.

Kowaluk – chłopak z podlaskiej wsi. Rodzicom wiodło się raz lepiej, raz gorzej, a kiedy dzieci zaczęły dorastać, to już tylko gorzej. Dzieciaki nie były głupie, dobrze się uczyły, chciały uciec ze wsi. Najstarsza córka skończyła polonistykę i uczyła w białostockim liceum. Druga po farmacji została w Warszawie. Pracowała w przyszpitalnej aptece. Starszy brat Bogdana skończył ekonomię i pracy znaleźć nie mógł. W końcu wyjechał na Wyspy, gdzie został. Bogdan miał iść na prawo. W ostatniej chwili coś mu odbiło i zamiast do Warszawy na egzaminy, pojechał do Szczytna. I wcale nie żałował. Inteligentny, ambitny, miał potencjał na dobrego śledczego i w pracy układało mu się bardzo dobrze. Problem stanowiło życie osobiste. A właściwie ten korowód kobiet, który się przez nie przewijał. Policjantki, barmanki, pielęgniarki, nauczycielki, a na koniec Karolina – urocza pani geolog, która przyszła na komisariat zgłosić kradzież roweru i została w życiu Bogdana na trzy lata. Już po roku bycia razem zaczęli planować ślub. Bogdan poprosił o przeniesienie na Dolny Śląsk, żeby być bliżej narzeczonej, która badała w Izerach osady w skałach bazaltowych. Nagle coś zaczęło się psuć. Było tak źle, że Bogdan prawie nie wychodził z pracy. Kiedy zdecydował się wrócić do domu, Karoliny nie było, a na stole w kuchni leżał list. Jeżeli kartkę, na której było tylko jedno słowo „Dupek!”, można nazwać listem. Bogdan próbował wszystko naprawić. Zadzwoił i wziął na siebie całą winę za to, że między nimi źle się działo. Trochę na to za późno, powiedziała, związki powinny się opierać na partnerstwie. Dodała, że czas, by dorósł i poważnie się zaangażował. „Jesteś miły i zabawny, ale w pewnym momencie to za mało”. Na koniec powiedziała jeszcze, że ma kogoś innego. Bogdan sprawdził. To ostatnie okazało się kłamstwem. Niestety, tylko to.

W małych miastach trudno uniknąć niechcianych spotkań. Dwa sklepy, trzy ulice, jedna apteka. Dlatego Bogdan poprosił o przeniesienie. I tak oto, dwa tygodnie temu, z dobytkiem, który zmieścił się w kartonowym pudle, zjawił się w nowym miejscu.

Postanowił dać sobie czas. Poczeka, dorośnie, żeby nie być dupkiem. Obiecywał sobie, że nie będzie się angażował w związki. Na razie żadnych kobiet. Do wczoraj całkiem nieźle mu szło. A teraz w głowie ciągle miał twarz tej dziewczyny.

Krzysztof już nie spał. Leżał jednak z zamkniętymi oczami. Czuł się tak, jakby wewnątrz jego czaszki było falochronem, o który miarowo uderza woda. Nie dość że huczy, to jeszcze boli jak cholera. W ustach za to czuł plażę: sucho, drapało piaskiem i śmierdziało gnijącymi wodorostami. Przejechał zdrętwiałym językiem po spierzchniętych wargach. Co za pieprzony kraj, w którym nie da się robić polityki bez kaca. Ależ zapił! Madzia znowu będzie wściekła. Otworzył oczy i się rozejrzył. Beżowy pokój, czysty i pozbawiony indywidualności.

Mimo że podniósł się bardzo powoli, jego ciało zaprotestowało gwałtownie. We łbie łupnęło potężnie, oczy prawie opuściły oczodoły. Krzysztof odruchowo potarł skronie. Nie pomogło. Potrzebował aspiryny i wody. Ostrożnie rozejrzył się za telefonem. Leżał na nocnym stoliku. Krzysztof podniósł go i popatrzył na wyświetlacz. Co jest? Lista nieodebranych połączeń była nieskończenie długa. Czy w ciągu ostatnich dwunastu godzin była przynajmniej jedna osoba, która do niego nie dzwoniła?

Miał ochotę wezwać swojego asystenta. Artur przyjedzie, odreanimuje Krzysztofa i załatwi mu to łóżko na jeszcze jedną noc. Poczucie obowiązku jednak zwyciężyło i wybrał numer żony.

– Co się z tobą, do cholery, dzieje? – przywitała go z pretensją. W zasadzie tego się spodziewała.

– Sorry, zapilem... praca...

W bardzo wulgarnych słowach wyraziła swój stosunek do jego pracy.

– Policja cię szukała – dodała jeszcze.

– Czego chcieli? – Krzysztof nie był zbyt zaskoczony. Pewnie znowu źle zaparkował.

– Ich pytaj. Mnie nic nie powiedzieli. – I rozłączyła się.

Westchnął. Piętnaście lat temu popełnił największy błąd swojego życia, oświadczając się tej kobiecie. Szybko zorientował się, że to była zła decyzja. Ale w drodze była już Emilka. Droga ewakuacyjna została bezpowrotnie zamknięta. Przez jakiś czas wydawało mu się, że tylko on jest nieszczęśliwy w małżeństwie. Madzia wyglądała na zadowoloną. Lubiła się zajmować domem i córką. Wieść o kolejnej ciąży wprawiła ją w stan niemal euforyczny. Z zewnątrz wyglądali jak obrazek idealnej rodziny. Aż pewnego dnia Krzysztof zauważył, że nie tylko on udaje. Wtedy iluzja pękła. Zaczęły się kłótnie, które szybko zmieniały się w awantury, wyzwajające w obojgu pierwotne instynkty. Dlatego pewnie każda z nich kończyła się w łóżku. To był mroczny, zły seks, pełen agresji. Na szczęście skończył się wraz z poczęciem Kubusia. Od tamtej pory było już tylko obopólne udawanie, że wszystko jest w porządku. Dla dobra dzieci i rodziny. A przede wszystkim dla dobra kariery politycznej Krzysztofa.

Zastępca burmistrza ciężko opadł na łóżko. Postanowił dać sobie jeszcze kilka minut, zanim stawi czoło rzeczywistości.

Potem wstał i poszedł do łazienki wziąć zimny prysznic. Po głowie ciągle tłukło mu się pytanie, czego, do cholery, chce policja. Jedyna logiczna odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy, to taka, że chodzi o Ludmiłę. Pewnie dlatego nie przywiozła mu tych dokumentów. Co mu strzeliło do głowy, żeby ją po nie posyłać? Ciekawe, co nabroiła tym razem i czy naprawdę nie mogła z tym poczekać do końca kampanii wyborczej. Może da się sprawę zatuszować, zanim te szczury z prasy lokalnej się dowiedzą.

W recepcji siedziała drobna blondynka, która na widok Krzysztofa lekko się zarumieniała. „Aż tak?” – zdziwił się.

– Proszę mi wybaczyć, wczoraj przemawiał przeze mnie alkohol – powiedział do dziewczyny.

– Mam tylko nadzieję, że nie kłamał – odpowiedziała zalotnie.

– Jeśli powiedział, że jest pani śliczna, to na pewno nie kłamał – skomplementował recepcjonistkę Krzysztof i, żeby rozmowa nie potoczyła się w nieodpowiednim kierunku, szybko dodał: – Chciałbym uregulować należność za pokój.

– Pan burmistrz już się tym zajął – wyjaśniła.

Burmistrz. Wczoraj podszedł do Krzysztofa, kiedy ten siedział w barze, próbując splukać gorzki smak porażki mocną wódką. Powiedział, że czasem coś się nie udaje, nie należy się poddawać, trzeba ruszyć do przodu. Zasugerował mniej oficjalną rozmowę.

„Może zaprosimy gdzieś naszych przedsiębiorców?”. Z reszty wieczoru Krzysztof pamiętał tylko stół zastawiony butelkami i oślinione wargi przedsiębiorcy pogrzebowego na swoim policzku „Ale Krzysiu... ja ciebie... bardzo kocham... bardzo... mów mi Rysiek”. Reszta wspomnień zniknęła w czarnej dziurze.

– W takim razie dziękuję i życzę pani miłego dnia. – Nieznacznie skinął głową i ruszył ku wyjściu, odprowadzany tęsknym spojrzeniem dziewczyny.

Dopiero na podjeździe zdał sobie sprawę, że przecież nie dojdzie do miasta piechotą. Pensjonacik, do którego przenieśli się wczoraj po spotkaniu przedwyborczym, żeby, jak to nazwał burmistrz, obmyślać strategię rozwoju miasta, leżał na dalekich peryferiach, bo nie jest rozsądnie szlajać się po knajpach w mieście.

Janicki zadzwonił po taksówkę. Powiedział, że będzie czekał przed bramą. Wolał nie wracać do ślicznej recepcjonistki. To znaczy chętnie by tam wrócił, ale bał się, że to by się mogło skończyć w jednym z tych beżowych pokoi, a tego też wolał uniknąć. Oparł się o filar bramy. Obmacał kieszenie i znalazł paczkę papierosów. Zapalił jednego i westchnął z ulgą. Aspiryna, nikotyna, jeden diabeł. Ale rzuci, po wyborach na pewno rzuci.

Siedział już w taksówce, kiedy zadzwonił telefon.

– Słucham? – rzucił chrypliwie. Odchrząknął. Ależ mam przepity głos, pomyślał.

– Dzień dobry. Młodszy aspirant Kowaluk. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Dotyczących? – zapytał Krzysztof.

– Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli spotkamy się na komendzie. – Rozmówca Krzysztofa miał miły, młody głos. I stanowczy. To był ten rodzaj zaproszenia, którego się nie odrzuca.

– Będę za pół godziny. Proszę mi tylko powiedzieć, czy chodzi o moją siostrę?

Chwila milczenia, jakby tamten się zastanawiał.

– Nie. Nie chodzi o nią – ostatnie słowo powiedział jakoś cieplej albo przynajmniej tak się Krzysztofowi wydawało.

Gdyby Krzysztof mógł zobaczyć twarz aspiranta w chwili, gdy wspominał o swojej siostrze, dostrzegłby, że oczy tamtego się rozjaśniły.

Siergiej Wolatow wszedł do wielkiej kuchni swojej ogromnej willi. Nastawił ekspres do kawy i zaczął przygotowywać sobie posiłek. Lubił pożywne, tłuste śniadania w angielskim stylu, składające się z jajecznicy, smażonego boczku i kiełbasek. I zawsze sam je sobie przygotowywał. Gospościa przychodziła dopiero w porze obiadowej. Na szczęście nie miał nigdy problemów z nadwagą. Na dodatek jego ciało starzało się jakby wolniej. Skóra na piersiach i brzuchu wciąż młodzieńczo połyskiwała. Mięśnie ciągle były napięte i twarde. A dziewczyny, które miewał, nigdy nie narzekały. Trzeba powiedzieć Miszce, żeby mu jakąś dziś przyprowadził. A właśnie, Miszka. Na wspomnienie chłopaka Siergiej poczuł lekką złość. Trzeba go natychmiast wezwać i dowiedzieć się, co wczoraj zaszło. Chłopak kłamał, to było jasne. Trzeba z niego wydusić prawdę. Siergiej miał nadzieję, że po tym, czego się dowie, nie będzie musiał chłopaka skasować. Zdążył go polubić.

– Robię się sentymentalny – mruknął. – Jaka to różnica, żywy czy martwy?

Potem wziął telefon i kazał Miszce przyjść za pół godziny.

To był jeszcze jeden powód, dla którego sam przygotowywał sobie śniadania – dobrze, kiedy nikt nie kręcił się po domu w czasie, kiedy Wolatow rozmawiał ze swoimi pracownikami.

Krzysztof poprosił taksówkarza, by zatrzymał się przed komendą policji. To nie było szczególnie przyjemne miejsce i niechętnie je odwiedzał. Zawsze służbowo. Prywatnie był tu pierwszy raz. Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka.

Młody policjant siedzący na dyżurze uśmiechnął się do Krzysztofa uprzejmie.

– Komendant u siebie – poinformował i zwolnił blokadę kraty.

Janicki ruszył długim korytarzem w kierunku schodów. Biuro komendanta mieściło się na pierwszym piętrze.

Włodzimierz Janas, od lat pełniący tę funkcję, był potężnym chłopiskiem, o uczciwej twarzy i bystrych oczach. Niezainteresowany polityką, potrafił dobrze żyć i z tymi z prawa, i z tymi z lewa. Łatwo nawiązywał kontakty, ludzie go lubili. Pił jak smok, a palił jeszcze więcej. Krzysztof, mimo że o komendancie myślał jako o swoim stronniku, czuł do niego respekt. Właściwie to nawet trochę się go bał.

– No czekam ja, proszę ja ciebie, i czekam – huknął Włodek, stając w drzwiach swojego gabinetu. Widać został poinformowany o wizycie Krzysztofa. Z uwagą przyjrzał się mężczyźnie. – Ciężki ranek, co?

Janicki tylko machnął ręką.

Weszli, komendant usiadł za biurkiem, Krzysztof na fotelu dla gości. We łbie mu pulsowało.

– A będzie jeszcze gorzej – roześmiał się komendant. – Trupa, proszę ja ciebie, masz.

Krzysztof zamarł na chwilę. Nawet nie próbował szukać wyjaśnień.

– Powiedz – przynaglił.

– Otóż wczoraj w twoim gabinecie znaleziono trupa. Zastrzelony. Wiesz, kto go znalazł?

– Moja siostra. – Janicki nie miał wątpliwości. – Sam ją tam posłałem. A ten trup to kto? No opowiadaj!

Włodek uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Teraz, proszę ja ciebie, to ty będziesz opowiadał. – Podniósł słuchawkę telefonu. – Dajcie tu do mnie Nowaka albo tego nowego, jak mu tam... Kowaluka.

Poszperał w szufladzie, a potem podał Krzysztofowi blister tabletek.

– Zaproponowałbym ci klina, ale to by źle wyglądało. – Odkręcił butelkę z wodą mineralną i podał Janickiemu. Ten przyjął poczęstunek z wdzięcznością, wrzucił do ust dwie tabletki i zalał je wodą.

Długo nie trwało i rozległo się pukanie.

– Wejść – rozkazał komendant. Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody, postawny mężczyzna.

– Młodszy aspirant Kowaluk – przedstawił go komendant. – Oddaję wam świadka do dyspozycji – zwrócił się do policjanta.

Krzysztof wstał, uścisnął dłoń komendanta, pożegnał się i poszedł za aspirantem do pokoju przesłuchań.

Siedzieli teraz naprzeciwko siebie. Kowaluk miał miłą, przystojną twarz i szczerze spojrzenie. zaproponował coś do picia, ale Krzysztof odmówił.

– Znał pan tego człowieka? – zapytał, podając zdjęcie. Białosina twarz, fioletowe wargi, zamknięte oczy. Nie przypominał siebie sprzed kilku dni.

Janicki poczuł bolesny ucisk w gardle. Odruchowo sięgnął do kieszeni z papierosami. Ręce mu drżały.

– Co się stało? – zapytał. Policjant odpowiedział wymijająco, że tego chcą się dowiedzieć, i powtórzył swoje wcześniejsze pytanie.

– Znam... znałem...

– Kto to?

– Andrzej Musiał. Przyjaźniliśmy się od lat. To był urodzony społecznik. Pracował w domu kultury... – Chciał mówić dalej, ale głos odmówił posłuszeństwa. Łzy zakręciły się w oczach.

Kowaluk, jakby tego nie zauważył, coś w skupieniu notował. Potem kontynuował śledztwo:

– Opowie mi pan o wczorajszym wieczorze?

– Miałem spotkanie z przedsiębiorcami.

– Gdzie?

– W hotelu Zagórze, w sali konferencyjnej. Chciałem przedstawić swoją wizję przyszłości kilku lokalnym biznesmenom – dorzucił z ironią w głosie.

– O której?

– Spotkanie miało się zacząć o osiemnastej. Wyszedłem z urzędu pewnie koło szesnastej, nie patrzyłem na zegarek. Po drodze wstąpiłem do domu, żeby się przebrać.

Policjant, ciągle notując, gestem zachęcił Krzysztofa, żeby ten mówił dalej.

– Już na miejscu zorientowałem się, że zostawiłem w biurze teczkę z dokumentami. To były analizy rozwoju miasta. Zależało mi, żeby pokazać to ludziom. Dzwoniłem do Artura, mojego asystenta, ale nie odbierał. Wtedy zadzwoniłem do siostry, żeby mi to przywiozła. Zgodziła się, ale jakoś nie dojechała. Spotkanie się zaczęło, musiałem improwizować, ale poszło całkiem nieźle – skłamał. – Potem padła propozycja, żebyśmy wyskoczyli na drinka do pensjonatu Pod grzybkiem. Sytuacja, jak by to powiedzieć, wymknęła się spod kontroli. Obudziłem się w pokoju w pensjonacie.

– Czy kiedy siostra się nie zjawiała, próbował pan się z nią ponownie skontaktować?

– Zaczęło się spotkanie, nie miałem jak.

– A potem?

– Potem już nie potrzebowałem tych papierów. Byłem na nią zły. Pomyślałem, że zapomniała. Moja siostra... – Krzysztof zawahał się. Jakiego słowa użyć, żeby określić jaka jest, jednocześnie nie mówiąc wszystkiego? – ... bywa roztrzępana.

Bogdan uśmiechnął się. Nie sprawiała wrażenia roztrzępanej. Może to ten romantyczno-liryczny typ, co się potrafi zadumać i o całym świecie zapomnieć?

Położył na biurku kartkę i długopis.

– Spiszemy to, możliwie najdokładniej. Z godzinami i pełną listą nazwisk. Potem będzie pan mógł iść do domu.

Dzień zaczął się dla Jarka Nowaka nader przyjemnie. Przyszedł do roboty, usiadł

za biurkiem i zaczął porządkować papiery, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. W drzwiach stał komendant. Nowak na moment spojrzął na siebie jego wzrokiem. Co tamten mógł zobaczyć? Człowieka, który przyszedł do roboty na czas, a teraz siedzi przy swoim idealnie uporządkowanym biurku, wertuje akta i coś z zacięciem notuje. Mój człowiek, mógł pomyśleć Janas. A ponieważ prawdopodobnie był już po wymianie uprzejmości z prokuratorem, znanym ze strachu przed prasą, miał świadomość, że dochodzenie należało powierzyć komuś skrupulatnemu i spokojnemu. Komuś takiemu jak Nowak.

– Jarek, przydzielam ci tego trupa. Zajmij się tym delikatnie, nie chcę, żeby się zrobiła sensacja. Kowaluka weź do pomocy, we dwóch szybciej wam pójdzie. I informuj na bieżąco.

Nowak złożył dokumenty. W myślach podziękował staremu za zaufanie. Nie powiedział tego głośno, lizusem nie był.

Później poszedł do urzędu, z założeniem, że przepytam tam każdego. Wizyta okazała się mieć dobrą stronę, bo miłe urzędniczki zrobiły mu porządną kawę. Ktoś zaproponował pączki, co Jarek potraktował jako żart. Okazało się jednak, że panie z działu kadr zawsze zamawiają w piekarni drożdżówki na drugie śniadanie, więc zgodził się być ich gościem.

Z przeprowadzanych rozmów nic nie wynikało. Większość osób wyszła po szesnastej. Nikt nic nie widział, nie słyszał. Ci, co znali zamordowanego, wyrażali się o nim w samych superlatywach. Społecznik, kochał to miasto, tyle dobrego zrobił dla dzieci, dom kultury, sekcja szachowa, wycieczki po górach. Jednym słowem, samo lukrowane gówno.

Na szczęście ekipa techniczna pracowała szybko i sprawnie. Jarek Nowak przez jakiś czas przyglądał się ich robocie, ale głód nikotynowy dał o sobie znać. Jedną głęboko skrywana tajemnica i jedna słabość – papierosy właśnie. Gdyby nie nałóg, Jarek byłby idealny.

Wyszedł przed budynek.

– Wiadomo już coś? – zagadnął mężczyzna, który nagle się przy nim zjawił. – Kto to zrobił panu Andrzejowi? – Wbił wygłodniały wzrok w Jarkowego papierosa. – Mnie lekarz palić zabronił, bo mi na serce szkodzi, ale w takiej chwili bym nie odmówił.

Nowak, któremu jedno spojrzenie wystarczyło, by określić profesję mężczyzny, uśmiechnął się ze zrozumieniem i sięgnął do kieszeni. Podał woźnemu i paczkę papierosów, i zapalniczkę.

– Znał go pan?

– A kto go nie znał? W domu kultury robił... pracował znaczy.

– Co to był za człowiek?

Woźny zastanawiał się przez chwilę.

– Człowiek jak człowiek. Ja go tylko z widzenia znałem.

– Pan tu zwykle zamyka? – dociekał policjant.

– No zwykle to ja.

– A wczoraj?

Woźny odwrócił wzrok.

– Pan powie pani kierownik i będę miał kłopoty.

– Nie powiem – zapewnił szczerze Nowak. – Proszę pomyśleć, że robi pan to dla

zmarłego.

To chyba nie był dobry pomysł, bo tamten jakby się zjeżył.

– A, bo to wiadomo, czy on zasługuje na taką przysługę? Jak on nieżywy, to wszyscy o nim dobrze mówią. Taka ludzka natura. Miałem ja jednego kuzyna. – Przerwał i zaciągnął się z wyraźną przyjemnością – Pijaczyna z niego był i menda. Żonę lał jak mokre żyto. No ale na szczęście wątroba nie wytrzymała i zszedł. Pan byś nie uwierzył, co na pogrzebie o nim mówili. Jaki to prawy obywatel był. A ta jego kobita to tak płakała, że strach. Lepszego człowieka ze świecą szukać, mówiła.

Mężczyźni przez chwilę milczeli.

– No to jak to wczoraj było? – zapytał łagodnie Nowak. – Wie pan, nam nie wolno ujawniać danych informatorów.

Ta wiadomość wyraźnie woźnego ucieszyła.

– Wczoraj to tak było, że Janicka siedziała długo. A ja serial miałem na kablówce. Wojenny. Dobra rzecz, nie te durnoty, co to teraz wszędzie pokazują. No i trochę mi się śpieszyło, a ona prosiła, żeby jej pozwolić zostać dłużej, bo to niby ważne urzędowe sprawy. To zostawiłem klucze i poszedłem do domu.

– Mówi pan Janicka?

– No. Ludwika Janicka.

Nowak zerknął do notesu.

– Izabela Janicka chyba?

Tamten wzruszył ramionami.

– Nazywają te dzieci nie wiadomo jak. Spamiętać nie idzie. Kiedyś to nazywali dziewczynki tak bardziej elegancko: Stasia, Marysia. A teraz to tak fikuśnie, ale to nic mądrego. Ta Janicka to dobra dziewczyna, choć różnie o niej gadają, bo dziecko z Murzynem ma. Słyszałem, że brat jej tę robotę załatwił, ale ja tam nie wiem.

Nowak zapisał sobie informacje w notesie, zaciągnął się ostatni raz, rzucił niedopałek na ziemię i poszedł sprawdzić, ile jeszcze czasu będzie pracowała ekipa techniczna.

– No jak to ma być dobrze w tym kraju, jak nawet władza przepisów nie szanuje – gderał pan Kazio, idąc po miotłę.

Ludmiła miała dziś jeden z tych gorszych dni. Rano zdenerwowała ją matka. Niby normalne, bo przecież od tego właśnie są matki. Potem Gabrysia zrobiła scenę w przedszkolu „Nie zostawiaj mnie, mamusiu, ja tak bardzo cię kocham!”. Ludmiła czuła się jak franca bez serca. W pracy szefowa czepiała się bardziej niż zwykle. Marzyła tylko o tym, żeby już było jutro. Kiedy kierowniczką zaproponowała, żeby część osób wyszła, bo policja zajęła piętro i nie ma jak pracować, przyjęła to z radością. Pierwsza ruszyła do wyjścia. Przyszło jej do głowy, że jeśli pójdzie po córkę, to po drodze trochę ochłonie.

Właśnie zamierzała skrócić w boczną uliczkę, kiedy zauważyła, że idący z naprzeciwka mężczyzna uśmiecha się do niej w taki sposób, jakby ją znał. Ludmiła szybko przeskanowała w pamięci znane twarze, ale tej między nimi nie było. Może przespała się z nim po pijaku i dlatego nie pamięta? Jak długo jeszcze będzie spotykać na ulicach błędy swojej szumnej, durnej młodości?

Tymczasem mężczyzna wyraźnie przyspieszył kroku, jakby w obawie, że Ludmiła



mu ucieknie. Podszedł do niej.

– Dzień dobry – powiedział z uprzejmym uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedziała Ludmiła, zachodząc w głowę, kim może być facet. Nie było co się oszukiwać, bardzo przystojny, choć mało elegancki. Sztruksowa marynarka tak mocno opinała muskularny tors. Wyglądała jak z młodszego brata. W harmonijnej twarzy uwagę przykuwały oczy – łagodne, ciemnobrązowe. Jak u spaniela, pomyślała Ludmiła. Wyrosła już z niewieściej naiwności, która kazała ufać takim oczom. Ten mężczyzna na pewno nie był grzecznym chłopcem. Dowodem na to był mięsisty nos, ewidentnie kiedyś złamany.

– Zastanawiałem się, czy do pani nie zadzwonić. Wydaje mi się, że podczas ostatniego spotkania nie zachowałem się najlepiej.

Ludmiła zaświtało. To pewnie ten facet, który omal jej nie potrącił na przejściu w zeszłym tygodniu. Próbowwała nałożyć twarz mężczyzny na tamto wspomnienie. Jedyne, co mogła sobie przypomnieć, to fakt, że był dupkiem. Trzeba mu przyznać zabójczo seksownym dupkiem.

– Moje zachowanie też pozostawia wiele do życzenia – powiedziała pojednawczo.

– Pani miała prawo być zła. – Uśmiechnął się serdecznie i Ludmiła nie miała innego wyjścia, jak tylko odwzajemnić ten uśmiech. Bo w zasadzie czy jest sens złościć się na kogoś, kto żałuje swojego zachowania, a na dodatek tak ładnie szczyrzy ząbki?

– Czy w ramach przeprosin mogę gdzieś panią zaprosić? – zapytał.

Ludmiła spojrzała na zegarek. Przedszkolanka na pewno nie zgodzi się, żeby zabrała Gabrysię w czasie leżakowania. „Inne dzieci zaraz zaczną się kręcić, marudzić, gadać i nie dam sobie z nimi rady. Pani poczeka kwadransik”.

– Mam chwilę, możemy pójść na kawę.

– Myślałem, że nie pije pani kawy.

– Owszem, piję, i to nawet dość sporo.

Chwilę później siedzieli w prawie pustej kawiarni. Mężczyzna ewidentnie adorował Ludmiłę, co sprawiło, że czuła się świetnie. Z doświadczenia wiedziała, jak szybko nastrój może popsuć informacja, że jest samotną mamą. Dlatego od razu przejęła kontrolę nad rozmową. Szukała bezpiecznych tematów: książki, muzyka, filmy. Okazało się, że oboje lubią kino akcji, i rozmowa potoczyła się wartko. Jednak dla Ludmiły było oczywiste, że sprawy między nimi nie posuną się dalej niż ta kawa.

Pół godziny, które razem spędzili, było jak pięć minut. Nie mogła uwierzyć, że czas potrafi płynąć tak szybko.

– Przepraszam bardzo, muszę już iść. – Zaczęła się zbierać do wyjścia. Sięgała po portfel, żeby zapłacić za swoją kawę.

– Nie ma mowy – powstrzymał ją. – Ja zapłacę.

Już chciała go poinformować, jaka to z niej feministka, lecz po chwili zmieniła zdanie.

– Dobrze, ale następnym razem ja stawiam. – Podała mężczyźnie rękę na pożegnanie, a on ją uściśnął i chwilę przytrzymał w swojej. To był ten romantyczny rodzaj przetrzymania i Ludmiła bardzo się ucieszyła. To znaczy wiedziała, że takie rzeczy jak wielka miłość nie przydarzają się kobietom takim jak ona, ale można przecież

pomarzyć.

Odrzuciła propozycję podwiezienia i szybko wyszła z kawiarni. Jeszcze przez chwilę rozważała, kim jest ten mężczyzna, a potem jej myśli podążyły ku córeczce. Ciekawe, jak Gabrysi minął dzień.

Miszka zapalił światło w garażu. Błada poświata jednej wiszącej pod sufitem żarówki niewiele dała. Trzeba będzie przełożyć robotę na jutro. To nawet dobrze, bo miał ostatnio trochę wrażeń i żeby odreagować, potrzebował wieczoru z panienkami i wódką. Zaklął pod nosem. Pierwsza poważna robota i tak ją schrzanił. Nic dziwnego, że boss był zły. Wezwał Miszkę rano do siebie, ponad godzinę go maglował, potem zrugął jak burą *sabakę*. Powiedział, że jeszcze jeden taki występ, a osobiście chłopaka do Moskwy odwiezie i odda komu trzeba, nie zważając na łączące ich więzy krwi. Krzyczał, że co Miszce do głowy przyszło, żeby w biały dzień po mieście latać z naganem. Że tu jest Polska i za coś takiego można dostać mandat. Na koniec oświadczył, że on jest poważnym biznesmenem, prowadzi prawie legalne interesy i nie chce takiego gówna jak trup w swoim CV, bo go kontrahenci nie będą poważnie traktować.

– Spluwę powycieraj i dobrze schowaj.

Chłopak, który przed tą rozmową bardzo się bał, teraz poczuł ulgę. Ochłonął już na tyle, żeby przyznać, że jego reakcja była przesadzona. W ciemności tamten go nie widział, trzeba było spieprzać w pizdu, a nie strzelać. No ale taki już jego los. Może chłopaki w Moskwie miały rację, że Miszka powinien pójść do Cyganki po jakiś amulet przeciw złemu urokowi, bo inaczej skończy w betonowych walonkach.

Już miał wyjść, kiedy w szerokiej garażowej bramie ktoś stanął. Jego twarz tonęła w mroku i Miszka raczej się domyślił, niż poznał.

– Iwan? No co tam? – zapytał przyjaznym głosem. Chciał pogadać, zwyczajnie i po rosyjsku. Szef nie pozwalał, kazał się polskiego uczyć. Na szczęście Iwan, jeśli już się odzywał, mówił tylko w ich ojczystej mowie, bo tępy był, polskiego nie chwycił.

– Słyszałem, żeś się nie popisał. – Głos tamtego był jak zgrzyt metalu po szkłe i Miszka poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

– No, nie wyszło to wszystko najlepiej – powiedział niepewnie.

Mężczyzna zarechotał, jakby usłyszał dobry żart. Wszedł do pomieszczenia. W jego wężowych oczach zamigotała nienawiść.

– Mówiłem szefowi, że ja to zrobię. Ale nie, on wolał posłać swojego pieszczoška. A chłopczykowi rączki ciut za bardzo się trzęsą. Strachliwy jest i się do takiej roboty nie nadaje. Ale szef tego nie widzi.

Podszedł do Miszki tak blisko, że chłopak poczuł na twarzy jego smrodliwy oddech.

– Słuchaj, gamoniu! Jak stary będzie miał przez ciebie kłopoty, to ja z wielką przyjemnością twój łeb odstrzelę.

Miszka nic nie odpowiedział. Wiedział, że Iwan nie rzuca słów na wiatr.

Iza w napięciu czekała na powrót Ludmiły. Cały czas układała sobie w głowie długie przemowy, którymi przywoła bliźniaczkę do porządku. Żałowała tego, co stało się poprzedniego wieczora. Chciała uratować siostrze tyłek, tymczasem naraziła siebie. Przecież to nie jest tak, że policja znajduje zwłoki i mówi: okej, dziękujemy, właśnie tego

nieboszczyka szukaliśmy. A teraz już nigdy się nie zobaczymy. O nie! Oni będą zadawać setki pytań, sprawdzać tropy, szukać dowodów. Na koniec z braku innych podejrzanych wsadzą Izę do więzienia. Potrząsnęła głową. Nie, to się nie stanie! Jedyne, co mogą jej zarzucić, to utrudnianie pracy organom ścigania. Ale tylko wtedy, kiedy dowiedzą się o zamianie. Żeby się nie dowiedzieli, wystarczy przekonywająco kłamać.

Ludmiła wreszcie wróciła. Nie sprawiała wrażenia skorej do rozmowy. Najpierw zajęła się dzieckiem, potem, jakby przez czystą złośliwość, siedziała w salonie, obok babci i mamy, oglądających durny brazylijski serial. W końcu stwierdziła, że pada z nóg, a jutro rano musi iść do pracy. I zanim Iza zdążyła coś zrobić, siostra zamknęła od środka drzwi swojego pokoju. Na klucz!

W mieszkaniu Janickich panowała cisza. Dzieci spały, milczał telewizor. Magda i Krzysztof też milczeli. On siedział w fotelu, z głową opartą na dłoniach. Ona zajęła miejsce na sofie. Oczekiwała wyjaśnień. Rano dzwonili do niej z policji, w pracy koleżanka powiedziała o zabitym w urzędzie miasta. Jednak mąż nie chciał nic powiedzieć, tłumaczył, że nie przy dzieciach.

– Wiesz co? Idę się myć – powiedziała zirytowana, podnosząc się z sofy.

Krzysztof popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Dobrze.

Jakby potrzebowała jego zgody!

Weszła do łazienki, odkręciła wodę i powoli zaczęła się rozbierać. Odłożyła ubrania na pralkę. Wtedy wszedł Krzysztof. W oczach miał łzy.

– To Andrzej. Andrzej nie żyje – wyjaśnił. Podeszedł i objął ją. Myślała, że mąż szuka wsparcia. Przytuliła go. Trwali tak chwilę. Nagle jego usta zaczęły błędzić po jej karku, a uścisk stał się mocniejszy.

– Daj spokój – poprosiła, a kiedy nie dał, odepchnęła go gwałtownie. – Proszę cię, Krzysztof, wyjdź.

Przez chwilę się wahał. Potem odwrócił, trzasnęły drzwi. Magda przekręciła kluczyk, choć nie było to już potrzebne.

Nie czuła żalu, nie lubiła Musiała.

Jadwiga Janicka nie była już w wieku, kiedy jest się w stanie cicho wślizgnąć do łóżka. Narobiła sporo hałasu, zanim się położyła.

– Przepraszam – szepnęła do męża. – Obudziłam cię?

Tadeusz podciągnął się na łokciach do pozycji prawie siedzącej.

– I tak nie spałem. Ciągle myślę o tym nieszczęśniku. Dlaczego ktoś mu to zrobił?

– Rozmaici ludzie chodzą po świecie. Żli też – powiedziała sentencjonalnie

Jadwiga.

Mąż cichym mruknięciem przyznał jej rację.

– Wiadomo już coś? – zapytał.

– Na razie nic. Wiesz, jak u nas pracuje policja. Wezmą się za wyjaśnianie tej sprawy może za tydzień. Ale to i dobrze. Ja tak sobie myślę, że nasza rodzina ma z tym więcej wspólnego, niż na pozór mogłoby się wydawać.

Tym razem mąż nie odpowiadał. Równy oddech świadczył o tym, że spał. Przekłęta starość – pomyślała. – Człowiek albo wcale nie śpi, albo zasypia nie wiadomo kiedy.

Wszystko mu się w głowie miesza. Ach, gdybym ja miała sześćdziesiąt lat! I ciężko westchnęła.

W tym samym czasie na drugim końcu miasta Siergiej Wolatow, popijając herbatę, zastanawiał się nad tym, co ostatnio się wydarzyło. Popęłnił błąd, to było jasne. I wcale nie chodziło o powierzenie sprawy Miszce. Przez wiele lat Siergiej i burmistrz funkcjonowali w układzie, gdzie jeden płaci, a drugi przymyka oczy. Zmiana tych relacji to był błąd. *Wot, durak*, pomyślał o sobie, bo dopiero teraz przyszła refleksja, że zmiana u steru wcale nie musiała być dla interesów Wolatowa tak szkodliwa, jak to przedstawiał stary burmistrz. W końcu każdy ma swoją cenę, a jabłko nie pada zbyt daleko od jabłoni. Przecież młody Janicki mógł być ulepiony z tej samej gliny co jego ojciec.

A teraz... no cóż, w życiu trzeba grać takimi kartami, jakie się dostało.

## *Dziesięć dni temu*

Było kilka minut po siódmej, kiedy Jarek Nowak usiadł przy swoim biurku na komendzie. Otworzył teczkę z aktami sprawy i pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, było zeznanie Krzysztofa Janickiego. Jarek patrzył na nie z niedowierzaniem. To nawet nie było zeznanie. To były trzy zdania, z których nic nie wynikało. Rzucił kartkę na biurko.

– Jaja sobie robią, czy jak? – mruknął do siebie, wkładając do kieszeni marynarki notes i długopis. – Czas na kolejną rundę. – Uśmiechnął się.

Już na ulicy zatrzymał się na chwilę. Zastanawiał się, czy nie poczekać na Kowaluka. W końcu uznał, że to nie jest najlepszy pomysł. Nie to, żeby miał coś do chłopaka. Wręcz przeciwnie – jasna i prosta podlaska dusza Kowaluka sprawiła, że Jarek bardzo go polubił. Jednak teraz instynkt doświadczonego psa podpowiadał mu, żeby nie ufać partnerowi. Może chodziło o pannę, do której tamten robił maślane oczy? Ona kłamie – pomyślał, zapalając papierosa. – A swoją drogą to kto, kurwa, nie kłamie? Taki świat.

Wcisnął się do seledynowego tico, które jeździło tylko dlatego, że bardzo kochało swojego wieloletniego właściciela i nie chciało mu sprawić zawodu. Kwadrans później parkował przed blokiem, w którym według danych z raportu mieszkał Krzysztof Janicki.

Wyrwana ze ściany skrzynka domofonu była dowodem na to, że mieszkańcy nie traktują kwestii bezpieczeństwa zbyt poważnie. Nowak pchnął drzwi i wszedł na klatkę schodową. Przeskakiwał po dwa stopnie i w niecałą minutę znalazł się na czwartym piętrze. Tabliczka na drzwiach ozdobnymi zawijaszami informowała, że mieszkają tu M i K Janiccy. Głosy dochodzące zza drzwi świadczyły o tym, że lokatorzy już nie śpią.

– Gównu mnie to obchodzi! – krzyczała kobieta. Miała wysoki, nieprzyjemny głos.

– Taką mam pracę – próbował się tłumaczyć mężczyzna.

– Chłanie całymi nocami to nie praca!

– Nie przy dzieciach!

– O! To nagle zorientowałaś się, że masz dzieci?!

Jarek Nowak zadowolony wyciągnął z kieszeni notes. Jak dużo można się o człowieku dowiedzieć, zanim jeszcze zacznie się zadawać pytania. Oparł się plecami o ścianę i notował. Kiedy w mieszkaniu trzasnęły drzwi i zapadła cisza, zdecydował, że czas nacisnąć dzwonek. Coś zaszurało, po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich chudy mężczyzna, wyglądający jak menel. Jarek poczekał, aż tamten zogniskuje na nim wzrok.

– Starszy aspirant Jarosław Nowak – przedstawił się grzecznie, machając legitymacją. – Pan Krzysztof Janicki, jak sądzę? Chciałbym zadać kilka pytań.

Krzysztof westchnął. Przeciągnął ręką po nieogolonej twarzy.

– To nie jest najlepszy moment. Wpadnę później na komendę, dobrze?

Twarz Nowaka rozjaśnił serdeczny uśmiech, mówiący: oto człowiek skłonny do każdej uprzejmości wobec bliźnich. Nic bardziej mylnego.

– Przecież złożył pan już zeznania. Ja tylko chcę parę rzeczy doprecyzować. To nie potrwa długo – rzucił serdecznym tonem i zrobił krok do przodu.

Krzysztof ustąpił. – Zapraszam do salonu. Drugie drzwi po lewej.

Rozglądając się uważnie, Jarek z czułością pomyślał o swojej matce. Dzięki wpojonym przez nią zasadom jego skromne, dwupokojowe mieszkanie zawsze było uporządkowane i czyste. To wyglądało tak, jakby przed chwilą przeszło przez nie tornado. Cała podłoga przedpokoju była zaścielona butami, które bezowocnie poszukiwały swoich par. Wszędzie walały się części odzieży, tej intymnej również. Zabawki, książki i płyty tworzyły kolorowy kolaż. Zapach odświeżacza do pomieszczeń toczył nierówną walkę z zapachem moczu chomika.

– Zechce pan usiąść? – zapytał Janicki, podnosząc z fotela górę łachów i ciskając je w kąt. – Przepraszam za bałagan, ale właśnie wstaliśmy, a ja muszę zawieźć dzieci do szkoły. Niezły młyn, wie pan.

– Nie, nie wiem. – Nowak usiadł na fotelu z właściwą sobie swobodą i wyciągnął notes. – Okropna sprawa z panem Musiałem, no nie?

Krzysztof w milczeniu kiwnął głową.

– Dobry człowiek i taki koniec... Miał wrogów?

– Nie! Wrogów? Dlaczego?

– Dlatego, że ktoś do niego strzelił. Takich rzeczy nie robi się z sympatii.

Krzysztof znowu skinął głową.

– Ta śmierć była tak niespodziewana. Zupełnie to do mnie nie dociera. Ludzie mówią, że on nie żyje, a ja... ja w to nie wierzę.

– Lubił go pan?

– Był moim przyjacielem

– Ja nie pytam, kim był. Ja pytam, czy pan go lubił.

Kiedy Krzysztof zastanawiał się nad odpowiedzią, jego spojrzenie minimalnie powędrowało w górę i w lewo. Ktoś inny by pewnie tego nie zauważył, ale Nowak był bardzo spostrzegawczy.

– Był społecznikiem. Mogłem na niego liczyć. Jasne, że go lubiłem...

– Miał jakichś wrogów?

– Nie podejrzewam. Mnie to wygląda na włamanie. Andrzej pewnie wszedł do gabinetu i nakrył złodzieja. Nie ma innego, logicznego wytłumaczenia.

– A skąd pan wie, że nie ma?

Nowak zauważył kroplę potu, która spłynęła przez skroń na szyję.

– To znaczy... Nie to chciałem powiedzieć. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nawet mnie tam nie było.

W głębi mieszkania rozległ się brzdęk tłuczonego szkła, jakby rozbiła się szklanka. Może spadła komuś, komu zatrzęsły się ręce?

Nowak spojrział na zegarek. – Jeszcze jedno pytanie i będę się zbierał. Proszę mi powiedzieć coś o życiu osobistym Musiała. Z akt wynika, że był samotny, ale może istniała jakaś kobieta. Pan, jako przyjaciel, pewnie coś wie.

– Nie. Nie wiem o żadnej kobiecie w życiu Andrzeja – zapewnił Krzysztof.

Nowak wstał, pożegnał się uprzejmie i wyszedł. Przez chwilę stał na klatce schodowej, ale z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy. Już miał ruszyć, gdy usłyszał dziecięcy głos:

– Tato, mama znowu płacze.

Magda Janicka odetchnęła z ulgą, kiedy zamknęły się drzwi za Krzysztofem i dziećmi. Nareszcie była sama. Potrzebowała trochę czasu, żeby się uporać ze swoimi emocjami. Kiedy dowiedziała się, że w gabinecie Krzysztofa ktoś zginął, myślała, że to jakiś przypadkowy włamywacz. Informacja, że to Andrzej Musiał, mocno ją zdziwiła.

Podeszła do barku i naląła sobie prawie całą szklankę whisky. Upicie się było niezłym pomysłem na złagodzenie bólu. Najpierw zadzwoniła do szefowej, prosząc o dzień wolnego. Potem do teściowej.

– Mam mnóstwo pracy i jeszcze ta sprawa z Krzysztofem. To nie jest najlepsze dla dzieci. Może zostaną kilka dni u was?

Kiedy Barbara wyraziła zgodę, Magda natychmiast wyłączyła telefon. Wzięła alkohol i położyła się w rozgrzebanym łóżku. Pościel była mocno nieświeża, ale jej to nie przeszkadzało. Była złą żoną, złą matką i złą gospodynią. Okazało się, że jest dobrą kochanką, ale ktoś postanowił ją pozbawić tej radości. Kiedy Artur powiedział o dziwnych wiadomościach, które otrzymał, nie do końca mu wierzyła. W czasie, kiedy się nie spotykali, przychodziło jej go głowy, że to mistyfikacja, że preparował te wiadomości, żeby pozbyć się jej ze swojego życia.

A jeśli to była prawda i ktoś poznał ich sekret? Jeśli był to ten wredny, wścibski Andrzejek, szcur obmierzły, który tylko łypał tymi swoimi ślipkami i zdawał się wszystko widzieć i słyszeć? Przypomniała sobie, co Artur mówił wtedy w kawiarni. Przyjechał na spotkanie z nią mocno zdenerwowany. Prosto z pracy. Powiedział, że załatwił sprawę.

Przed willą Siergieja Wolatowa zatrzymało się szare volvo. Po chwili wysiadł z niego elegancko ubrany mężczyzna. Zadzwonił do furtki. Firanka w oknie na parterze poruszyła się nieznacznie i chwilę później rozległo się brzęczenie. Pchnął furtkę i pewnym krokiem ruszył w kierunku domu. Bez pukania otworzył drzwi i znalazł się w sporym hallu. Czekał.

– Pan burmistrz! Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? – zapytał, wychodząc z gabinetu, Wolatow. Ubrany był w jedwabne ciemnozielone piżamowe spodnie i także szlafrok. Na boscie stopy wsunął skórzane góralskie kapcie. Zauważył, że burmistrz patrzył na tę jego ekstrawagancję z cynicznym uśmiechem.

– Musimy pogadać – rzucił mu oschle.

Siergiej niechętnie wskazał drzwi i puścił gościa przodem. Począł, aż tamten zajmie miejsce w skórzanym fotelu, i dopiero wtedy sam usiadł za biurkiem. Z satysfakcją obserwował burmistrza, który rozglądał się po pokoju z podziwem. Siergiej był dumny ze sposobu, w jaki urządził dom – ze smakiem i elegancją. Dębowe meble, ciemne atłasowe obicia, wielkie obrazy przedstawiające sceny batalistyczne. Najpiękniejsza była sypialnia, w której królowało wielkie łóżko z purpurowym baldachimem, otoczone lustrami w złoconych ramach. No ale tam nie mógł burmistrza zaprosić.

Rozejrzał się za pilotem, chciał wyłączyć muzykę, która płynęła z głośników. Nacisnął przycisk i zapadła cisza.

– Przyjazd tutaj to nie był dobry pomysł – powiedział spokojnie.

Burmistrz zaklął.

– A co niby mam robić? Wczoraj przez cały dzień po urzędzie łazili gliniarze. Lada chwila zaczną zadawać mi pytania.

Po twarzy Wolatowa przebiegł grymas dezaprobaty.

– A fe! Nie wypada, żeby pan burmistrz nazywał uczciwych policjantów gliniarzami. To nie jest jeden z tych szmatławych amerykańskich filmów. My jesteśmy zwykłymi obywatelami, którzy robią zwyczajne, legalne interesy.

– Ten trup to raczej nie jest legalny interes.

– Tu masz rację. Ja bym go nazwał raczej wypadkiem przy pracy. Miszka jest młody, nerwowy. Wyrobi się z czasem. To ambitny chłopak, mam co do niego plany.

– Powinien pójść siedzieć za to, co zrobił. Żebyśmy mieli spokój.

Siergiej wybuchnął gwałtownym śmiechem.

– Wy to wiecie, jak człowieka rozbawić – powiedział, ocierając łzy z oczu. – Nie chodzi o to, żeby w więzieniu siedział winny, tylko ten, kto sobie najbardziej zasłużył. Co komu przyjdzie z zamknięcia Miszki? Nic. Ot, najwyżej jego matka będzie miała zgryzotę.

Burmistrz przeciągnął ręką po policzku. Denerwował się. Pewnie, podobnie jak wczoraj Siergiej, doszedł do wniosku, że ich układ nie był najlepszym pomysłem.

– Rób, co chcesz, Siergiej, ale na mnie nie może paść nawet cień podejrzenia, bo inaczej...

– Co inaczej? – zapytał Wolatow lodowatym tonem.

– Ukręć tej sprawie łeb i tyle – rzucił burmistrz i wstał. Czekał, aż Siergiej coś powie, ale ten milczał. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Po chwili zapiszczały opony ruszającego samochodu.

– Wot Polak – durak. Robić z nimi interesy, to jak grzebać kijem w szambie – wątpliwa rozrywka, tylko smród duży.

Nacisnął przycisk i chłopaki z Lube na powrót zaczęły wychwalać piękno *Matuszki*.

Iza leżała na kanapie w salonie. Czytała książkę, ale zaczął ją morzyć sen. Przymknęła oczy. Nie zaszkodzi, jeśli się chwilę zdrzemnie. Sen dobrze jej robi. Ostatnio ciągle była zmęczona. Może to przez nerwy, a może przez to. Położyła rękę na brzuchu. Wciąż był płaski – ciąży w ogóle nie było jeszcze widać. To ostatni moment, by podjąć decyzję. Pomyślała o zwitku banknotów ukrytych w walizce. Te pieniądze miały jej pomóc, gdyby się zdecydowała... Kiedy wyjeżdżała z Warszawy, wszystko było jasne. Zatrzyma się w domu, potem pod pozorem zwiedzania wyjedzie, przekroczy granicę, zapłaci, potem zadzwoni do Pawła i powie, że czas, by każde z nich ruszyło własną drogą. Wszystko było postanowione, ale zdarzył się ten bajzel z Ludmiłą i zatrzymał Izę w pół kroku.

Rozmyślanie przerwał dzwonek. Iza spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Tak, mam? – Starła się, żeby jej głos brzmiał na zmęczony.

– Cześć, skarbie! Mam prośbę. Odebrałabyś dziś dzieci? Ja mam mnóstwo pracy.

– Nie czuję się najlepiej – skłamała Iza.

Matka westchnęła.

– Wiem, skarbie, tylko po prostu... Trudno, znajdę kogoś.



Może należałoby zaangażować rodziców tych dzieci w opiekę? Iza pomyślała, że gdy była mała, to choć mieszkali z dziadkami, mama sama się wszystkim zajmowała i nigdy nie prosiła babci o pomoc. A przecież ciężko pracowała, ciężiej niż Magda czy Krzysztof. Na myśl o poświęceniu matki zrobiło się Izie głupio.

– Nie. Ja to zrobię.

– Mówiłaś...

– Okej, jakoś dam radę.

– Przemęczanie się to zły pomysł. Jeśli gorzej się czujesz, to odpocznij, a ja coś wymyślę.

– Nie trzeba. Zaraz po nie pojedę.

Zrezygnowana zamknęła książkę i podniosła się z kanapy. Czuła, że płaci karę za bycie idealną córką. Bez pośpiechu zaczęła się zbierać do wyjścia. Była już w drzwiach, kiedy pojawiła się babcia.

– A ty dokąd? – zapytała.

– Jadę po dzieci.

– Znowu do nas? Mogłyby się tu wprowadzić na stałe. Ich matka zupełnie się nimi nie interesuje. Za moich czasów tak nie było. Matki siedziały z dziećmi.

– O tempora, o mores! – I, ucałowawszy babcię w pomarszczone czoło, ruszyła w kierunku garażu, żeby wywlec stamtąd foteliki samochodowe.

Zaparkowała przed szkołą. Złapała się na tym, że z niepokojem patrzy w stronę komendy. To wszystko źle się skończy – pomyślała. Co też przyszło jej do głowy, żeby pozwolić, by Ludmiła wciągnęła ją w takie kłopoty? Z drugiej strony tamta nieraz nadstawiała za nią głowę. To nie było tak, że Iza była grzeczną, a Ludmiła chuliganem. Broiły z takim samym zapalem. Ale zawsze, gdy zostały przyłapane, Ludmiła mówiła, że to jej sprawka. Potem, kiedy w liceum Iza narobiła sobie problemów, bliźniaczka wzięła winę na siebie. Dzięki niej Iza mogła z czystą kartą rozpocząć dorosłe życie, zapomnieć o przeszłości. Ludmiła miała o to żal do siostry. W zasadzie miała żal do całego świata. Jej rogata dusza dała o sobie znać. Rzuciła studia, o których marzyła. Sypiała z rzeszą mężczyzn. Piła na umór. Kiedy zaszła w ciążę, trochę się uspokoiła. Tylko trochę. Iza w napięciu czekała, co siostra wywinie. No i stało się. Oczywiście nie podejrzewała, że Ludmiła mogła zabić. Oczywiście, że nie. Ale gdzieś w głębi duszy, w jakimś najciemniejszym zakątku, zrodziło się przypuszczenie, że mogła mieć z tym coś wspólnego. Iza nawet przez chwilę się zastanawiała, czy siostra nie zamierza jej zrobić. Odgoniła od siebie tę myśl. A jednak to by pasowało. Byłaby to idealna zemsta, a kto wie, czy Ludmiła jej nie chciała. W końcu żywiła do siostry ogromną niechęć.

Kiedy zaterkotał dzwonek, a chwilę później z gmachu szkoły wyszła Emilka, ciągnąc za sobą rozwrzeszczanych braci, Iza poczuła ulgę. Dzieci sprawiły, że przestała myśleć o okropnych rzeczach i nawet się uśmiechnęła.

– Jak minął dzień? – zapytała.

– Żalowo.

– Beznadzieja.

– Syf.

No cóż, to właśnie jest życie.

Jadwiga Janicka z niemałym trudem pchała wózek inwalidzki, na którym drzemał jej mąż. Dzień był pogodny, więc uznała, że Tadziowi dobrze zrobi godzinka na świeżym powietrzu. Jakiś taki apatyczny się ostatnio zrobił.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że w gabinecie Krzysztofa znaleźli trupa? – zagaiła. Zewsząd dochodziły echa sensacji. Odbyła dziś bardzo interesującą rozmowę z kilkoma sąsiadkami, które, podobnie jak ona, wybrały się do osiedlowego zieloniaka, bardziej po plotki niż marchewkę. Teraz pani Jadwiga chciała się podzielić z mężem informacjami.

– A kto to jest Krzysztof? – zapytał Tadeusz.

Jadwiga westchnęła. Życie miało dziwne poczucie humoru. Jej mąż, który zawsze dbał o rozwój swojego umysłu, teraz nie pamiętał imion własnych dzieci. Ona tymczasem, choć nigdy nie zhańbiła się bodaj rozwiązaniem krzyżówki, zachowała pełną sprawność intelektualną.

– Krzysztof to twój wnuk. Pamiętasz? Syn Jurka i Basi.

– Jurek nie może mieć syna. Przecież nie żyje.

– Jeżeli będziesz się tak zachowywał, mój drogi, to do niczego nie dojdziemy. A to jest sensacja. Pomyśl tylko, nasz wnuk może być mordercą. – Popatrzyła na męża. Miała nadzieję, że to przypuszczenie podekscytowało go równie mocno co ją.

Przez chwilę w oczach Tadeusza zamigotał blask, który świadczył, że umysł ciągle zdolny jest do pracy.

– Czyli to Krzysztof zabił Jurka, tak? – zapytał w końcu.

Pani Jadwiga zakłęła pod nosem.

– Do diabła z tą starością – powiedziała. – Zaczyna się dziać coś ciekawego, a człowiek nawet nie ma z kim o tym pogadać.

Nowak zastał Kowaluka na gapieniu się przez okno. Pewnie duma o niebie i błękitnych oczkach panny Janickiej, pomyślał. Na razie wzdycha, ale tylko patrzeć, jak wyciągnie mulinę i zacznie haftować kwiatuszki na jedwabnych serwetkach.

– Dostaliśmy wstępny raport.

– Coś ciekawego? – Kowaluk odwrócił się od okna, wzrok miał rozmarzony.

– Czas zgonu między szesnastą trzydzieści a osiemnastą trzydzieści. Rany od kuli w barku i biodrze, brak otworów wylotowych – streścił sucho. Miał kilka pomysłów, ale nie chciał się jeszcze nimi dzielić z partnerem. Może sam do tego dojdzie? Pchnął teczkę w stronę kolegi. Podejrzewał, że Kowaluk jest zbyt leniwy, żeby się wczytać w wyniki pracy ekipy technicznej. Rzeczywiście Bogdan tylko przewertował raport. Odsunął dokument i zapytał:

– No to co teraz robimy?

Jarek udał, że się zastanawia.

– Ja bym jeszcze raz przesłuchał tę dziewczynę.

Kowaluk ochoczo zerwał się z miejsca.

– Podjadę do niej.

– Powiedziałem: ja bym przesłuchał. – Nowak gestem usadził Kowaluka. – Ty zadzwoń do firmy ochroniarskiej. Może chłopaki z patrolu coś widziały. I pogrzeb trochę w życiorysie tego Musiała. Z nim coś było nie tak. Dowiedz się co.

I dla własnego dobra trzymaj się z daleka od tej Janickiej – dodał w myśli.

W domu Janickich przywitała Jarka uroczą starszą pani. Poinformowała, że Iza pojechała do szkoły po dzieci. Zaproponowała, by poczekał, i poczęstowała herbatą i kawałkiem sernika.

– Pojechała po swoje dzieci? – chciał wiedzieć Nowak.

– Swoich to ona nie ma. Ten jej chłop jakiś nie bardzo. Teraz pojechał za granicę, niby na staż. Ja swoje lata mam, ale dobrze wiem, że to się nazywa staż, a tak naprawdę to jest zmywak. Ale jak tam sobie chcą, nie moja sprawa. Wie pan, panie poruczniku...

– Aspirancie.

– Za moich czasów na policjanta mówiło się porucznik. To lepiej brzmiało. Człowiek od razu respekt czuł. A inspektor to taki raczej, proszę się nie obrażać, sanitarny jest.

– Aspirant – poprawił.

– I tak dobrze nie brzmi.

Nowak westchnął. Uznał, że dla dobra śledztwa pozwoli starszej pani, żeby nazywała go porucznikiem.

– No dobrze, to co chciała pani powiedzieć?

– A o czym my to mówiliśmy?

– O pani Izabeli i jej... – przez chwilę szukał właściwego słowa – partnerze.

– Konkubencie! Tak to się nazywa, proszę pana. Żyją na kocią łapę, Boga się nie boją, ale po imieniu rzeczy nie nazwą. No to on siedzi za granicą, a ona tu, niby na urlop przyjechała. Chodzi jakaś taka. Coś ją gryzie. Pewnie o chłopca się martwi. Może ją w tyłek kopnął i siedzi z jakąś Niemką? Chłopy tak mają, ciągnie ich do obcych bab. – Zadumała się, a po chwili kontynuowała. – Ja tę całą emigrację znam. Dzieci mi za granicę powyjeżdżały, to ja wiem, co się tam dzieje.

Nowak przeciągnął ręką po twarzy. Czuł się osaczony. Staruszka, uradowana towarzysztwem, zaraz zagada go na śmierć. A przecież nie wypada wstać i wyjść, mógłby ją urazić. Niestety informacje, które do tej pory uzyskał, nie były przydatne dla śledztwa. Tylko tracił czas.

Na szczęście na podjazd zajechała czerwona mazda, z której wysiadła młoda blondynka. Nowak zerwał się, podziękował za herbatę i wybiegł z domu.

Panią Jadwigę zdziwiło to nagle zachowanie gościa.

– Toż to nie Iza – rzuciła za nim, choć już nie mógł usłyszeć.

Ludmiła wyszła z pracy wcześniej. Z powodu zabójstwa nic nie funkcjonowało tak, jak należy, a całe piętro było oplecione pajęczyną policyjnej taśmy. Jej zdaniem była to czysta złośliwość, bo od wczoraj nie pojawił się tam ani jeden przedstawiciel organów ścigania. Postanowiła, że wyjdzie wcześniej i zrobi Gabrysi przyjemność, zabierając ją na zakupy. Dlatego zamiast od razu jechać do przedszkola, wstąpiła do domu. Chciała się przebrać. Garsonka nie jest dobrym strojem, kiedy się jedzie na zakupy z czterolatką.

Wysiadła z samochodu i wtedy zobaczyła idącego w jej stronę mężczyznę. Nie знаła go, ale instynkt notorycznego prawołamacza podpowiedział jej, że ma do czynienia z policjantem. Mężczyzna machnął jej przed oczami legitymacją, potwierdzając podejrzenia.

– Pani Izo, mogę zadać kilka pytań?

– Tak, jasne.

– Może mi pani opowiedzieć o wydarzeniach z wieczoru trzynastego kwietnia?

Ludmiła milczała chwilę.

– Chodzi panu o ten wieczór, kiedy znalazłam trupa?

– Właśnie o ten wieczór mi chodzi.

– No to chyba powiedziałam wszystko na ten temat.

– Nie jestem pewien.

Ludmiła popatrzyła mu w oczy. Miała nadzieję, że jest to takie pełne oburzenia spojrzenie człowieka, który ma policji za złe nękanie.

– Weszłam do gabinetu brata i znalazłam martwego człowieka. Co tu można więcej powiedzieć?

Nowak uśmiechnął się, jakby miał pewność, że dziewczyna kłamie. Może nie ona zabiła, ale miała z tym coś wspólnego. Wspólniczka? – odczytała to pytanie w jego wzroku.

Potem spokojnie wyjął z portfela wizytówkę.

– Gdyby zechciała pani uzupełnić zeznania, proszę zadzwonić.

Ludmiła z ociąganiem wzięła kartonik w dwa palce. Starszy aspirant Jarosław Nowak, telefon i adres mailowy.

– Nie omieszkam.

Patrzyła za odchodzącym. Z tym facetem było coś nie tak. Poczekała, aż zniknął z pola widzenia, i upuściła wizytówkę na ziemię.

– On coś podejrzewa, Ludmiło Janicka. I jeśli czegoś szybko nie zrobisz, to albo ty, albo twoja ciężarna siostra skończycie w więzieniu.

Bogdan Kowaluk zadzwonił do firmy ochroniarskiej, ale niczego ciekawego się nie dowiedział. Chłopaki przejeżdżały tamtędy raz czy dwa, nic niepokojącego nie widziały. Bogdan uważał, że nie zauważąliby nawet, gdyby King Kong odlewał się na trawniku przed urzędem, ale głośno tego nie powiedział. Podziękował za współpracę i odłożył słuchawkę.

– Czas porozmawiać o Andrzeju Musiale z sąsiadami. – Sprawdził adres w aktach i ruszył na osiedle Słoneczna Polana.

Wbrew nazwie osiedle nie było położone na polanie. Czy było słoneczne, trudno stwierdzić, bo akurat ciężkie szare chmury zasnuły niebo. Bogdan jeszcze raz sprawdził adres i ruszył między bloki. Ten z numerem czterdziestym piątym, gdzie na pierwszym piętrze mieszkał denat, kiedy jeszcze był żywy, różnił się od pozostałych. Trawniki przed klatkami były obsadzone iglakami, a na klatce pachniało czystością.

Bogdan zadzwonił do pierwszych z brzegu drzwi, ale nikt nie otworzył. Spróbował w trzech kolejnych, zanim udało mu się kogoś zastać. Była to dziewczyna z oseskiem uwieszonym przy obfitej piersi. Znała pana Andrzeja. Bardzo miły człowiek. Kilka razy pomógł jej znieść wózek. Mieszkał sam. Nie wie nic o jego życiu prywatnym. Myśl o tym, że ktoś mógłby chcieć go zabić, wydała się jej absurdalna.

Kowaluk podziękował. Pokręcił się po osiedlu, popytał ludzi. Wszyscy mówili mniej więcej to samo. Nuda. Bogdan kłął pod nosem. Każdy policjant marzy, by choć raz w karierze zajmować się morderstwem. Po to się idzie do tej roboty. A potem jest

wypisywanie mandatów za przekroczenie prędkości, sąsiedzkie kłótnie i awantury rodzinne. Piekło nudy i rutyny. A kiedy w końcu trafił się człowiek, któremu ktoś pomógł się rozstać z tym światem, podejrzanym jest tyle, co kot napłakał.

Ludmiła była zadowolona z zakupów. Lubiła rozpieszczać córkę. Tłumaczyła, że chce wynagrodzić jej brak ojca, ale wcale nie o to chodziło. Gabrysia była pojedyncza. W jej życiu nie było lustrzanego odbicia, które chodziłoby za nią i wydierało połowę uwagi, miłości, szacunku. Połowę wszystkiego. Ludmiła pieściła w córeczce siebie sprzed lat. Dawała sobie dzieciństwo, którego nie miała przez niewytłumaczalnie głupi błąd natury, który kazał zygocie podzielić się na dwa identyczne początki dwóch żyć. Dlaczego jej dostało się to przesrane?

Wkroczyła do domu, taszcząc pięć reklamówek z ciuchami i zabawkami. Zaniósła wszystko do pokoju córki i, zostawiwszy ją zajęętą oglądaniem łupów, poszła szukać siostry.

Iza siedziała w salonie. Piła herbatę imbirową i czytała książkę. Ilość różu na okładce świadczyła o tym, że bez wyrzutów sumienia można przerwać tę lekturę.

– Musimy porozmawiać.

Iza podniosła na nią wzrok udręczonej madonny.

– To może poczekać. Odbierałam dzieci ze szkoły – usprawiedliwiła się. – Są straszne.

– Przyzwyczajaj się. Twoje nie będzie inne.

Iza uniosła głowę i patrzyła na siostrę wzrokiem spłoszonego gryzonia.

– Bez względu na to, jak bardzo będziesz się starać w ciąży i później, twoje dziecko nie będzie się różnić od innych.

Iza chciała powiedzieć siostrze, jak ta niespodziewana ciąża wszystko komplikuje, a pojawienie się dziecka skomplikuje wszystko jeszcze bardziej. Chciała podzielić się wątpliwościami i usłyszeć „Zrób to”.

– Wątpię... – zaczęła. Nie dane jej było powiedzieć nic więcej, bo Ludmiła, jak zwykle, nie rozumiała.

– Uważasz, że jak ojciec jest n.n. i nie połączyła nas wielka płomienna miłość, to moje macierzyństwo jest gorsze? – zapytała i nim Iza zdążyła zaprzeczyć, sama sobie odpowiedziała – Tak właśnie uważasz. Przyzwyczyłaś się myśleć, że wszystko złe to Ludmiła. To może ktoś powinien ci odświeżyć pamięć, siostrzyczko. Tomek Brukiw, mówi ci to coś? A teraz weź swoją szanowną dupę w troki. Musimy ustalić fakty. Potem przejedziesz się na komendę uzupełnić zeznania, żeby nam się gliniarze nie kręcili po domu. Trochę to denerwujące, sama rozumiesz.

Izabela skinęła głową, że rozumie. Zwykle nie przepadała za swoją siostrą, ale dziś po prostu jej nie cierpiała.

– Masz coś? – zapytał Nowak, kiedy Bogdan ciężko opadł na krzesło obok niego.

– Och, bardzo dużo! – Słowa ociekały zjadliwą ironią. Kontynuował, modulując głos, by brzmiał kobieco i słodko. – Pan Andrzejek taki dobry, kwiatuszki przed blokiem posadził. Kiedyś pomógł mi nieść siatkę z zakupami i dziesięć złotych pożyczył do pierwszego. A mi wózek zniósł po schodkach, jak z dzidzią szłam na spacer. No kurwa! – przeklął już normalnym głosem. – Wygląda, jakby ktoś kropnął pieprzonego

aniola. Zaczynam myśleć, że Janicki miał rację z tym przypadkiem.

Nowak popatrzył na kolegę podejrzliwie. Jak dobry policjant może mówić coś takiego? Przypadek? Kule we wnętrzościach Musiała na pewno nie były przypadkowe. Ktoś je tam posłał. Pytanie tylko kto. I po co Musiał polazł do urzędu miasta, skoro nie miał tam nic do roboty. Z drugiej strony to mylne zakładać, że nic. Był przyjacielem Janickiego. Jakby nie obrócić tej sprawy, zawsze nazwisko Janickich wpływało na wierzch. I były jeszcze te zdjęcia. Przyniósł je jeden z techników, po tym, jak już sprawdzili, czy nie ma na nich odcisków palców. Wziął kopertę i podsunął ją Kowalukowi.

– Co to jest? – zapytał tamten.

– Sam zobacz.

Kowaluk w milczeniu przeglądał fotografie.

– Domowe porno. Trochę nieostre. Wiadomo kto to?

– Jakby było wiadomo, to już byśmy mieli podejrzanego. Chłopaki dokładnie to przejrzały, ale nie znalazły odcisków palców. Pamiętasz, siostra Janickiego mówiła, że brat kazał jej zabrać z biurka jakieś dokumenty. Może wysłał ją po te zdjęcia? Tu nasuwa się pytanie, czy przypadkiem ona nie wie, co to za dokumenty.

Bogdan gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie podejrzewam, żeby miała z tym coś wspólnego.

Jarek poczuł się osobiście dotknięty jego słowami.

– Brak ci obiektywizmu, jeśli chodzi o tę dziewczynę. A może to ona jest na tych zdjęciach?

– Wiesz co? Na dzisiaj mam dość! Idę do domu. Jakby co, to dzwoń.

Nowak nie odpowiedział. Widział, jak bardzo zdenerwował Bogdana. I dobrze. Czuł, że pomylił się co do niego. Wcale nie był fajnym, inteligentnym facetem, tylko wysyconym testosteronem samcem, któremu pierwsza lepsza baba zaburza trzeźwy osąd. Uporządkował dokumenty i zaczął po raz kolejny czytać wszystko od początku. Była już prawie dwudziesta druga, kiedy zebrał się do domu. Jedyne wnioski, do jakiego doszedł, był taki, może jeszcze nie dziś, ale już niedługo dowie się, kto zabił.

*Dziewięć dni temu*

Do Nowaka zadzwonił znajomy ze straży miejskiej. Słyszał o zabitym, no bo kto nie słyszał. Znał gościa. Wszyscy go znali. Spoko facet był. No a dziś mu się przypomniało, że niejaki Marcin Respondek złożył na niego skargę. Dzieciaki mu samochód podrapały, a gość się uparł, że to sprawka Musiała. Może by z nim pogadać?

W końcu pojawił się na horyzoncie ktoś, kto miał z Musiałem zatarg. Jarek złapał kluczyki i ruszył do drzwi.

– Zbieraj się – rzucił do Kowaluka. – Mamy do pogadania z jednym gościem.

Kwadrans później dzwonił do drzwi Respondek. Otworzył im młody facet, lekko wczorajszy, a może tylko zaspany.

– Jesteśmy z policji – zaczął Kowaluk, machając legitymacją. – Chcielibyśmy pogadać o panu Andrzeju Musiale.

Marcin Respondek wyglądał tak, jakby kamień spadł mu z serca.

– No już myślałem, że się nie zjawicie.

– Wie pan, o co chodzi?

– Oczywiście.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia.

– Możemy porozmawiać?

Respondek się roześmiał.

– Panowie! Tu nie ma o czym rozmawiać. Przyznaję się do wszystkich zarzucanych mi czynów.

Bogdan uniósł brwi i przewrócił oczyma, dając Jarkowi znak, że jego zdaniem, facet jest szurnięty.

– Spokojnie, panie Respondek. Proszę pamiętać, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu w sądzie.

– Ja się, panie władzo, modlę, żeby ta sprawa się skończyła w sądzie. I wszystko tam, słowo w słowo, powtórzę. Bo owszem, jestem odpowiedzialny za to gówno u Musiała, ale on sam sobie jest winien.

Nowak chrząknął niepewnie.

– Zechce pan z nami pojechać na komendę i złożyć zeznania?

– Z największą przyjemnością.

Kowaluk brzdęknął kajdankami.

– To nie będzie potrzebne – zapewnił go Respondek. – Wiem, że nabroiłem, ale do wszystkiego grzecznie się przyznaję i obiecuję nie robić żadnych cyrków. Facet mnie wkurzył, no i mnie poniosło.

Kiedy wsiadali do samochodu, Nowak pomyślał, że tak właśnie jest z zabójstwami. Człowiek oczekuje łamigłówki, a dostaje świrusa.

Krzysztof Janicki się miotał. Od wczoraj nie robił nic innego. Nie mógł pójść do pracy, bo aktualnie jego biuro było miejscem zbrodni. W domu nie czuł się za dobrze. Denerwowało go, że Madzia znowu podrzuciła dzieci jego matce. Rozumiał jej argumentację – tam były odsunięte od tego całego syfu. Ale z drugiej strony w trudnych chwilach rodzina powinna się wspierać.

– Mógłbyś usiąść – poprosiła Madzia, odrywając na chwilę wzrok od monitora. – Rozpraszasz mnie.

– Denerwuję się.

– A to niby czym? – W jej głosie brzmiała irytacja.

– Wszystkim. Wybory za tydzień, tymczasem w moim gabinecie moja własna siostra znajduje ciało mojego przyjaciela. Wiesz, co ja czuję? I jeszcze myśl, że to ja ją tam posłałem. Co by było, gdyby przyszła wcześniej?

Madzia westchnęła.

– Ja to cię, Krzysztof, proszę, ty nie myśl. Usiądź, jakiś mecz obejrzyj albo w fife pograj, tylko już nie myśl. I nie chodź!

Krzysztof usiadł na kanapie. Nie mógł przestać myśleć. Nurtował go szereg pytań. Po pierwsze: dlaczego Andrzej? Dlaczego w jego gabinecie? Czy to, że komendant nabrał wody w usta, oznacza, że Krzysztof jest podejrzany? A może wręcz przeciwnie, może te kule miały trafić zastępcę burmistrza i teraz należało się bać?

Jednak najgorsze było to, że choć bardzo żałował Andrzeja, to zamiast po nim rozpaczać, zastanawiał się, jak ta śmierć wpłynie na wynik wyborów.

Iza i Ludmiła spędziły cały poprzedni wieczór na ustalaniu wspólnej wersji ostatnich wydarzeń, na wypadek gdyby Nowak znów próbował uderzyć z zaskoczenia. Dziś Iza miała iść na komendę i grzecznie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Strach ją ogarniał i najchętniej by się wykręciła. Ale Ludmiła postawiła sprawę na ostrzu noża.

Teraz twoja kolej, żeby wziąć na siebie cudze grzechy. Jesteś mi to winna. Widzisz, by dokonać zbrodni, potrzebny jest motyw, sposobność i narzędzie. Policjantom wystarczy, że miałam motyw. Ponaciągają fakty tak, by wszystko się zgadzało. Tymczasem ty jesteś czysta jak łąza.

– Jak długo będziemy to ciągnąć?

– Dopóki nie znajdą prawdziwego mordercy. Obiecaj, że mi pomożesz.

Iza obiecała i dlatego teraz stała przed budynkiem policji.

Już miała wejść, kiedy przed gmachem zaparkowała srebrna kia. Wysiedli z niego znajomi policjanci i jeszcze jeden mężczyzna. Iza uśmiechnęła się do nich promiennie. Bogdan odpowiedział przyjaznym skinieniem głowy. Powiedział coś do kolegi i ruszył w kierunku Izy.

Nowak chyba mnie nie lubi, pomyślała.

– Co panią sprowadza? – zapytał Kowaluk.

– Chciałam uzupełnić zeznania. Rozmawiałam z pana kolegą wczoraj, ale byłam skołowana. Teraz poukładałam sobie wszystko.

– Zna pani tego mężczyznę? – Policjant wskazał głową człowieka, którego jego partner wprowadzał do budynku.

– Nigdy go nie widziałam. Dlaczego pan pyta?

Bogdan uśmiechnął się ciepło.

– Ma pani skłonność do przejmowania śledztwa. To w pewien sposób urocze.

Iza się zaczerwieniła. Ta adoracja ze strony policjanta irytowała ją. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć, że jej niegdyś szczęśliwy związek stał się bardzo nieszczęśliwy, a ona rozważa usunięcie jego owocu. Z drugiej strony bała się, że jeśli policjant się o tym dowie, to przestanie ją lubić. A Izie jakoś dziwnie zależało na tej sympatii.

– Przepraszam – szepnęła. – Już nie będę. Żadnych pytań.

– Nic nie szkodzi. Jak mówiłem, to urocze. A ten człowiek przyznał się do zabójstwa. Pewnie do jutra będzie po sprawie.

– Cieszę się. To znaczy, że już nie będę panom potrzebna?

– Służbowo nie, ale prywatnie owszem. – Puścił do niej oko.

Iza naprawdę chciała powiedzieć coś, co spowolniłoby zapędy pana aspiranta. Jednak nic nie przyszło jej do głowy, więc jak jakaś pensjonarka wydukała, że dobrze, dziękuje, i pędem uciekła.

– Cudna jest – westchnął rozmarzony Bogdan. – A ileż w niej sprzeczności. Czasem otwarta i pewna siebie, czasem takie wstydlive dziewczątko.

Marcin Respondek pierwszy raz w życiu był na komendzie policji, dlatego rozglądał się ciekawie. Nie wyglądało to jak w amerykańskim serialu, ale mu się



podobało. Na dodatek ekscytowała go myśl, że władza wreszcie zajęła się jego sprawą i Musiał dostanie za swoje. Jak można być tak wrednym, żeby komuś nowiutkie auto porysować gwoździem? No jak?

Weszli do obszernej sali, w której stał duży, drewniany stół i trzy krzesła. Policjant wskazał Marcinowi jedno z nich.

– To sala przesłuchań? – zapytał Respondek, siadając.

Tamten odpowiedział skinieniem głowy. Po chwili dorzucił:

– Za chwilę zjawi się mój partner. Wtedy zaczniemy.

Nie musieli długo czekać.

– No to zaczynamy, panie Marcinie.

Zapytali o imię, nazwisko, datę urodzenia i wszystko inne, poza NIP-em.

– Proszę nam opowiedzieć o wieczorze trzynastego – zaczął ten wyższy, Nowak chyba. Marcin powiedział, że nie pamięta, żeby zdarzyło się coś specjalnego.

– No normalnie, w robocie byłem. – Rozważał chwilę, czy na pewno nic się nie działo, ale nie. – A potem wróciłem do domu i walnąłem w kimono.

Policjanci popatrzyli na siebie.

– Może zacznijmy od początku – zaproponował policjant ugodowo. – Przyznał się pan, że zabił Andrzeja Musiała. Czy tak?

– Nie! – wykrzyknął.

– Przyznał się pan do zabójstwa. Dlatego został pan aresztowany.

Marcin patrzył na policjantów ogłupiały.

– Jakiego zabójstwa?!

– Andrzeja Musiała.

– To on nie żyje?

– Został zamordowany trzynastego wieczorem. Wie pan o tym dobrze, bo podczas aresztowania powiedział pan, że przyznaje się do tego czynu.

Marcin Respondek zerwał się z krzesła.

– O nie! Tego mi, panowie, nie wmówicie! Należało się szui, to fakt. Ale ja nie miałem nic wspólnego z jego zamordowaniem. Ja, trzynastego do czwartej nad ranem, byłem w robocie, dostawa sprzętu przyszła, bo zbliża się długi weekend. Ja od tygodnia praktycznie mieszkam w sklepie, tyle mamy roboty. Mam na to z dziesięciu świadków.

– To o czym pan mówił, kiedy pytaliśmy o zamordowanego?

– No, porysował mi gwoździem samochód, to mu drzwi psim gównem pomazałem.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Sprawdźmy alibi i będzie pan mógł iść do domu.

Później, gdy skołowany Marcin Respondek opuszczał komendę, uznał, że były to najgorsze trzy godziny w jego życiu. Już mu się tu nie podobało, a o władzy miał znacznie gorsze zdanie niż wcześniej.

Nowak kończył pisanie raportu, Kowaluk bujał się na krześle.

– Ale kanał – rzucił.

– Fakt, ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, że nasz święty nie był taki święty.

Pewnie nie tylko z Respondkiem zadarł. Widać nie lubił ludzi, którzy z prawem byli na bakier.

Krzesło Kowaluka zatrzymało się, przednie nogi wisały pięć centymetrów nad ziemią, a on sam zdawał się nad czymś głęboko zastanawiać.

– To ma pewien sens – zaczął. – Założmy, że facet na tych zdjęciach to Janicki. Musiał przychodzić do niego i pokazuje foty. Grozi, że je ujawni przed wyborami. Pana zastępcę ponosi, wyciąga broń i strzela. Potem wybiega z budynku, jedzie na spotkanie, po drodze uświadamia sobie, że zdjęcia zostały w pokoju, więc dzwoni do siostry, żeby je zabrała. A dziewczyna znajduje ciało. Czyli miałem rację, że jest niewinna – zakończył uradowany.

Nowak poczuł, jak jego twarz wykrzywia nerwowy skurcz.

– Wiesz, ile dziur ma twoja teoria? – zapytał oschle.

– A czy my nie jesteśmy przypadkiem od tego, żeby je łątać?

Krzysztofa zaskoczyła wiadomość, że musi znowu pojechać na komendę. Co jego powtórne zeznania mogły wnieść do sprawy? Ale ponieważ policji się nie odmawia, wsiadł do samochodu i w niecały kwadrans był już na komendzie.

Nowak przywitał go z powściągliwą uprzejmością i zabrał do pokoju przesłuchań. Coś mówiło Krzysztofowi, że komendant nie został uprzedzony o jego wizycie.

Policjant wskazał mu krzesło. Sam usiadł naprzeciwko i przez chwilę przerzucał dokumenty w szarej teczce. Krzysztofowi przyszło do głowy, że akta sprawy o zabójstwo wyglądają dość skromnie.

– Od jak dawna znał pan Andrzeja Musiała?

Krzysztof przez chwilę się zastanawiał.

– Trudno mi powiedzieć. Dość długo. Ponad dwadzieścia lat. Bywał u nas w domu, kiedy byłem mały. Przyjaźnił się z moim ojcem. Chyba pracował kiedyś w szkole. Organizował rajdy górskie, na które zabierał młodzież. Kiedy poważnie zaangażowałem się w działalność społeczną, bardzo się zbliżyliśmy. Andrzej dużo mi pomagał. Wie pan, ja chłopak z marzeniami i zapałem, a on spokojny, zdystansowany. Uzupełnialiśmy się. Z czasem ta współpraca przerodziła się w przyjaźń, jeśli można to tak nazwać. Andrzej był typem samotnika.

– Wie pan coś o jego rodzinie?

– Był żonaty, ale to małżeństwo szybko się rozpadło. Ojciec powiedział mi kiedyś, że żona Andrzeja nie znosiła bycia na drugim planie. Nigdy jej nie poznałem. Zdaje się, że wyjechała za granicę.

– Wie pan coś o innych krewnych?

– Kilka lat temu opiekował się matką. Zmarła na raka. Andrzej mocno to przeżył. Nie wiem, czy miał jeszcze kogoś, bo nie wspominał. Wie pan, jak to czasem jest, zna się kogoś wiele lat, a nie wypada zapytać o najbliższych.

– Nie wiem – uciął Nowak.

No tak, pomyślał Krzysztof, twoja praca, bucu, polega na zadawaniu pytań.

– Proszę mi opowiedzieć, co robił pan trzynastego.

– Tak, jak już wcześniej mówiłem, to był zwykły dzień.

– To proszę mi opowiedzieć o swoim zwykłym dniu. Najlepiej zacznijmy od rana.

– Do urzędu przyszedłem po ósmej, bo musiałem odstawić dzieci do szkoły. Moja żona pracuje w biurze rachunkowym i teraz mają mnóstwo roboty z rozliczaniem

podatków, dlatego wyszła z domu wcześniej. Ja to chyba niepotrzebnie mówię?

– Proszę mówić wszystko, co przyjdzie panu do głowy – łagodnie powiedział Nowak. – Ja ocenę przydatność informacji.

– Cały dzień spędziłem w urzędzie. Nawet dokładnie nie pamiętam, co robiłem. Możecie zapytać Artura, on prowadzi terminarz.

– Artura?

– Mojego asystenta. To młody chłopak, dopiero po studiach, odbywał u nas staż i został na stałe. Bardzo dobrze zorganizowany. Jego pomoc jest nieoceniona. No a wieczorem miałem spotkanie z przedsiębiorcami. Przygotowywałem prezentacje, robiłem wydruki. Wyszedłem koło szesnastej i pojechałem do domu, żeby się przebrać. Na spotkanie przyjechałem trochę wcześniej, bo chciałem na spokojnie przygotować krótką przemowę. Wie pan, mam trójkę dzieci i w domu trudno o chwilę ciszy.

– Dlaczego telefonował pan do siostry?

Krzysztof zawahał się. Nie lubił tego policjanta, jego wyszukanej grzeczności i okrągłych ruchów. To granie angielskiego gentlemiana to był pozór, który skrywał zimne serce.

– Z roztargnienia zapomniałem tych wszystkich wydruków. Artur, mój asystent, radził, żeby zrobić prezentację multimedialną, ale ja znam tych ludzi, z którymi miałem się spotkać. Oni wierzą w liczby, a te trzeba przedstawić na papierze. Dzwoniłem do kilku osób, ale tylko ona odebrała.

– A czemu nie pojechał pan sam?

– Jak powiedziałem, przyjechałem wcześniej i... wypłem jednego, może dwa.

– Nie chciał pan prowadzić po pijanemu? – Krzysztof w odpowiedzi kiwnął głową. – To chwalebne! – rzucił policjant. W jego głosie można było wyczuć cień ironii.

Janicki poczuł się niezręcznie. Chrząknął. Nie bardzo wiedział, co ma mówić dalej.

– Zadzwoił pan do siostry. – Nowak przyszedł mu z pomocą.

– Tak, obiecała przywieźć mi te dokumenty, ale nie dotarła. Jak się później okazało, znalazła ciało i to ją zatrzymało.

Krzysztofowi przyszło do głowy, że nie był sprawiedliwy wobec Ludmiły. Podejrzał ją o głupi wyskok, a ona tymczasem przeżywała koszmar. Za nic nie chciałby być na jej miejscu w chwili, gdy znalazła nieżywego Andrzeja.

– Co tam się właściwie stało?

– Tego, panie Janicki, będziemy się musieli dowiedzieć.

Zgarnął dokumenty. Był wyraźnie zadowolony. Podniósł się. Krzysztof wstał również, ale coś mu mówiło, że niepotrzebnie.

– Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Mogę pana prosić, żeby tu na mnie zaczekał?

To oczywiście nie była prośba i Krzysztof mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Ciężko opadł na krzesło.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, że sprawdzimy pana telefon?

Bez słowa wyciągnął aparat z kieszeni i podał Nowakowi.

– Proszę uważać. To prezent od żony.

– Oczywiście, proszę pana. – Z tonu, jakim zostały wypowiedziane te słowa, wynikało, że Nowak ma w dupie i Janickiego, i jego telefon.

Kilka metrów od szpitalnej bramy stał mały pawilon, w którym mieściła się kwiaciarnia. Poza wszelkiego rodzaju bukietami można tam było kupić kubki z zabawnymi napisami, pluszowe zwierzątka różnych rozmiarów, kartki okolicznościowe i całą masę innych rzeczy, których mógłby zapragnąć ktoś udający się w odwiedzinach do szpitala.

Barbarze zakręciło się w głowie od tej pstrokaczyny i już chciała wyjść, gdy kwiaciarka zapytała, w czym może pomóc.

– Chciałam jakieś zwykłe kwiaty, coś, co można wstawić do wazonu – odpowiedziała.

– Wysoki czy niski ten wazon?

– Nie wiem. – Pomyśl, by kupić kwiaty na stół, przyszedł nagle. Nie zastanawiała się, w co je włoży. Przecież ma w domu wazon. I to nie jeden. Czego jak czego, ale rupieci tam nie brakowało.

Kwiaciarka, widząc wahanie klientki, przejęła inicjatywę.

– Dam pani gerbery. Długo postoją, a jeśli będą za długie, wystarczy je przyciąć. – Wyjęła kilka kwiatów z wazonu, oplotła je gipsówką, asparagusem i kolorowymi nitkami. Całość związała wstążką i podała gotowy bukiet.

W domu, nalewając wody do wazonu, Barbara nie mogła nadziwić się swojej spontaniczności. To nie było do niej podobne.

– Jakie ładne kwiaty. Od pacjenta? – zapytała Jadwiga, wchodząc do pokoju, i Barbarze zrobiło się głupio. Poczula się jak przyłapanie na psocie dziecko.

– Nie. Kupiłam.

– Jakaś okazja, o której nie pamiętam?

– Chciałam... Iza wróciła do domu. Chciałam w ten sposób okazać, jak bardzo się z tego cieszę.

Teściowa w milczeniu przyglądała się kwiatom, które synowa wstawiła do kryształowego wazonu. Widać było, że rozważa, czy powiedzieć, co myśli.

– Iza nie wróciła – odezwała się w końcu. – Nie wie, co ze sobą zrobić, i przyjechała przeczekać.

– Jeśli jej związek z Pawłem ma się rozpaść, to najlepiej teraz, kiedy są jeszcze młodzi i nie mają dzieci. Przyszedł do nas na OIOM taki sympatyczny chirurg... – Barbara przerwała, widząc, jak teściowa przewraca oczami. – Wiem, wiem. Tylko... przecież może zostać. Nie jest jej u nas źle.

– Jej nie, tobie tak.

– Co masz na myśli?

– Nawet jeśli Izunia tu zamieszka, nie cofniemy czasu. Nie będzie tak, jak wtedy, gdy żył Jurek, a dzieci były małe.

Barbara postawiła wazon na stole, odsunęła krzesło i ciężko na nie opadła.

– Zazdroszczę ci.

– Tego, że mój mąż żyje? Tego, że możemy być razem? Tego, że spędzam ostatnie dni z mężczyzną, który kiedyś był piękny, a dziś nosi pieluchę i nie pamięta, jak się nazywam? Ja zazdroszczę tobie, bo masz dwadzieścia lat mniej i nie musisz od rana do wieczora zajmować się zniedołężniałym dziadkiem.

Barbara międlila płatek gerbery.

– Jestem samotna.

– Koniec końców wszyscy jesteście, moja droga.

Wydawało się, że to koniec rozmowy, bo Jadwiga ruszyła w kierunku kuchni. Zatrzymała się jednak na chwilę i z niezadowoleniem popatrzyła na połamane łądygi kwiatów.

– Sprowadzanie do tego domu większej liczby dzieci nic nie da. Znajdź sposób, żeby wypełnić swoje serce, wtedy będzie ci łatwiej.

Starszy aspirant Jarosław Nowak podszedł do swojego biurka. Panował na nim idealny porządek. Biurko Kowaluka, stojące metr dalej, zaścielały zbędne papiery, gazety i ulotki firm cateringowych. Właściciela tego bajzlu nie było w okolicy.

– Widział kto Kowaluka? – zapytał.

– Wyszedł na fajka – rzucił ktoś z socjalnego.

– Potrzebuję kogoś, kto mi rozkmini telefon świadka. – Nie było powodu nazywać Janickiego podejrzany. Wciąż jeszcze nie było żadnego powodu.

Do pokoju wszedł Adam Suwała. Młodziutki blondynek, świeżo po szkole, aktualnie jak to się tu, na komendzie, mówiło, „szlifował krawężniki i zbierał element leżakujący”.

– Masz nakaz? – zapytał.

Nowak westchnął. Świeżo po szkole, cholera! A tam wszędzie biurokraci, co robią dzieciakom wodę z mózgow. Zanim nakaz by przyszedł, zniknęłaby połowa dowodów.

– Mam zgodę świadka. Dla dobra sprawy idzie na pełną współpracę. Zrobisz mi to?

Adam kiwnął głową.

– Potrzebuję całej historii połączeń. Zwłaszcza trzynastego.

Chłopak wziął telefon i gwizdnął.

– Fajowy. Wiesz, ile kosztuje?

– Nie wiem i raczej nie chcę wiedzieć, więc nie zniszcz. Jak coś, to ciebie obciążę. Janicki siedzi w sali przesłuchań. I niech tam sobie jeszcze posiedzi. Można mu kawy dać. Ja wracam za pół godziny. Muszę coś sprawdzić.

Tak naprawdę starszy aspirant Jarosław Nowak nie miał nic do sprawdzenia. Potrzebował jednak chwili, żeby w samotności poukładać myśli, które zaczęły nadlatywać stadami, jak wrony do padliny. Kowaluk mógł mieć rację. Janicki wyglądał na winnego. Siostrzyczka również.

Krzysztof poczuł pot na dłoniach. Wytarł je o spodnie. Czuł jednocześnie wściekłość i strach. Ten policjant nie powinien go tak zostawiać. Zabrał telefon i Krzysztof stracił poczucie czasu. Kto wie, jak długo tu siedzi. I przede wszystkim dlaczego. Może podejrzewają, że to on zabił? W pierwszej chwili ta myśl wydała mu się tak absurdalna, że parsknął śmiechem. Niedługo później nie było mu już tak wesoło.

Wreszcie wrócił Nowak. Krzysztof zaklął w duchu. Czuł się nieswojo przy policjancie. W tym facecie było coś bardzo niepokojącego.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – zaczął Nowak. Obydwaj wiedzieli, że nie jest mu przykro. – Nasz technik sprawdził historię połączeń. Faktycznie trzynastego

dzwonił pan do swojej siostry.

– No przecież mówiłem.

Uśmiech Nowaka był z gatunku tych, które rodzice posyłają dzieciom, próbującym coś ukryć. Nic nie powiedział, za to wyjął teczkę ze zdjęciami. Położył je przed Krzysztofem.

– Mówi to panu coś?

Krzysztof przyglądał się fotografiom. Półnagi mężczyzna z kobietą w czarnych kabaretkach, splątani w miłosnym uścisku. Twarze były rozmazane, ale Janicki nie miał wątpliwości, kogo zobaczył. Nerwowo przegładził włosy.

– Skąd to macie?

– Chcę wiedzieć, czy to pan?

Krzysztof milczał. Nowak uśmiechnął się szczerze i po przyjacielsku.

– Widzi pan – zaczął – ja to widzę tak: polityka, nawet ta mała lokalna, to jedno wielkie bagno. Człowiek jest na spotkaniu, trochę wypije i nagle do hotelowego pokoju puka dziewczyna. Wiadomo, kto ją przysłał i po co. Cóż, człowiek to głupie zwierzę. Zamiast powiedzieć, że to pomyłka, wpuszcza ją do środka. – Nowak badawczo przyglądał się Krzysztofowi. Pewnie czuł, że ten się poci, bo usatysfakcjonowany ciągnął: – Prawy obywatel, jakim był Andrzej Musiał, widząc takie zdjęcia, musiał się poczuć dotknięty. Może oszukany, może zdradzony. Przyszedł do pana, żądał wyjaśnień. I tak od słowa do słowa, od czynu do czynu...

Krzysztof poderwał się z krzesła.

– To bzdura! Będzie pan musiał to udowodnić.

– Na tym polega moja praca. Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że zatrzymamy pana na trochę?

– Będę. Andrzej był moim przyjacielem. Nie miałem powodu, żeby go zabijać. Nawet mnie tam nie było.

– No cóż...

Wskazał drzwi. Janicki natychmiast ku nim ruszył.

Nowak usiadł i, zanim zaczął spisywać zeznania świadka, przez chwilę rozważał, czy aresztowanie Janickiego nie byłoby dobrym pomysłem.

Burmistrz przyjął Jarosława Nowaka uprzejmie, choć chłodno. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się mocno zdystansować od sprawy, jakby było mu wstyd, że coś takiego zdarzyło się w jego urzędzie.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę – zaczął Nowak, uczulony przez komendanta, żeby odnosić się do władzy z należyтым szacunkiem. „Żadnych, absolutnie żadnych sztuczek. Szeryfować to sobie możecie przed pijaczkami z baru Umerowej. Musicie go przesłuchać, wiem, ale grzecznie i z szacuneczkiem. A jak się na was poskarży...!” – Komendant nie musiał kończyć.

– Ależ ja rozumiem. Proszę robić swoją robotę.

– To tylko kilka pytań...

– Więc proszę pytać.

– Pamięta pan dzień trzynastego kwietnia?

– Oczywiście, choć wolałbym zapomnieć.

– Dlaczego? – zapytał Nowak głupio, a burmistrz rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Pod moim nosem ktoś zabija człowieka, który był jednym z najzaciejszych filarów naszej społeczności. Tuż przed wyborami. To, panie aspirancie, tak, jakbym miał jego krew na rękach.

– Nikt panu nic nie zarzuca. Znajdziemy zabójcę...

– Z tym znajdowaniem to różnie bywa. Czytam gazety i wiem, co się w kraju dzieje, ile jest niewyjaśnionych spraw. Często z winy policji. Gubicie dowody, stawiacie zarzuty niewłaściwym osobom, działacie opieszale. Nie mówię, że pan. Ja tu mówię o policji w ogóle.

Nowak nerwowo przełknął ślinę, a burmistrz kontynuował swoją małą przemowę. Skrzywienie zawodowe – złośliwie pomyślał starszy aspirant.

– W tym mieście zawsze był spokój i porządek. Pracujemy na to od lat. Andrzej też na to pracował. A spotkał go los najgorszy z możliwych – przedwczesna, gwałtowna śmierć. I to nie był wypadek. Powinniście się skoncentrować na znalezieniu sprawcy i przywróceniu miastu utraconego spokoju. Tymczasem...

Nowak chciał coś powiedzieć, ale burmistrz nie należał do ludzi, którym można przerwać w pół zdania.

– Tymczasem zamiast tego nękanie mojego zastępcę.

– Pan Janicki jest ważnym świadkiem.

– Nie jest o nic podejrzany?

– Oczywiście, że nie – odparł Nowak szybko. Zbyt szybko. Powinien się pilnować, inni też potrafią czytać między wierszami. – Wróćmy do trzynastego. Zapamiętał pan coś szczególnego z tego dnia?

– Nic. Dzień jak co dzień.

– O której wyszedł pan z pracy?

– Nie wiem. Jak zwykle, pewnie przed szesnastą.

– Pan Janicki był wtedy jeszcze w biurze?

– Nie. Wyszedł przede mną. Śpieszył się na spotkanie z przedsiębiorcami. Też planowałem tam pojechać. Wie pan, żeby wesprzeć chłopaka duchowo. Dziś gramy przeciwko sobie, a wczoraj byliśmy w jednej drużynie. Wiem, że jest dobry. Cholernie dobry. To miasto potrzebuje jego entuzjazmu. Zdecydują wyborcy. Ja prywatnie chłopaka lubię i dobrze mu życzę.

Nowak, choć wiedział, że do niczego się to nie przyda, skrzętnie notował te komunały.

– Kto był w urzędzie, kiedy pan wychodził?

– Nikogo nie widziałem, ale pewnie pan Kazio. Nie sprawdzam, kto zostaje po godzinach. Jestem burmistrzem, nie cieciami.

Nowak udał rozbawionego tym żartem.

– Pojechał pan na to spotkanie? – podjął.

– Tak. Byłem tam ponad pół godziny wcześniej. Wpadłem na Krzysztofa, kiedy wychodził...

– Wychodził?

– Powiedział, że zapomniał jakichś papierów. Ja myślę, że po prostu się wymknął, bo potrzebował chwili dla siebie.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest rozumieć, panie władzo? Był tak zdenerwowany, że musiało go przeczyścić.

Nowak zamknął notes.

– To wszystko, dziękuję.

– Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

– Dziękuję, panie burmistrzu – Nowaka zdziwiło, jak służalczo to zabrzmiało.

Skinął głową i wyszedł. „Nawet mnie tam nie było” – przypomniało mu się usłyszane wcześniej zdanie.

Ludmiła знаła swojego brata. Był jedynym członkiem rodziny, o którym by powiedziała, że go kocha. Kiedy byli młodzi, Krzysztof bał się nawet pomyśleć o rzeczach, które Ludmiła robiła bez wyrzutów sumienia. Ta brawura siostry, jej bezkompromisowość i odwaga, by robić to, na co miała ochotę, bardzo mu imponowała. Teraz, kiedy Krzysztof poszedł w politykę i zdarzało mu się łamać zasady, jego podziw dla Ludmiły był jeszcze większy. Jego męczyły wyrzuty sumienia, bał się wpadki i konsekwencji. Ludmiła grzeszyła jawnie, na oczach całego miasta, mówiąc przy tym głośno: mam was w dupie. Będę robić to, na co mam ochotę.

Mimo że tak inni, byli sobie bardzo bliscy. I dlatego to właśnie Ludmiła zorientowała się, że brata gryzie coś więcej niż morderstwo w jego gabinecie.

– Co jest? – zapytała bez ogródek, kiedy wpadł wieczorem odwiedzić dzieci. Nic nie odpowiedział, co było dla niej najlepszym potwierdzeniem, że coś jest nie tak.

Później, kiedy brat wychodził, wymknęła się za nim i dogoniła, zanim zdążył wsiąść do samochodu. Stali teraz naprzeciwko siebie na podjeździe.

– Powiedz mi prawdę – poprosiła.

– To może ty mi powiedz. Wiem od Kazia, że siedziałaś do późna.

– To prawda. W końcu jednak wyszłam.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś...

Ludmiła fuknęła jak rozwścieczona kotka.

– Chyba nie myślisz, że to ja zabiłam Andrzeja?

– Nie wiem, co myśleć. Byłaś tam i miałaś powód. Nienawidziłaś go.

– Tam od razu nienawidziłaś – zbagatelizowała. – Wkurwiał mnie i tyle.

Krzysztof położył rękę na ramieniu Ludmiły i patrzył siostrze prosto w czy.

– Wiem o tobie i Andrzeju.

– Wiesz? – ucieszyła się, bo przyszło jej do głowy, że znający prawdę brat będzie po jej stronie.

– Wiem. Andrzej mi powiedział.

Ludmiłę coś tknęło. Wiedziała, że ludziom czasem cięży poczucie winy i się przyznają, znała jednak Musiała i wątpiła, żeby wiedział, co znaczy słowo skrucha.

– A co takiego powiedział?

– No że kiedy dowiedziłaś się o ciąży, to próbowałaś go uwieść. Odmówił, ze względu na naszą wieloletnią przyjaźń. To cię strasznie zdenerwowało. Próbowałaś mu



zaszkodzić, rozsiewając plotki.

– Uwierzyłeś mu?

Odwrócił wzrok, usta wykrzywił sztubacki uśmiech.

– To do ciebie pasowało.

Ludmiła strąciła dłoń brata ze swojego ramienia.

– Krzysztof! Jesteś tak głupi, że jedyną dziedziną, w której możesz odnieść sukces, jest polityka. Jak mogłeś pomyśleć, że to prawda? – Po raz pierwszy w życiu brat ją rozczarował. To bolało. – Ja nie zabiłam Andrzeja. Choć jestem wdzięczna temu, kto to zrobił. Należało się, skurwielowi!

Brat nie chciał tego słuchać.

– Nie masz prawa tak mówić. To był mój przyjaciel. Wybacz, muszę jechać do domu.

– Krzysztof, uwierz, nie miałam z tym nic wspólnego.

– Ja tym bardziej, ale to mnie podejrzewają.

Ludmiła chciała coś powiedzieć, ale brat tylko machnął ręką. Wsiadł do samochodu i odjechał. Patrzyła za nim z pewnym smutkiem. Chciałaby go zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Chciała zapewnić siebie, że w ich relacji nic się nie zmieniło. Jednak nie była optymistką.

To był kolejny dzień bujania na huśtawce emocjonalnej i Magda była już bardzo zmęczona. Powiedziała szefowej, że efektywniej będzie pracować w domu. Miała nadzieję, że w pustym mieszkaniu, bez Krzysztofa i dzieci, uda jej się okiełznać uczucia, które się w niej kotłowały. Niestety. Stały rytm pracy Krzysztofa został zaburzony przez ostatnie wydarzenia. Wychodził do urzędu, by niedługo potem zjawić się w domu. Łaził po mieszkaniu, coś mu się przypominało i znowu jechał do urzędu. Ona w napięciu patrzyła na wyświetlacz telefonu. Bała się, że Artur zadzwoni i będzie musiała odebrać przy Krzysztofie. To, że nie dzwonił, martwiło ją jeszcze bardziej. Zadzwonię – powiedział, kiedy rozstawali się o świcie na hotelowym parkingu. Gdyby nie to... i gdyby nie te myśli. Jeśli nie zachowali dostatecznej ostrożności, ktoś... Andrzej się dowiedział. Wszystko pasowało. To znaczy nie pasowało! Artur w życiu nie zrobiłby czegoś takiego. On był taki cudowny, czuły i delikatny. Ale nie przedwczoraj. Wtedy był wzburzony i gwałtowny. Niektóre miejsca na ciele ciągle ją bolały.

Może powinnam z tym skończyć, pomyślała.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

– Jak się masz? – zapytał, a ona odpowiedziała, że w porządku, choć nie była to prawda. – Spotkajmy się jutro, dobrze?

– Nie wiem, czy dam radę.

– Wymyśl coś, jesteś mądrą dziewczynką – wyszeptał zmysłowo.

Chciała podjąć grę, ale w tym momencie w zamku zazgrzytał klucz. Pożegnała się szybko i odłożyła telefon. Wątpliwości ją opuściły. Chciała, żeby było jutro.

*Osiem dni temu*

Ludmiła obudziła się o siódmej, przeklinając swój zegar biologiczny. Była sobota, nie musiała iść do pracy. Zamknęła oczy i nasunęła kołdrę na głowę. Przez kilka minut

toczyła nierówną walkę z organizmem. W końcu poddała się i wstała, zajrzała do córki, która na szczęście jeszcze słodko spała, potem zeszła do kuchni.

Na stojąco piła poranną kawę, patrzyła przez okno. Ogród był ciągle bardzo ładny, mimo że od śmierci ojca nikt o niego nie dbał. Pomyślała o tym, jak różne uczucia wywołuje śmierć. Po ojcu został smutek i tęsknota. A teraz, kiedy Andrzej nie żył, czuła ulgę i spokój. Roześmiała się gorzko. Jak Krzysztof mógł uwierzyć, że zalecała się do tego padalca? Jakie to szczęście, że ktoś pozbył się tej kreatury – pomyślała Ludmiła. – Niech już ta sprawa się skończy.

Jeszcze przez chwilę cieszyła się samotnością. Była w połowie kawy, kiedy do kuchni zaczęli ściągać członkowie rodziny.

Pierwsza pojawiła się Barbara, za nią przybiegli Kubuś i Antoś, z żądaniem, by natychmiast podano im kakao. W tym momencie w kuchni zjawiała się Emilka. Owszem, chętnie napije się kakao, tylko z mlekiem sojowym poprosi. Jak to nie mają sojowego? Nikt, po prostu nikt nie szanuje tego, że jest weganką?! W tym kraju nigdy nie będzie dobrze, jeśli prawa mniejszości nie będą respektowane.

– Mówi zupełnie jak jej ojciec – szepnęła Barbara do córki. I popełniła błąd taktyczny, pytając, czemu nie może być krowie, przecież przy pozyskiwaniu go nikt nie ginie.

– Jesteś stara, babciu, i nie masz szerokiego horyzontu myślowego – poinformowała spokojnie Emilka. Potem zrobiła wszystkim mały wykład na temat krów, których trzyma się na świecie miliony, tylko dla mleka. Te krowy srajają... – Tu Antoś i Kubuś zachichotali – ... to wszystko gnije, uwalnia ciepło i mamy efekt cieplarniany.

– Myślałam, że to od dezodorantu. – Jadwiga załapała się na końcówkę prelekcji i teraz chciała wziąć udział w debacie.

– Tak myślano jeszcze kilka lat temu. Teraz mamy nowe badania i wstyd, że osoba, która jest lekarzem – tu wnuczka z wyrzutem spojrzała na Barbarę – nie ma o tym pojęcia. Więc twierdzenie, że nikt nie cierpi przy pozyskiwaniu mleka, jest fałszywe. Ono będzie kosztowało życie nas wszystkich! – I Emilka demonstracyjnie opuściła kuchnię, w której eksterminowano rodzaj ludzki.

– Podobno w dwa tysiące dwudziestym połowę posłów każdego parlamentu w Europie będą stanowili przedstawiciele partii ekologicznych – poinformowała Jadwiga.

– O! To świetnie – ucieszyła się Barbara – bo martwiłam się o przyszłość tej dziewczyny.

Kubuś i Antoś dopili kakao i postanowili powalczyć o zainteresowanie babci. Jeden przez drugiego coś mówili, Barbara próbowała im odpowiadać i nagle pomieszczenie wypełnił gwar.

Ludmiła wypięła ostatni, chłodny już, łyk kawy i postanowiła wyjść z kuchni, zanim puszcza jej nerwy.

– Wezmę Gabrysię i pójde do parku – oświadczyła matce.

Ta przez chwilę trawiła informację, usiłując zapanować nad wnukami.

– Ale wrócisz na czas? – zapytała. Córka nie zrozumiała pytania. – Zapomniałaś, czy co? Co z wami wszystkimi się dzieje? Przecież dziś wiec przedwyborczy Krzysztofa.

– A, o to chodzi. Pamiętałam – skłamała Ludmiła i szybko uciekła z porannego

rodzinnego piekielka.

Dla Krzysztofa Janickiego to miał być bardzo ważny dzień. Czekał na niego w napięciu od dwóch miesięcy. Kiedy ustalano szczegóły wielkiego wiecu przedwyborczego, nikt się nie spodziewał, że będzie się on odbywał w cieniu skandalu i morderstwa. Nad urzędem miasta wisiały teraz czarne chmury. Bez względu na to, kto zabił Andrzeja Musiała, uczynił podejrzanymi wszystkie pracujące tam osoby. Nawet Krzysztof, który początkowo rozpaczliwie uczeplił się teorii z włamaniem, teraz nabierał podejrzeń, że Andrzeja musiał zabić ktoś z urzędu. On do kogoś przyszedł, z kimś rozmawiał. Tylko dlaczego w moim gabinecie, zastanawiał się. I jeszcze te zdjęcia, które teraz miała policja. Skąd i dlaczego? Andrzej Krzysztofa lubił, przyjaźnili się. To, co zobaczył na zdjęciach, mogło mu się nie podobać, ale przyszedłby z tym prosto do Krzysztofa. Może właśnie tak było? Może przyszedł? Krzysztof tego dnia wyszedł wcześniej, ale Andrzej nie musiał o tym wiedzieć. Otworzył drzwi do gabinetu i...

Te rozmyślenia przerwało wejście Madzi do pokoju. Długie srebrne kolczyki zamigotały, kiedy pochylała się nad szufladą.

– Wychodzisz? – zdziwił się Janicki.

– Mam coś do załatwienia na mieście – odpowiedziała, nie podnosząc na niego wzroku.

– Można wiedzieć co?

Wyprostowała się. Szuflada trzasnęła.

– Nie, nie można! Coś ty się taki podejrzliwy zrobił? Masz wiec, a ja muszę jakoś wyglądać. Mam ci się spowiadać z wizyty u fryzjera? – pytała zjeżona.

Krzysztof pokręcił głową.

– Jasne, że nie. Wspierasz mnie, to ważne. Tylko chciałem z tobą porozmawiać.

Madzia przyjęła pozę „No słucham, tylko szybko, bo mi się śpieszy”.

– Policja znów mnie przesłuchiwała w sprawie Andrzeja.

– To chyba normalne, że przesłuchują świadków, no nie? Nikomu nawet do głowy by nie przyszło, że możesz mieć z tym coś wspólnego. Posłuchaj mojej rady i dziś o tym nie myśl. Skoncentruj się na wyborach.

– Masz rację. Tylko podczas przesłuchania pokazali mi zdjęcia i ja...

– Dziś nie rozmawiamy na ten temat, okej? Ja skoczę do fryzjera i może do kosmetyczki. Nie wiem, ile to zajmie, więc zobaczymy się na wiecu.

– Madzia, jeśli zobaczysz te zdjęcia...

Ale za żoną już zamknęły się drzwi.

Twarz Artura mignęła w lustrze, kiedy fryzjerka suszyła Magdzie włosy. Uśmiechnęła się, choć on nie mógł tego widzieć. Zniecierpliwiona zaczęła się wiercić. „Już, już kończę” – uspokajała fryzjerka, wyłączyła suszarkę i dokonawszy ostatnich poprawek, utrwaliła wszystko sporą ilością lakieru.

Magda patrzyła z zadowoleniem na efekt tych zabiegów. Ciemnobrązowe włosy, zwykle byle jak upięte, teraz opadały na ramiona w przepięknych lokach. Dzięki temu drobna twarz nabrała innego, młodszego, ale też jakby słodszy wyrazu.

Wybiegła od fryzjerki. Na ulicy było sporo osób, jak to w sobotni poranek, każdy miał coś do załatwienia. Nie sądziła, by zwrócono na nią uwagę, jednak na wszelki

wypadek się rozejrzała. Nie chciała plotek. Przeszła na drugą stronę i skręciła w wąską uliczkę Solniczą. Tu stał zaparkowany znajomy samochód. Wsiadła. Ruszyli. Nie było w tym nic niezwykłego, mężczyzna i kobieta jadą dokądś razem. Na pozór tylko tyle.

Nie zamienili słowa, dopóki nie wyjechali z miasta.

– Chcę się z tobą kochać – powiedział.

Poczuła suchość w gardle.

– Tu?

– Gdziekolwiek.

Zjechali na boczną drogę, potem w las.

„Pięć dych jak psa w dupę pocałować” – pomyślała, gdy jego palce wsunęły się w jej włosy. Potem już nie myślała.

– Mogę zaprosić cię na kawę? – zapytał, dopinając suwak.

– Może trzeba było zacząć od kawy? – roześmiała się.

Oparł czoło na jej ramieniu.

– Jesteś cudowna – powiedział.

Zatrzymali się na parkingu przy stacji benzynowej. Przyniósł dwa tekturowe kubki i cukier w papierowych saszetkach. Nie starał się jej zaimponować i to było wspaniałe. Taka codzienność, jakby byli...

– Będiesz na wiecu? – zapytał.

– Jakże mogłabym to przegapić. – Roześmiali się oboje i Magda uznała, że to dobry moment, bo jeśli nie zapyta teraz, potem może już nigdy nie mieć odwagi. – Te SMS-y... powiedziałaś, że załatwiłaś sprawę.

Spojrzał na zegarek.

– Nie chciałem dziś, ale skoro masz jeszcze chwilę, wsiadaj!

Jechali w milczeniu. Magda piła coraz zimniejszą kawę, która teraz nabrała posmaku tektury.

Samochód skręcił w boczną drogę, a potem w kolejną, szutrową. Wspinał się nią powoli, skarżąc przy tym na niesprawiedliwy los rżeniem silnika. W końcu stanął między polem, na którym sterczały suche resztki zeszłorocznej uprawy, a siatką, która kiedyś oddzielała od świata spore podwórko. Teraz, ze względu na liczbę dziur, nie mogła już pełnić tej funkcji. Nie wyglądało na to, żeby na rzeczonym podwórku było cokolwiek wartościowego – krzaki, kilka brzoź samosiejek i przedwojenny budynek z zapadniętym dachem.

Miejsce pasowało na scenię morderstwa i Magda poczuła się nieswojo.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

– Chciałem o tym powiedzieć przy lepszej okazji, ale zapytałaś dzisiaj.

Jej niepokój rósł, podpowiadając idiotyczne scenariusze tego, co się wydarzyło, i tego, co może mieć miejsce za chwilę. Bała się odezwać i najbardziej ze wszystkiego pragnęła teraz być w domu.

Artur wysiadł i wyraźnie oczekiwał, że ona zrobi to samo. Magda poczuła drzenie kolan.

– Widzisz, tajemnica, której nie ma, przestaje być tajemnicą. Długo myślałem, jak rozwiązać tę sprawę i to wydało mi się najlepszym wyjściem. – Wskazał ręką na chaszczę

wokół ruiny. – Wiem, że nie wygląda to dobrze. W tej chwili nie stać mnie na nic innego. Mój przyjaciel jest architektem, obiecał pomóc.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że kupiłem ten dom. Wyremontuję go dla nas. Magda, ja nie chcę się dłużej ukrywać. Chcę z tobą żyć. Kiedy zaczęły przychodzić te SMS-y, spanikowałem. Bałem się. Teraz myślę, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć, bo zacząłem myśleć o nas.

Wolałaby, żeby wyznał, że nadawca wiadomości leży zakopany pod trzecią brzozą z prawej strony.

– Mam męża, dzieci, ty jesteś młodszy, to... – ... to szaleństwo! Dokończyła w myślach.

Nie odpowiedział, choć widać było, że brak entuzjazmu z jej strony go uraził. Stał bardzo blisko i zakrył jej oczy swoimi dłońmi.

– Nie myśl o tym, co jest teraz, spróbuj zobaczyć, co będzie za trzydzieści lat.

Chciała zobaczyć siebie w otoczeniu wnuków i Krzysztofa na fotelu prezydenckim, ale zobaczyła ten dom, opleciony dzikim winem. Bardzo ją to zirytowało. Wyrwała się Arturowi i wsiadła do samochodu.

– Jedźmy, bo się spóźnię – zażądała. A po chwili już łagodniej: – Artur, to skomplikowane.

– Wręcz przeciwnie. Nie jesteś szczęśliwa. Gdybyś była, to, co jest między nami, nigdy by się nie wydarzyło. Rozumiem, że potrzebujesz czasu, żeby to przemyśleć.

Tu nie ma o czym myśleć, chciała krzyknąć. To romans, tylko romans... Spojrzała na swoje odbicie w bocznym lusterku. Palant! Najpierw psuje mi fryzurę, potem komplikuje życie.

Spacer po wiosennym parku był nader przyjemny i Ludmiła wracała do domu bardzo zadowolona. Gabrysia cały czas świergotała i młodej matce udało się zapomnieć o nieszczęśliwym, acz zasłużonym końcu Andrzeja Musiała.

Już w przedpokoju dotarły do niej echa gwałtownej kłótni. Rozebrała córkę i pozwoliła jej dołączyć do kuzynów, którzy na dywanie w salonie organizowali pole bitwy. Sama ruszyła schodami na górę, zaintrygowana tym, kto toczy wojnę w realu.

– Nie masz prawa się wtrącać! – To Emilka. – Nie jesteś moją matką.

– Chciałam pomóc, doradzić... – Iza.

– Zachowujesz się, jakbyś na wszystkim się znała, a tymczasem nie masz o niczym pojęcia!

To akurat prawda, Ludmiła w duchu zgodziła się z bratanicą.

– Jestem starsza, mądrzejsza. Mogę ci doradzać.

– Ja też mogę ci doradzić. Na przykład żebyś się nie migdaliła z facetem na ulicy. – Ponownie Emilka.

W tym momencie zdradliwe stare deski skrzypnęły. Ludmiła udawała osobę, która jest tak zajęta wbieganiem po schodach, że świata wokół siebie nie widzi.

– Cześć! – rzuciła lekko, kierując się do swojego pokoju.

– Ciotka Iza się wtrąca! – uprzejmie doniosła Emilka.

– Ciotka Iza tak ma – wyjaśniła Ludmiła.

Iza prychnęła, choć już nie było na kogo, bo zarówno siostra, jak i bratanica

zniknęły za drzwiami swoich pokoi.

Ludmiła wiedziała, że bliźniaczki nie zniechęci klęska poniesiona w boju z Emilką. Będzie szukała okazji do kolejnego starcia. Miała rację. Rozległo się pukanie do drzwi i Iza weszła do pokoju.

– Proszę – powiedziała Ludmiła.

– Co to miało znaczyć?

Ludmiła udawała, że porządkuje zabawki na półce Gabrysi. Nie podniosła wzroku na siostrę.

– „Proszę” znaczy, że możesz wejść. Choć jak zauważyłam, nie potrzebowałaś pozwolenia.

– Co miało znaczyć, że się wtrącam?

– Dokładnie to. Życie każdej osoby, z którą los cię zetknie, stanowi dla ciebie dzieło do poprawki.

– To źle, że troszczę się o swoich bliskich? Ciebie w ogóle nie obchodzi, co to dziecko ze sobą robi. Nie widzisz, jak ona wygląda?

– Dokładnie tak jak jej rówieśnicy. – Ludmiła westchnęła. Odłożyła miśka i spojrzała siostrze w oczy. – Ona jest w trudnym wieku, na dodatek nie ma zbyt wesołej sytuacji, bo ojciec na świeczniku uwiera. Rówieśnicy jej dokuczają. Zapomniałaś, jak to jest?

– Nasz ojciec był dyrektorem szkoły i nikomu to nie przeszkadzało.

– No proszę cię! Nie opowiadaj takich bredni. Nie pamiętasz, jak nikt się do nas nie odzywał, bo ktoś chciał zjarać szkołę, a ojciec w odwecie zabronił jakichkolwiek imprez?

Policzki Izy pokryły się pąsem.

– To nie była próba podpalenia, tylko performance ze zniczami, który miał pokazać komercjalizację święta zmarłych. Wszystko poszłoby doskonale, gdyby jakiś idiota nie rozciągnął na korytarzu siatki z papierami.

– To nie były papiery, tylko flagi! Zbliżał się jedenasty listopada, zrobiliśmy dekorację upamiętniającą pola bitew w walce o niepodległość. Miesiące wycinania, a ty to zjarałaś, bo ci się zachciało znicze zapalać w szkole! I jeszcze się nie przyznałaś!

– Bo to nie była moja wina! Gdyby nie ta siatka...

– Iza, wytłumacz mi, jak to jest, że cokolwiek zrobisz, zawsze znajdziesz dla siebie usprawiedliwienie. Zawsze ktoś inny zawinił. Albo nie! Nie tłumacz. Nic nie mów! Wyjdź po prostu, bo patrzeć na ciebie nie mogę.

Drzwi za Izą zamknęły się cicho. Ludmiła przez chwilę nerwowo przekładała miśki z jednego końca półki na drugi. Wreszcie przerwała i usiadła na oparciu fotelu. Była wściekła na siostrę. Chciała być na nią wściekła, ale w tej chwili oczami wyobraźni zobaczyła ją, jak biegnąc po szkolnym korytarzu ze zniczem w ręku, woła: „Uwolnijmy wszystkich świętych z supermarketów!”. I zaczęła się śmiać.

Kłótnia z bliźniaczką wprowadziła Izę w stan tak okropnego wewnętrznego rozedrgania, że musiała się położyć. Próbowwała uspokoić nerwy serią głębokich wdechów i wydechów. Kiedy to nie pomogło, postanowiła ratować się herbatką z melisy.

Na parterze natknęła się na matkę. Barbara przerwała na chwilę chaotyczne

miotanie się i zapytała z wyrzutem:

– Iza, skarbie, czemu nie szykujesz się na wiec?

– Nie idę, mamu.

Barbara Janicka posłała córce karcące spojrzenie, które natychmiast wywołało wyrzuty sumienia. Iza nie umiała sobie radzić z autorytetem matki i zwykle ulegała. Zazdrościła Ludmile, która tak otwarcie potrafiła się sprzeciwić rodzicielce. Z drugiej strony siostra ponosiła za to karę – nie była pieścioszką mamusi.

– Nie czuję się najlepiej. Tam trzeba będzie długo stać... – rozpaczliwie szukała wymówki. – Tu się bardziej przydam. Pomogę babci przy dzieciach, bo chyba nie ma sensu ciągnąć maluchów?

Prawdę mówiąc, Barbara nie myślała o wnukach. Chciała wesprzeć syna, pokazując gawiedzi, że są silną, kochającą się rodziną. Coś jak w amerykańskim filmie. Kandydat przemawia, a z tyłu jego najbliżsi, trzymając się za ręce, słuchają z wypiekami na twarzach. Dzieci dobrze by pasowały do tego obrazka. Choć może akurat nie te. Ciemnoskóra dziewczynka o orientalnych rysach, dwóch chłopców, którzy na pewno mają ADHD, i na koniec nastolatka, która zawsze wygląda, jakby właśnie było Halloween.

– Masz rację, niech dzieci zostaną w domu. Tylko by się nudziły. Ludmiła i ja będziemy wspierały Krzysztofa.

– I Magda?

– No tak.

Żona też była ważnym elementem obrazka przedstawiającego szczęśliwą rodzinę polityka. I podobnie jak w przypadku dzieci, Barbara chciałaby ją wymienić na jakąś inną.

Rynek miejski całą swoją powierzchnią krzyczał: Hej, ludzie! Czas na festyn! Zewsząd atakowały kramy z fikuśnymi wyrobami z ChRL-u, zapach grillowanej kielbasy wyborczej uderzał w nozdrza, a kapela Kresowiacy udowodniała, że do śpiewania nie trzeba talentu, wystarczy entuzjizm.

Jarka Nowaka mierzyła ta sztampa. Esteta w nim czuł się nią osobiście dotknięty. Gdyby miał wybór, nigdy by nie poszedł na festyn. Niestety – był tu służbowo. Zły jak osa, próbował przechodzić między ludźmi ostrożnie, w miarę możliwości unikając kontaktu cielesnego. Zastanawiał się, czy gdyby teraz poszedł do domu, ktoś zauważyłby jego absencję. Nagle w tłumie mignęła mu znajoma twarz. Zawrócił.

– Bogdan? Co ty tu robisz?

Kowaluk wzruszył ramionami.

– Przyszedłem popatrzeć.

– Nie ma na co.

– Wiesz, ja jestem chłopak ze wsi. Lubię odpusty – wyznał ze śmiechem.

Nowak pomyślał z irytacją, że skoro Bogdan lubi bywać na takich imprezach, to mógł za niego wziąć służbę. Czuł się głęboko rozczarowany partnerem. O ile na początku wszystko w Bogdanie wydawało mu się urocze, tak teraz wszystko go drażniło.

Kowaluk, zupełnie nieświadom emocji kumpla, familiarnie klepnął go po plecach.

– Chodź, postawię ci piwo – zaproponował.

Nowak prychnął.

– Jestem tu na służbie.

– Niejako na służbie. – Bogdan z powrotem naśladował komendanta. – To nie amerykański film. Nikt nie będzie strzelał do kandydatów.

Jeszcze raz klepnął Nowaka po plecach i ruszył w stronę stoiska, gdzie pod wielkim czerwonym parasolem krzepka panna o germańskiej urodzie nalewała do kufli bursztynowy płyn.

– Dwa małe – rzucił Kowaluk i po chwili przepychał się z powrotem w stronę Nowaka. – Chodź, usiądziemy.

Zajęli miejsca przy świeżo opuszczonym plastikowym stoliku. Nowak z niesmakiem odsunął papierową tackę upačkaną tłuszczem i musztardą.

– Stąd wszystko dobrze widać – stwierdził Kowaluk. – Lepsze to niż przepychanie się w tłumie. Handlarze piwem zawsze biorą najlepszą miejscówkę. Nie musisz pić, jeśli to wbrew twoim zasadom – skomentował zabawę Nowaka plastikowym kubeczkim.

– Nie, spoko. – Jarek upił łyk. Piwo było idealne – bardzo zimne i delikatnie gorzkie. Przez chwilę delektowali się nim w milczeniu.

– Rozmawiałem z prokuratorem. W każdej chwili da ci papierek na Janickiego.

– Dzięki. A stary?

– Powiedziałem prokuratorowi, że istnieje cień możliwości, naprawdę cień, że jest emocjonalnie zaangażowany i to może mieć wpływ na jego osąd. To mała miejscowość, znajomości, układy... Czasem to pomaga, a czasem przeszkadza. Zrozumiał.

– A jak jest z tobą?

– Co: ze mną? – nie zrozumiał Kowaluk.

– No jak z twoim osądem? Bo przecież podoba ci się siostra podejrzanego.

Bogdan przez chwilę patrzył na ludzi kręcących się po rynku.

– To coś zupełnie innego.

– Czyżby? – Jarek roześmiał się gorzko. Wiele prawdy było w słowach o źdźble trawy i belce w oku. Dlaczego Kowaluk, taki inteligentny i błyskotliwy chłopak, nie potrafi dostrzec błędów w swoim rozumowaniu?

– Słuchaj, Bogdan, musisz się zastanowić, czy w twoim myśleniu o tej sprawie nie ma... – zaczął Nowak, ale urwał, gdy zdał sobie sprawę, że Kowaluk go ignoruje, bo odwrócił się i błędził wzrokiem po ludziach, w końcu się zerwał, rzucił: „czekaj” i zniknął w tłumie.

Ludmiła nie była w najlepszym humorze. Powoli zbliżała się do stanu, w którym ulgę przyniosłoby jej kopanie nieznanym mężczyznom w słabiznę. Najśmieszniejsze było to, że za kondycję jej ducha odpowiedzialność ponosiły kobiety. Matka i siostra konkretnie. Zaczęło się od tego, że Iza wykreśliła się z udziału w festynie, symulując ból głowy, cwaniara. Przez to cała uwaga matki skoncentrowała się na drugiej córce. A właściwie na jej stroju. Najpierw wygłosiła mowę na temat dzinsów. Nie wystarczyło powiedzieć, że nie pasują, trzeba było wrócić do genezy i pół godziny opowiadać o brudnych kowbojach. Ludmiła się zdenerwowała. Zaczęła się regularna walka. Kiedy matka powiedziała, że sukienka jest zbyt wyzywająca, córka zaproponowała mini. „Będziesz wyglądała jak dziwka” – usłyszała. No więc znalazła naprawdę krótką mini. Matka była zła, Ludmiła wściekła, a Iza, wtrącając się, dolewała oliwy do ognia.



Janickie wyszły z domu spóźnione i obrażone na siebie. Oczywiście, gdyby ktoś zapytał Ludmiłę, co sądzi o swoim stroju, stwierdziłaby, że jest bardzo dziwkarski, zwłaszcza te czerwone pantofle ze sprzączkami. Tu jednak nie chodziło o prawdę, tylko rodzinne relacje, które były w miarę dobre, dopóki nie zjawiała się Iza.

To imię wypowiedziane tuż obok było jak przyłożenie zapalniczki do lontu i Ludmiła eksplodowała.

– Żadna, kurwa, Iza! – krzyknęła, odwracając się gwałtownie. – Czy tak trudno się nauczyć... – urwała. Przed nią stał facet, z którym była w kawiarni. Nazwała go w myślach niezłym ciachem i żałowała, że nie wzięła jego numeru. No proszę, wystarczyło zapytać kochaną siostrzyczkę.

– Przepraszam – bąknęła.

Facet szczerzył się w taki miły, ujmujący sposób.

– Też zdarza mi się mieć gorsze dni – powiedział. Zważywszy na to, gdzie wlepione było jego spojrzenie, wyznanie to przeznaczone było dla piersi Ludmiły. Gdyby one mogły mówić, zapewniłyby tego słodkiego chłopaczka, że z nimi żaden mężczyzna nie ma gorszych dni. Ale zarówno one, jak ich właścicielka milczały.

– Siedzimy sobie z kolegą tu w ogródku piwnym. Dołączy pani do nas?

Ludmiła pomyślała, że to żenujące, jednak z promiennym uśmiechem się zgodziła. Było w tym facecie coś, co ją pociągało.

Chwilę później żałowała swojej decyzji. Rozpoznała kolegę. To był starszy aspirant Jarosław Nowak. Grała przed nim dotkniętą amnezją Izę, która przypadkowo natknęła się na zwłoki. Z żalem pomyślała, jak to na tym świecie jest niesprawiedliwie, że blisko fajnego faceta zawsze znajdzie się taki beznadziejny.

– Popatrz, kogo wypatrzyłem – Kowaluk zwrócił się do Nowaka, który uśmiechnął się kwaśno, jakby znalazł partnera wcale go nie ucieszyło.

Ludmiła przywitała się grzecznie i usiadłszy na plastikowym krzeselku, wyeksponowała swoje wdzięki.

– Czego się pani napije? – zapytał, jakby miał nieograniczone możliwości w dostarczaniu trunku.

– Małe piwo będzie okej.

Zerwał się natychmiast. Ludmiła i starszy aspirant Nowak zostali sami.

– Jak postępy w śledztwie? – zapytała, by przerwać niezręczną ciszę.

– Nie sądzi chyba pani, że podzielę się z nią poufnymi informacjami?

– Zapytałam, bo chciałam być miła.

– Wolałbym, żeby zamiast miła, była pani niewinna.

– Wydaje mi się, że winę trzeba udowodnić.

– Słusznie. Wydaje się pani. – W głosie policjanta brzmiał cynizm. Ludmiła pomyślała, że tego typu nie sposób lubić.

– Długo się znacie? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Odkąd aspirant Bogdan Kowaluk zaczął u nas pracować. Nie minął jeszcze miesiąc.

Ludmiła w końcu załapała. Cholera, nie powinna była zacieśniać tej znajomości, tylko, zgodnie z doświadczeniem, uciekać jak najdalej i jak najszybciej. Wieloletnia

praktyka nauczyła ją, że jeśli facet jest miły, przystojny i na nią leci, to będą z tego kłopoty.

Już miała wymyślić jakąś wymówkę i się zmyć, kiedy pojawił się Kowaluk i jej piwo.

Dobra, wypiję i spadam, obiecała sobie. Nie ma co niepotrzebnie wzbudzać ich podejrzeń. Łyknęła piwa. Dawno nie piła. Alkohol przypomniawszy jej, jakim jest dobrym przyjacielem i jak się kiedyś lubili. Westchnęła zadowolona.

Kropla z oszronionej szklanki spadła na jej dekolt i zgodnie z teorią pana Newtona popłynęła w dół. Ludmiła zorientowała się, że Kowaluk z zainteresowaniem śledzi wędrówkę strużki, a Nowak nawet nie zwrócił na nią uwagi. To ją zaintrygowało, ale tylko na chwilę, bo zaraz wróciła do obserwowania Kowaluka, który ślinił się do niej jak pies Pluto na widok kości.

Ludmiła zatęskniła za dawną sobą. Za tą dziewczyną, która wykorzystałaby taką sytuację. Poflirtowaliby, pożartowali, może poszliby do łóżka, a może nie, to bez znaczenia. Ważne, że obydwójce przyjemnie spędzaliby czas. Życie, które teraz prowadziła, było jak garsonka, w której chodziła do pracy – niewygodne i sztapowe. Dawna Ludmiła grała według własnych zasad i nie dawała sobie narzucać niczyjej woli. Tylko że kilka lat temu wszystko się posypało. Najpierw śmierć ojca, potem narodziny dziecka, na koniec konflikt z Musiałem, który czerpał dziwną satysfakcję z trzymania Ludmiły na smyczy z szantażu i grózb. Ktoś, kto go załatwił, wyświadczył jej wielką przysługę. Pośle mu do więzienia kwiaty, pomyślała. Nagle ta myśl wydała jej się absurdalna i szczerze się roześmiała.

Kowaluk, który zapewne uznał, że dziewczyna śmieje się z jego obserwacji hydrologicznych, też się roześmiał.

„Chichoczą jak norki” – zirytował się Nowak i rzucił obojętne spojrzenie, które przypadkowo złowiła Ludmiła. Szybko dopiła piwo, powiedziała coś o wspieraniu brata i uciekła, zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył zareagować.

– Szkoda, że poszła. – Bogdan zrobił rozczarowaną minę. – Miałem nadzieję, że zaproszę ją na tańce.

To by był istny *danse macabre*, pomyślał Nowak.

Rynek był ozdobą miasta. Ogromny plac otaczały renesansowe kamieniczki. Wszystkie były odnowione, a właściciele prześcigali się w dekorowaniu ich kwiatami. Teraz było jeszcze zbyt wcześnie na doniczki pelargonii czy delikatnych petunii, jednak stojące przed budynkami donice z tujami też miały swój urok. Centralne miejsce zajmował renesansowy ratusz. Kiedyś naprzeciwko niego stały pawilon i hala targowa, która spłonęła przed stu laty. Podobno jeden z kupców uwiódł żonę komendanta straży pożarnej i dlatego, gdy wybuchł pożar, pomoc nie dotarła na czas. Został tylko fragment muru, który stał się częścią modernistycznej fontanny. Otoczona zielenią, stanowiła przyjemne miejsce odpoczynku dla spacerujących po rynku przechodniów. Dlatego projekt odbudowy hali budził kontrowersje.

W tej chwili rynek wypchany był ludźmi, jak sakiewka niegdysiejszego radcy dukatami, bo każdy chciał tu dziś być. I wcale nie po to, by słuchać polityków. Chodziło o piwo z beczki, kiełbasę z rożna, watę cukrową i popcorn. Ludzie chcieli patrzeć na

stragany i gibać się przy muzyce znanego zespołu disco polo.

Ludmiła przepychała się przez tłum rodziców z dziećmi niosącymi baloniki i robiła sobie w duchu wymówki. Oszukiwanie wymiaru sprawiedliwości to jedno, a wchodzenie z nim w damsko-męską relację, to drugie. Jak Iza mogła być tak głupia i nie powiedzieć, że tych policjantów były dwie sztuki?

Zajęta myślami nie rozglądała się i pewnie dlatego wpadła na jakiegoś mało rozgarniętego chłopaka, który nawijał przez komórkę.

– Przepraszam – powiedział. Ludmiła już miała burkliwie poinformować, gdzie ma jego przeprosiny, ale nauczona wcześniejszymi doświadczeniami postanowiła najpierw sprawdzić, z kim ma do czynienia. Spojrzała na chłopaka. Obszerna bluza, dżinsy. Skądś go znała.

– Cześć, nic się nie stało – rzuciła lekko i już miała iść dalej, gdy do jej uszu doleciał strzęp tego, co mówił chłopak. Jakby zapity albo może zabity. Dziwny akcent zniekształcał słowa. Zaintrygowana ruszyła za nim.

Nie była to daleka wycieczka. Chłopak przepchnął się przez rynek, wszedł w boczną uliczkę, a po jakichś trzystu metrach wszedł do samochodu. Ludmiła znała to BMW, utkwiała jej w pamięci charakterystyczna linia nadwozia. To obok niego zaparkowała w dniu morderstwa Musiała. W przeblysku geniuszu, który ją samą zaskoczył, zdała sobie sprawę, gdzie widziała chłopaka. To oczywiście mógł być przypadek. Gdyby jednak okazało się, że wpadła na jakiś trop, mogłaby o tym powiedzieć policji. Sprawa by się zakończyła, a ona, Ludmiła, byłaby poza podejrzeniami.

– Pogoń! – prawie krzyknęła do siebie.

Przepchała się do swojej mazdy, zaparkowanej w zupełnie innej uliczce. Oczywiście praktycznie zastawionej. Ponieważ fizycznie niemożliwe było wyjechać, nie czyniąc strat w sprzęcie, dziewczyna uznała, że nie będzie sobie zawracać głowy stratami materialnymi.

– Jak się tak parkuje, to trzeba się liczyć z odrobiną odrapanego lakieru – mruknęła do siebie i przekręciła kluczyk. Gdyby ją ktoś potem zapytał, mogłaby przysiąc, że naprawdę się starała. I prawie jej się udało. W ostatniej chwili cofnęła ciut za daleko i skrzywiła się, jakby odgłos pękającego plastiku sprawił jej fizyczny ból. Ułamek sekundy później już o tym nie myślała. Rozważała, co zrobić, by dogonić tamten samochód. Wiedziała, że jedynym sposobem, by opuścić tak zapchane centrum, jest dopchanie się do ulicy Grodzkiej, która przechodząc w 3 Maja, prowadziła do obwodnicy. Ruszyła w tym kierunku. To był dobry pomysł. Znalazła się na tej ulicy tuż za BMW.

Jechała za nim w bezpiecznej odległości swoją mazdą, zastanawiając się, czemu wybrała kolor, który świetnie sprawdziłby się w straży pożarnej. Starła się, by od beemki oddzielał ją przynajmniej jeden pojazd. Muszę sprawiać wrażenie kogoś, kto wie, dokąd zmierza, powtarzała sobie.

Tymczasem czarne auto wyjechało z centrum i skierowało się ku peryferiom, gdzie zaparkowało przed dużą, paskudną willą z lat osiemdziesiątych. Ludmiła zatrzymała się kawałek dalej. Oczywiście na zakazie. Świat zdecydowanie był przeciwko niej. Miała tylko nadzieję, że wszyscy policjanci są dziś na rynku.

Chłopak wysiadł z samochodu, uruchomił alarm, co zasygnalizował bajerancki

dźwięk, i wszedł do willi. Ludmiła patrzyła za nim podekscytowana sytuacją. Kiedy zadzwonił jej telefon, aż podskoczyła ze strachu, a jej serce zaczęło walić jak oszalałe.

Na wyświetlaczu zamrugła słodka twarz Arielki, informując, że dzwoni mama.

Ludmiła niechętnie podniosła telefon do ucha, zastanawiając się przy tym, co z nią jest, że tak bardzo nie cierpi księżniczek Disneya. Jestem na bakier z każdym wzorcem prawdziwej kobiecości, pomyślała.

– Tak, mammo?

– Gdzie jesteś, kochanie?

– Jak to gdzie? – odpowiedziała pytaniem, by dać sobie trochę czasu na wymyślenie odpowiedzi. Bo czy można to sensownie wytłumaczyć?

– Krzysztof zaraz będzie przemawiał, a ja ciebie nie widzę.

Wymówka, wymówka, wymówka – mantrowała gorączkowo.

– Stoję w tłumie, mammo. Wiesz, w tym stroju chyba lepiej nie pchać się do przodu. Widzę cię, macham! – Odruchowo podniosła rękę i zamachała, potem uderzyła się w czoło.

– A tak, widzę. Mówiłam, że trzeba było inaczej się ubrać.

– Powinnam była posłuchać. I wiesz, nie wypada chyba w takiej chwili rozmawiać przez telefon.

Zamiast odpowiedzieć, matka się rozłączyła.

– Obowiązki wzywają – powiedziała Ludmiła do swojego odbicia w lusterku. – Ale jeszcze tu wrócę.

Zapisała adres w notesie i ruszyła w drogę powrotną.

Barbara poczuła łzy w oczach. Od lat nie była tak wzruszona. Klaskała z werwą i z dumą patrzyła na swojego syna. Krzysztof skończył wygłaszać przemówienie. Mówił o dziadku architekcie, który przez lata pracował w wydziale urbanistycznym urzędu miasta. Mówił też o ojcu kształcącym kolejne pokolenia mieszkańców. O ich rodzinnej miłości do miasta, o ich wspólnej wizji przyszłości. O tym, dlaczego, w przeciwieństwie do swoich kolegów nie wyjechał, dlaczego czuje się związany z tym miejscem. Roztoczył wspaniałą wizję przyszłości. Mówił też o sprawach przykrych. O bezrobociu, ucieczce młodych. Na koniec o śmierci przyjaciela, który niczym sobie nie zasłużył na taki los.

Teraz na mównicę wstąpił obecny burmistrz i Barbara z satysfakcją zauważyła, że nie jest tak wyśmienitym oratorem jak jej syn. Przerywał i raz po raz spoglądał na kartkę. Odwróciła głowę, bo chciała się podzielić swoją uwagą na temat burmistrza ze stojącą obok synową. Już miała otworzyć usta, gdy coś ją powstrzymało. Coś w oczach tamtej. Barbara podążyła za jej wzrokiem. Patrzyła na Artura, on patrzył na Madzię, a powietrze między nimi wypełnione było iskrami.

O ludzie! Oni mają romans! – wykrzyknęła w duchu Barbara. Poczowała wściekłość na synową, która zlekceważyła przysięgę małżeńską. Oszukała męża, dzieci, ją. Naraziła na szwank dobre imię rodziny. „Muszę porozmawiać z Krzysiem”, pomyślała.

I nagle sumienie przypomniało jej o własnej winie sprzed trzydziestu lat.

W zasadzie to nie moja sprawa, pomyślała.

Iza została w domu, bo chciała spędzić przyjemne, spokojne popołudnie. Pomyślała, że dzieci będą się bawić, dziadkowie drzemać, a ona poczyta albo obejrzy

jakiś ambitny film. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej.

Dzieci, można powiedzieć, że się bawiły. Głównie telewizorem. Grały w jakiś koszmar, którego składowe stanowiły strzały z pistoletu i rozbryzgi krwi. Obok siedział dziadek, pokrzykując „Pogłościjcie, pogłościjcie” oraz „Strzelaj, ożeż ty, do tego zombiaka!”. Babcia, która akurat nie próbowała porozumieć się z dziadkiem w sprawie jego tabletek, krzyczała coś do Izabeli. Ta kiwnęła głową, na czuja, bo przez huk telewizora nic nie słyszała. To był błąd, bo babcia się obraziła i wyszła. Dziewczyna uznała, że też wyjdzie. W kuchni było trochę ciszej. Siedziała tam Emilka i szarzała od wpatrywania w ekran laptopa.

– Hej, co robisz? – zapytała Iza. Przedpołudnie niczego jej nie nauczyło. Nie pojęła mądrości, która mówi, że z nastolatkami nie powinno się prowadzić rozmów.

– Obczajam słitaśne focie na fejsie.

Iza kiwnęła głową ze zrozumieniem, ale tylko „na” wydawało się brzmieć znajomo.

– To fajnie.

Emilka wyduła wargi i wzgardliwie wypuściła z siebie powietrze.

– Żalowo.

– To dlaczego to robisz? – brnęła Iza, choć już dawno powinna była wstać i wyjść.

– Muszę milkować karmę, żeby mieć rispekt na dzielni.

Iza uznała, że wykaże zainteresowanie. Tym dzieckiem nikt się nie interesował, dlatego takie jest. Odrobina uwagi i od razu się otworzy.

– To jest fajne. To twoja koleżanka? – Wskazała na dziewczynkę w stroju żalobnym.

Emilka popatrzyła na Izę jak na ufoludka.

– Nie mam koleżanek. Ta laska chodzi ze mną do oświaty.

– Sympatycznie wygląda.

– Nie wiem, nie gadam z nią.

– Oglądasz jej zdjęcia, myślałam, że się lubicie.

Emilka popatrzyła z pewną troską na ciotkę, która była tak głupia, że nie potrafiła zrozumieć prawideł rządzących tym światem.

– Na fejsie się lubimy. W realu ze sobą nie gadamy. Życiowa.

– Dlaczego nie rozmawiacie?

Dziewczyna widocznie uznała, że szkoda jej cennego czasu na przypadki beznadziejne, bo zgarnęła sprzęt i bez słowa wyszła.

Jak Magda może je tak wychowywać? Pozwala im grać, choć wiadomo, że od tego mózg się zmienia w papkę. Cukru jedzą tyle, że dziwi ciągła obecność zębów w ich dziąsłach. Nie ma z nimi żadnego kontaktu. Po co rodzic ich aż tyle, skoro potem się je olewa?

Wiedziona dziwnym opiekuńczym instynktem, postanowiła zrobić coś dobrego dla tych sierotek i zaczęła obierać marchewki. W tej chwili do kuchni weszła babcia.

– Zupkę zamierzasz gotować? – zainteresowała się. Iza wyjaśniła, co robi. – Czyś ty oszalała, dziewczyno? A co to, żelków już nie ma?

Nasypała gumiatej trutki do miski i poszła mordować przyszłe pokolenie. Iza pomyślała, że jej świat i ten tutaj są zupełnie niekompatybilne.

Z zamyślenia wyrwał ją telefon. Odebrała, nie sprawdzając, kto dzwoni.

– Tak nagle mnie pani zostawiła...

Zostawiłam? Ach, więc natknął się na Ludmiłę. Co za pech!

– Rozglądałem się, ale jest tu tyle ludzi, że nie sposób nikogo znaleźć. Potem sobie przypomniałem, że mam do pani telefon, bo jest pani świadkiem. – Był tak czarująco zawstydzony. – Może zechciałaby pani... no, będą tańce i fajerwerki...

Iza przez chwilę rozważała, co powinna zrobić.

– Za piętnaście minut przy księgarni na rynku, dobrze? – powiedziała w końcu.

Wydawał się zachwycony. Rozłączyła się i chwilę później zadzwoniła do Ludmiły.

– Pod księgarnią, za kwadrans, masz spotkanie z Bogdanem, tym policjantem. Myśli, że ty to ja, więc uważaj, co mu mówisz – przestrzegła na wszelki wypadek.

Odłożyła telefon i przez chwilę zastanawiała się, czy to, co czuje, to nie jest przypadkiem zazdrość.

*Siedem dni temu*

Ludmiła obudziła się z niesmakiem w ustach i duszy. Usiadła na łóżku. Odsunęła nie pierwszej czystości pościel, która napełniała pomieszczenie ciężką wonią. Do pokoju wpadało sporo światła z ulicznej latarni. Rozejrzała się uważnie. Nad ogromnym nieładem królował pięćdziesięciocalowy telewizor, w kącie stało pudełko z płytami, z szafy wystawał rąbek bluzy, a wszystko pokrywała szara warstwa kurzu. Typowy kawalerski bajzel normalnego faceta.

Popatrzyła na Bogdana. Spał twardo i spokojnie. Też mogłaby tak spać, gdyby pod jej poduszką leżał pistolet. Uśmiechnęła się do niego. Był taki ładny. Przystojny, w ten ujmujący, chłopięcy sposób. Jednak jego uroda nie usprawiedliwiała jej zachowania. Głupotą było spotkanie, jeszcze większą tańczenie i całowanie, ale to, że zaproponowała pójście do łóżka, było szczytem durnotalizmu.

Uśmiechnął się przez sen.

– Mnie też było cudownie – szepnęła do niego. Z przyjemnością wspomniała, co działo się między nimi. To było coś magicznego, ich ciała się znały i odnalazłszy w tej brudnej sypialni, odtńczyły własny taniec. Nie musiała nic mówić, Bogdan czytał w jej myślach. Raz już przeżyła coś takiego: w tamtą cudowną noc na egipskiej plaży, z mężczyzną, którego nawet nie zapytała o imię. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś ją to spotka.

– Jak połówki jabłka... Ale to było głupie i dlatego muszę już iść.

Spojrzała na zegarek. Ledwo minęła trzecia.

Kiedy była małą dziewczynką, chodziła do trzeciej, może do czwartej klasy, postanowiła, że założy klub. Wiele jej koleżanek tak robiło. Tylko że klub Ludmiły miał być wyjątkowy. Nie chodziło o głupoty związane z muzyką czy modelkami. Ona chciała założyć poważny klub Młodych Łapaczy Przestępców. Cóż, zbyt wiele Nienackiego i Bahdaja w domowej biblioteczce. Powiedziała o swoim pomysle Izie i to był główny powód tego, że klub nigdy nie powstał. Jeszcze długo później, gdy Iza chciała dokuczyć siostrze, przypominała jej o tym pomysle. A mogło być tak pięknie. Ludmiła mogła coś odkryć, zdobyć uznanie ludzi i może nawet jakieś odznaczenie. Uśmiechnęła się do tego

wspomnienia i ręką posłała śpiącemu całusa.

– Mam jeszcze coś do załatwienia.

Wątpliwe, żeby w willi na peryferiach coś się działo, jednak ciekawość ją tam ciągnęła. I jeszcze pragnienie zrealizowania dziecięcego marzenia o pomocy policji. Zresztą to było prawie po drodze do domu.

Była jakieś sto metrów od budynku, kiedy z bramy wyjechało znajome BMW. Przyhamowała, a potem wiedziona dociekliwością, ruszyła za samochodem. Wyjechali za miasto. Od czasu do czasu pojawiał się na drodze jakiś inny pojazd, wtedy się za nim chowała i miała nadzieję, że kierowca beemki nie zauważy, że jest śledzony.

Śledzony?! Zdziwiło ją to słowo. Roześmiała się. To było tak, jakby bawiła się w detektywa. Widziała chłopaka pod urzędem. Mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Musiała i należało się dowiedzieć co.

Chwilę później okazało się, że niczego się nie dowie, bo auto skręciło na drogę prowadzącą do cegielni. Nie mogła za nim pojechać. Zaparkowała kilka metrów za zjazdem. Przedzierała się przez krzaki, choć serce usilnie się starało wyjść na zewnątrz przez gardło. Gdyby się na kogoś natknęła, powie, że zablądziła, zapyta o drogę na Zgorzelec albo, wiarygodniej, będzie udawać prostytutkę.

Po placu przed budynkiem kręciło się kilku ludzi, coś do siebie pokrzykiwali. Uwagę Ludmiły przykuł jeden z nich. Wysoki, masywny, chodząca góra. Zza paska spodni wystawała mu rękojeść pistoletu. Był tam też chłopak z bramy i mężczyzna w eleganckim garniturze. Na plac wjechała ciężarówka i Pan Góra oraz ten młody zaczęli nosić do niej pudła.

Cegły to raczej nie są, pomyślała Ludmiła, i ruszyła z powrotem do swojego samochodu. Powie Izie, żeby zadzwoniła do Bogdana i przekazała mu... Zaraz, przecież sama może do niego zadzwonić, bo on jest przekonany, że Ludmiła to Iza.

Próbowała sobie jakoś to wszystko poskładać i wtedy, jak na nieszczęście, jej myśli skierowały się ku willi. Być może puste willi.

– No bo skoro oni są tu, to może tam nikogo nie ma? Rzucę okiem.

Dom rzeczywiście wyglądał na pusty. Podobnie zresztą jak sąsiednie. W końcu trudno, żeby tętniły życiem o czwartej nad ranem w niedzielę. W tej chwili ciekawość Ludmiły okazała się silniejsza niż jej zdrowy rozsądek.

O włamywaniu się do cudzych domów miała zerowe pojęcie, dlatego niewiele brakowało, a skończyłoby się tylko na obejściu ogrodzenia willi i pozagłądaniu w ciemne okna. Pech jednak chciał, że mechanizm zamykający bramę nie zadziałał jak trzeba. Szpara, która powstała, nie była zbyt szeroka, na szczęście Ludmiła też nie. Piersi trochę przeszkadzały, ale wstrzymała oddech i przelazła.

Drzwi były zamknięte. Garaż również. Obeszła dom i ku swojemu zdziwieniu zauważyła uchylone okno na parterze. Była pewna, że to jedno z tych uchylonych z mechanizmem blokującym, ale kiedy lekko je pchnęła, otworzyło się do środka na całą szerokość. Zdjęła szpilki i szereg zadrapań oraz złamany paznokieć później siedziała na parapecie.

W pokoju było ciemno. W ciszy rozlegał się jakiś dziwny dźwięk i chwilę trwało, zanim Ludmiła uświadomiła sobie, że to jej oszalałe z emocji serce tak bije. Miejsce,

w którym się znalazła, było sypialnią. Nawet w półmroku dało się zauważyć, że wystrój nawiązywał do tradycji kina lat osiemdziesiątych. To wystarczyło, by wysnuć wniosek, że właścicielem domu jest mężczyzna. Kobieta nigdy nie poszłaby spać w takim miejscu.

Najciszej jak potrafiła, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Wiedzioną intuicją przeszła przez salon z telewizorem na pół ściany i w końcu znalazła gabinet. Królowało w nim wielkie biurko, zaścielone papierami. Nawet gdyby wiedziała, czego szukać, trudno by było jej to znaleźć. Wysunęła szufladę. Na samym wierzchu leżała koperta z plikiem zdjęć i pendrive. Ludmiła rzuciła okiem na zdjęcia i gwizdnęła przez zęby. Już miała je odłożyć, gdy w impulsywnym odruchu zgarnęła zarówno kopertę, jak i pendrive.

Rzuciła się do panicznej ucieczki, choć nikt jej nie gonił.

Dopiero w domu, kiedy już leżała w swoim łóżku, i powoli się uspokajała, przyszło jej do głowy, że zrobiła coś bardzo głupiego. Coś, co może się źle skończyć.

Bogdan poczuł ukłucie żalu, kiedy się zorientował, że dziewczyna nie została na śniadaniu. I nie chodziło tylko o seks. Fajnie byłoby pobyć razem, pogadać. Była zabawna i bezpośrednia. „Nie kombinuj, jak mnie zaciągnąć do łóżka. Po prostu zapytaj, czy mam na to ochotę”. Zapytał. Nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżył, a przecież parę dziewczyn w życiu zaliczył. Zaliczył. To słowo nie spodobało mu się w odniesieniu do panny Janickiej. Była taka... Niesamowita. Wysyłała sprzeczne sygnały. Raz grała niedostępną, by za chwilę zadziwić swoją niezależnością. W łóżku brała to, na co miała ochotę, obdarzała zaś hojnie. A jednak wymknęła się nad ranem, zawstydzona tym, co wydarzyło się w nocy. Przekręcił się w pościeli i wtulił twarz w poduszkę, na której spała. Wyczuł bardzo delikatny kokosowy zapach szamponu do włosów.

W tym momencie zadzwonił telefon i Bogdan miał nadzieję, że myślami przywołał dziewczynę. Niestety, to był Jarek.

– Masz jakieś plany? – zapytał.

– Wybieram się do kościoła – zgryźliwie odpowiedział.

– Świetnie, ja już jestem. Jak przyjdiesz, pomodlimy się razem.

Świetnie! Bogdan zaklął w duchu. Miał nadzieję posiedzieć w domu, może jakiś film obejrzeć, zanim zebrałby się na odwagę, by do niej zadzwonić. A tak, przyjdzie mu spędzić dzień na komendzie. Czy Jarek w ogóle sypia?

Umcy, umcy, umcy – waliło w głowie Jarka Nowaka nawet wtedy, kiedy ostatni uczestnicy festynu już smacznie spali. Wziął długi prysznic, żeby zmyć ze skóry wstrętny zapach grillowanej kiełbasy. Położył się do łóżka z nudną książką w nadziei, że ta go uśpi. Niestety, łomotanie we łbie nie ustawało. Zirytowany wstał, wziął prysznic, ubrał się i zrobił sobie kawę. Pijąc, patrzył przez okno na jesionkowe babuleńki, które dreptały do kościoła na pierwszą mszę.

Umył kubek, odstawił go na ociekacz, włożył ulubioną bluzę, narzucił na plecy kurtkę, wyszedł. Chciał się po prostu przespacerować. Nogi same zaprowadziły go pod komendę.

Pełniący obowiązki dyżurnego Suwała spojrział na Nowaka zdziwiony, kiedy ten poinformował:

– Wezmę akta sprawy Musiała.

– Jak sobie chcesz.



Nowak widział, jak tamten patrzy na zegarek. I czytał w jego myślach: „Już niedługo zdam służbę i będę mógł iść do domu. A tego idioty trochę szkoda. Z drugiej strony trudno się dziwić, nie ma chłop co robić, bo nie ma rodziny”.

„Co ty tam wiesz...” i Nowak zabrał akta. Rozłożył je na swoim biurku i czytał każdą, najdrobniejszą nawet notatkę służbową. Przyglądał się każdej informacji. W pewnym momencie wydawało mu się, że już złapał nitkę. Niestety, myśl mu umknęła. Zdesperowany zadzwonił do Kowaluka.

– Potrzebuję świeżego spojrzenia – powiedział, kiedy partner stanął w drzwiach.

– Raczej świeżego powietrza. Wyglądasz jak zombi. Spałeś trochę?

Jarek pokręcił głową. Burknął, że nie mógł zasnąć.

– Strzeliłeś sobie ze dwie setki – z serca poradził Bogdan. – No dobra, to zobaczymy, co mamy, bo nie będę tu siedział cały dzień.

– Mamy trupa – Jarek podsunął zdjęcie. – Andrzej Musiał, lat pięćdziesiąt osiem. Samotny, rozwiedziony. Próbuje dotrzeć do byłej żony, ale zważywszy na fakt, że odeszła od niego dwadzieścia lat temu, raczej nie wniesie nic ciekawego do sprawy.

– Przyszły wyniki sekcji?

– Spodziewam się ich na wtorek, środę. Na razie mamy czas zgonu, trzynasty kwietnia między szesnastą a siedemnastą. Zarobił dwie kule z bliskiej odległości, jedna w klatkę piersiową, druga w prawy bark. Broń dziewięć milimetrów. Technicy wydlubali trzeci pocisk ze ściany.

– Kogoś poniosło – stwierdził Bogdan.

– Myślisz?

– Stoisz naprzeciwko dużego faceta, oddajesz trzy strzały i ani razu nie trafiasz dziesiątki? To znaczy, że albo jesteś wściekły, albo niewidomy.

Albo jesteś kobietą, pomyślał Nowak i wyobraził sobie trzęsące się ręce, złość, krzyk i strzały oddawane bez wprawy. Nie podzielił się tą wizją z Bogdanem.

– Tak czy owak, ten, co to zrobił, coś planował i był związany z urzędem.

– Chodzi ci o monitoring?

– Właśnie. Nikt mnie nie przekona, że to był przypadek. Ktoś wyłączył nagrywanie. Ktoś, kto wiedział, że w budynku są kamery. To zawęży krąg podejrzanych do osób pracujących w urzędzie.

– To zawęży krąg podejrzanych do osób, które wiedziały o monitoringu, i miały pojęcie, jak go wyłączyć.

– W dalszym ciągu jest ich sporo.

– Zdjęcia sugerują, że niektórzy mogli mieć motyw.

– Nasz ulubiony kandydat? – Usta Nowaka wykrzywił lisi uśmiech. – Boję się, że ciągle do niego wracając, tracimy z oczu coś ważnego.

– A mi się wydaje, że wracamy do niego, bo tam prowadzą wszystkie ścieżki. – Kowaluk podniósł się z krzesła. – Idę zapalić.

Nowak ruszył za nim. Stanęli przed budynkiem, celebrując nałóg.

– Wróćmy... – zaczął Bogdan, powoli wypuszczając szary papierosowy dym – ...wróćmy do zdjęć.

– Janicki się nie przyznał, ale też nie zaprzeczył.

– Trzeba pójść tym tropem.

– Zleciłem to Suwale. Może być trudno, bo odbitki nie były robione tu, tylko zamawiane w internecie.

– Rewizja u Musiała już była?

– Biurokracja wydała pozwolenie, ale technicy mogą dopiero jutro.

Bogdan wyobraził sobie, jak technicy wrzucają do torebek na dowody brudne gacie denata i się roześmiał. Jarek popatrzył na niego zaciekawiony.

– Mój mózg czuje weekend – wyjaśnił Bogdan. – Chodź, pójdziemy gdzieś na piwo – rzucił trochę wbrew sobie, bo miał świadomość, że jeśli kolega się zgodzi, utknie z nim na resztę dnia i nici ze spotkania z Izą.

– Może masz rację...

– Jesteś jak pies, co próbuje złapać swój ogon. Na dodatek bardzo śpiący pies.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy poszli do mnie?

Uporządkowali papiery i wyszli. Po drodze zrobili zakupy. Jarek ugotował najlepszy makaron, jaki Bogdanowi zdarzyło się jeść. Pili piwo i oglądali powtórkę głupiego filmu sensacyjnego, który nagle wydał im się bardzo śmieszny.

Nowak nawet nie zdążył się upić. Alkohol go rozluźnił, więc szybko wpadł w objęcia snu, szybciej, niżby sobie tego życzył.

Bogdan ułożył go na kanapie i przykrył kocem. Wyłączył telewizor, sprzątnął talerze. Myślał o Jarku. Nowak strzegł swojego życia prywatnego. Na ogół małowówny, o sobie nie opowiadał wcale, a pytania o życie osobiste ignorował. Co sprawiło, że pozwolił Bogdanowi podejść do siebie tak blisko? Pewnie stres związany z pracą. No cóż, Jarek śpi, nie ma co tu robić, czas się zbierać.

Na moment zatrzymał wzrok na zdjęciu, które stało na komodzie. Przedstawiało młodego mężczyznę o ciemnych oczach, który szedł brzegiem morza, w rękę niósł espadryle, a wiatr szarpał jego błękitną bluzę i rozwiewał włosy. Fotografowi udało się uwiecznić spojrzenie pełne niezmiernie tęsknoty i Bogdan poczuł ukłucie smutku. Przestraszył się, że jego życie też będzie puste. Spojrzał na zegarek. Było już za późno, żeby dzwonić do Izy.

Barbara nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok w szerokim małżeńskim łóżku. Zbyt dużym dla jednej osoby. Od dawna nosiła się z zamiarem zastąpienia go nowym, mniejszym i wygodniejszym, ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Spała w tym łóżku od nocy poślubnej. Tyle lat, tyle wspomnień. Tu poczęli Krzysia, tu umierał Jurek, tu chroniły się dziewczynki, przestraszone odgłosami burzy. Tu Barbara cieszyła się swoim szczęściem i tu wypłakiwała swoje smutki. Tu była dobrą i złą żoną.

To spostrzeżenie, którego dokonała, patrząc na Madzię i tego młodziutkiego asystenta Krzysia, przywołało wspomnienia jednocześnie smutne i słodkie.

Nie chciała tego, co się stało. Inaczej planowała swoje życie. A jednak jedna chwila wystarczyła, by wszystko wyrwało się spod kontroli.

Przypomniała sobie te noce, gdy pochrapywanie Jurka wypełniało sypialnię, a ona patrzyła w sufit i uciekała myślami do innego mężczyzny. To nie było tak, że przestała kochać męża. Wręcz przeciwnie, kochała go wtedy, nawet dziś, pięć lat po jego śmierci to uczucie trwało. Po prostu niespodziewanie dla siebie odkryła, że jest też w stanie

kochać kogoś innego.

Był jak podróż w nieznaną świat. Jego pocałunki miały inny smak, inaczej pachniała jego skóra i nigdy wcześniej nie słyszała takich komplementów.

Wywołane tęsknotą łzy wypełniły jej oczy. Ileż by dała, by móc cofnąć czas do momentu, w którym ogarnęło ją szaleństwo, bo to nie było coś, czego by żałowała.

W końcu wstała, zeszła do kuchni. W apteczce znalazła fiolkę z tabletkami na sen. Nie może sobie pozwolić na całonocne rozpamiętywanie. Nazajutrz musi wstać do pracy.

Siergiej patrzył na swojego gościa ze zdziwieniem. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Propozycja, która padła, była zdecydowanie nie do przyjęcia.

– Czyś ty oszalał? – zapytał.

– To wszystko przez twojego gówniarza.

– Raczej dlatego, że ktoś przekazał nam fałszywe informacje. Miało tam nikogo nie być.

Zamilkli na chwilę, jak kupcy, którzy zastanawiają się, jakich argumentów użyć w negocjacjach. Gość odezwał się pierwszy.

– Policja węszy wokół Janickiego. Dajmy mu jakiegoś gnata, to psy już nie odstąpią.

Siergiej wciąż się wahał. To nie był dobry pomysł. Chciałby mieć czas, żeby to przemyśleć. Nerwowe działania nigdy nie przynoszą nic dobrego. A ten człowiek był nerwowy i teraz patrzył na Siergieja przynaglająco.

– No dobra, panie burmistrzu. Zrobimy to po twojemu.

*Sześć dni temu*

Terkotanie budzika oznajmiło, że jest poniedziałek. Ludmiłę nawet to ucieszyło. Okazało się, że istnieje coś gorszego od rodzinnej niedzieli. Była to rodzinna niedziela po wiecu wyborczym z trupem w tle.

Krzysztof odmieniał przez przypadki słowa „poparcie”, „głosy” i „wynik”. Nie zwerbalizował tego, ale czuć było, jak wielki ma żal do Andrzeja, że dał się zabić w tak ważnym momencie. „Jakby nie mógł z tym poczekać” – malowało się na jego twarzy za każdym razem, gdy ktoś wspominał o tym przykrym wydarzeniu.

Babcia, jak zacięta płyta, co chwilę powtarzała „Ale kto to mógł zrobić?”. Tak, jakby ktoś z obecnych znał odpowiedź, tylko nie chciał się z nią podzielić wiedzą.

Dziadek opowiadał jakąś przedwojenną historię. Kuba i Antoś słuchali go z zainteresowaniem, podpowiadając za każdym razem, kiedy staruszek zapomniał, co było dalej.

Mama i Madzia, które dotychczas wydawały się przyjaźnie do siebie nastawione, teraz wstąpiły na wojenną ścieżkę. Co chwilę dochodziło między nimi do zważyć tak gwałtownych, że aż sypały się iskry. Kiedy Madzia powiedziała, że ma dużo pracy, matka uniosła brwi: „Tak, a można wiedzieć, czym się zajmujesz, moja droga, bo chyba nie dziećmi?”. Synowa, czerwona jak burak, zaczęła tłumaczyć, że termin składania PIT-ów, że dużo klientów, ale teściowa jej nie słuchała i w końcu żona Krzysztofa zamilkła, rozżalona. Wkrótce wzięła odwet, krytykując ciasto. „Jeśli nie sprawdzisz terminu ważności proszku do pieczenia, to taki właśnie zakalec wychodzi” – powiedziała lekko,

świadoma, że strzała trafi i to zaboli. Tak zaczęła się bitwa, która trwała do wieczora. Było to jednak mniej irytujące niż brat gadający o wyborach i siostra, która się mądrzyła. Zdecydowanie Iza była najgorsza z nich wszystkich.

W pierwszej chwili Jarek nie wiedział, gdzie jest. Łóżko wydało mu się obce. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to jego kanapa. Przeciągnął dłonią po twarzy.

– Ależ spałem – powiedział do siebie i przeciągnął się leniwie.

Spojrzał na zegarek. Zasnął. Pierwszy raz w życiu nie stawi się na komendzie na czas. Rozejrzał się za telefonem i wybrał numer Bogdana.

– Witamy śpiącą królową – usłyszał na przywitanie.

– Tak słodko spałeś, gdy wychodziłem – zaćwierkał Kowaluk, a w tle rozległ się chichot, chyba Suwały.

– Mogłeś rano zadzwonić.

– Myślisz, że bez ciebie jesteśmy jak ślepe kocięta we mgle? – Znowu śmiech. – Kiedy się ogarniesz, przyjeźdź do mieszkania Musiała.

Jarek wziął szybki prysznic, umył naczynia, które stały w zlewie, i wrzucił puste butelki po piwie do kosza na szkło. Porządny i skrupulatny – o tych cechach wspomiano, kiedy wystawiano mu ocenę. Przydawały się w pracy. Choć czasem utrudniały życie.

Mieszkanie Musiała wyglądało tak, jakby szalony dekorator wewnątrz chciał w nim przeprowadzić szybką metamorfozę – całe świeciło srebrzyście od argenty.

– Syf taki był, czy się przyczyniliście? – zapytał Bogdana. Ten zachichotał.

– Był. Siedzimy tu od ósmej. Parę fajnych rzeczy znaleźliśmy.

– Czemu nie zadzwoniłeś? – zapytał z wyrzutem.

– Świrujesz od tej sprawy – powiedział Bogdan, a w jego głosie słychać było troskę. – Mała przerwa dobrze ci zrobiła. Zwłaszcza że mamy to. – Wskazał na stos papierów leżący na stole. – Poznaj potencjalnych podejrzanych.

– Co to?

– Donosy, pozwycie, listy z ostrzeżeniami. Przyjemna lektura na długie wieczory.

– A w rzeczywistości same, jak mu było... Respondki. Daj Suwale, niech to wszystko przejrzy. Coś jeszcze?

– Zdjęcia, ale nie te, które by nas interesowały. Głównie nieprawidłowo zaparkowane samochody. To ślepa uliczka.

– Ty sam jesteś ślepy. Skoro facet wszystkich wkurwiał, musiał kogoś wkurwić bardziej. Nasze zadanie teraz, to dowiedzieć się kogo.

Ludmiła oczywiście spóźniła się do pracy. Nie dlatego, żeby zwlekała z wyjściem. Możliwość ucieczki z domu zawsze była nad wyraz kusząca. Problem stanowiła Gabryś, która akurat nie miała co na siebie włożyć. Różowy był passé, w niebieskim wyglądała grubo, czerwony ją postarzał. Idealny byłby fiolet, ale nie miała nic fioletowego. Wojna z córką zajęła Ludmilę prawie godzinę i jeszcze przed wyjściem z domu pozbawiła ją możliwości przyjścia na czas.

– Jeśli myślisz, że będę przymykać oko na twoje zachowanie, to się mylisz – poinformowała ją szefowa głosem równie ciepłym co styczniowy poranek.

– Przepraszam – bąknęła Ludmiła pod nosem. Tłumaczenia nie miały sensu. Córki przełożonej studiowały, a ona sama była z nich tak dumna, że zapomniała o dniach, gdy

odmawiały pójścia do przedszkola w różowych rajtuzach. Oczekiwanie empatii od kogoś takiego nie miało sensu. Dlatego Ludmiła wzięła ogromny stos zaległych dokumentów, położyła na swoim biurku i udała, że pochłaniają ją bez reszty. Tak naprawdę czekała na moment, kiedy będzie mogła przejrzeć zawartość pendrive'a. Męczyło ją to całą niedzielę. Niestety nieletni blokowali dostęp do wszystkich urządzeń elektronicznych. Poza tym bała się, że któryś z domowników może ją zaskoczyć. Ludmiła uznała, że na dysku znajdują się te same zdjęcia, które znalazła w szufladzie, a goły znajomy pan z obcą panią nie nadawał się na temat rozmowy przy niedzielnym stole.

Kiedy większość pracowników urzędu wyszła na przerwę obiadową, Ludmiła wreszcie miała okazję się przekonać, co takiego ukradła. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu odkryła, że pendrive nie zawiera elektronicznej wersji zdjęć z koperty. Była tam cała masa skanów starych dokumentów, jakieś tabele, rozliczenia. Już miała zamknąć folder, gdy nagle w oczy rzuciło się jej własne nazwisko.

Co mój ojciec ma z tym wspólnego? – zastanowiła się.

A potem nagle uświadomiła sobie, że śmierć Andrzeja Musiała, choć chciałoby się, żeby było inaczej, miała związek z tajemniczą willą, cegielnią, jej ojcem, Krzysztofem i tym miastem.

Przypomniała sobie słowa ojca, który często mówił, że nie należy wkładać palca między drzwi. W tej chwili czuła się tak, jakby miała tam całą dłoń. Pytanie nie, czy zaboli, tylko kiedy i jak bardzo.

Siergiej był zmęczony, mimo że spał dość długo. Zarwane noce zaczynały stanowić problem. Trzy lata temu w mrocznym kącie świadomości przycupnął strach przed starością i w takich momentach jak ten wyłaził. Siergiej zwykle go przeganiał, ale wiedział, że wszystko jest kwestią czasu. Wtedy nawet te coraz młodsze dziewczyny, które aplikował sobie jako kurację odmładzającą, nie pomogą. Za strachem przyjdzie niepewność, a z nią błędy, najpierw drobne, potem coraz poważniejsze i w końcu ten jeden, który wszystko zakończy.

– Chyba czas, żebym o emeryturze pomyślał – powiedział do siebie.

Potem obiecał sobie, że ten rok będzie ostatni. Dokładnie tak jak rok temu. I przed dwoma laty. Jednak ciągle robił biznesy. Już nie dla kasy. Od kilku lat miał jej tyle, żeby móc spędzić resztę życia, pijąc daiquiri na tropikalnej wyspie. Gdyby był ze sobą szczerzy, musiałby przyznać, że chodzi o władzę. Jednak nie był i oszukiwał się, że po prostu chce jeszcze trochę zarobić. Nawet najsilniejsi ludzie miewają swoje słabości.

Nic nie wskazywało na to, że Siergiej Wolatow osiągnie coś w życiu. Ojciec był robotnikiem w fabryce, matka pielęgniarką. Praca na zmiany powodowała, że widywali się rzadko, czasem raz na tydzień mieli kilka godzin, które spędzali razem. Na początku wszystko układało się całkiem nieźle, a przyjsie na świat Sieriożki było elementem planu. Potem ojciec zaczął pić. Niby nic dziwnego, w kraju wszyscy pili, ale on więcej, zachłanniej. Robił awantury i wypaczał dziecko, które czuło strach, niepewność, nienawiść. Zmarł, kiedy Siergiej miał trzynaście lat. Nie była to śmierć przedwczesna, raczej zbyt późna. Matka, choć nie miała jeszcze czterdziestu lat, już wyglądała jak stara kobieta. Syn był emocjonalnie rozchwiany. W szkole powiedziano, że jest krnąbrny, nieposłuszny, wdaje się w bójki. Pewnie poszedłby w ślady ojca, na szczęście dostał

powołanie. Wojsko było jak wybawienie. Dawało przyzwolenie na tę całą agresję, którą Siergiej nosił w sobie. Nie chciał wracać do cywila, został, robił karierę. Jego kompania została wysłana do Legnicy. Nie był z tego zbyt zadowolony. Polakami gardził. Postrzegał ich jako naród dziwaków. Na miejscu nie zmienił zdania o ogóle, ale poznał kilka osób, które wydały mu się całkiem do rzeczy. Raz jedna z nich zapytała, czy nie mógłby załatwić trochę paliwa. Mógł. W zamian dostał dobrą wódkę. Oddał chłopakom za fajki. Fajki opchnął za czekoladę. Czekoladę zhandlował prywaciarzowi za marki. Wyjeżdżał z Polski jako człowiek znacznie bogatszy.

Choć jednocześnie uboższy, bo zostawiał w Polsce jedyną dobrą część swej duszy. Dziewczyna była piękna jak wiosenny poranek w tajdze, a słodka jak lipowy miód. Niestety, była Polką. Gdyby przełożeni Wolatowa się dowiedzieli, byłby to koniec jego kariery. Dziewczynie też nie byłoby łatwo, jej rodacy nie lubili okupantów. Mimo to, ryzykując wszystkim, co mieli, spotykali się potajemnie. Siergiej zapamiętał każdą spędzoną z nią chwilę i zachował je w sercu, jak najdroższy skarb. Nie tylko dlatego, że tak szaleńczo ją kochał, ale również dlatego, że kochał siebie takiego, jakim się przy niej stawał. Mogli zaryzykować, wszak świat pełen jest dobrych miejsc, w których spokojnie mogą żyć ludzie, którzy się kochają. Mogli, ale ona się bała. Rozumiał, wyjechał, kiedy tylko było to możliwe.

A potem była Czeczenia. I przymusowe odejście do cywila. „To dla waszego dobra, Siergieju Iwanowiczu, wypaliliście się”. Czuł, że to bzdura, że zrobiono z niego kozła ofiarnego. Zabrano jedyną rzecz, na której mu zależało. Wiedział, że nic innego robić nie potrafi. Z marną emeryturą mógł się tylko zapisać, jak jego ojciec.

I kiedy był już prawie na dnie, dostał zaproszenie od znajomego z Polski. Pojechał. Dobrze się bawił.

– Wiesz, Siergiej, jest sprawa. Mój znajomy z Niemiec chciałby oddać swój stary samochód krewnemu, który mieszka w Rosji. A na granicy robią problemy. Może załatwimy to tak, że niby ty kupiłeś ten samochód i wracasz nim do domu?

Wolatow kiwnął głową. Za przysługę dostał zwitek dolarów. Szybko przeliczył w myślach – musiałby na to pracować pół roku.

Potem przyszło kolejne zlecenie i jeszcze jedno. I może do dziś by tak robił za szofera, gdyby któregoś dnia nie pojawił się pewien człowiek. Zaprosił na drinka. „Potrzebuję kogoś, kto zna język i wasze realia”, powiedział, a Siergiej z przekąsem zauważył, że Ukraina to już nie Matuszka.

– Nie zmienia to faktu, że wam będzie tam łatwiej cokolwiek załatwić niż mnie.

– A co konkretnie mam załatwiać?

– Zamierzasz importować cegły z ukraińskiej gliny wprost na niemieckie place budowy.

– Wybaczcie, ale nie brzmi to jakoś szczególnie interesująco.

– Być może dlatego, że nie potraficie spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Przemysł samochodów jest ryzykowny. Na dodatek robisz to na małą skalę. Mały zysk, a jeszcze musisz dawać łapówki celnikom. Ja proponuję legalną firmę, działającą tu, w Polsce. Będzie się zajmować przewozem cegieł. Całe ciężarówki wyładowane ciężkimi ceglami.

Wreszcie Siergiejowi zaświtało.

– A w tych ceglach...

– O tym będziemy rozmawiać, jak założysz firmę – uciał tamten.

– Co wy będziecie z tego mieli? – zapytał Wolatow.

– Dziesięć procent. Ja potrzebuję pieniędzy, a ty kogoś, kto ci pomoże z urzędnikami.

Ich współpraca trwała pięć lat i była bardzo owocna. W międzyczasie Siergiej zorientował się, kim jest ten człowiek, ale wtedy było mu już wszystko jedno, bo przeszłość została dawno pochowana.

Dopił kawę, odstawił kubek. Nie lubił, gdy wracały tak odległe wspomnienia. Najlepszym sposobem na odegnanie demonów przeszłości była praca. Poszedł do gabinetu, usiadł przy biurku i zaczął porządkować papiery, które wczoraj zostawił w nieładzie. Otworzył szufladę i włożył tam gruby plik dokumentów. Zamknął ją, a potem otworzył ponownie, bo w jego głowie włączył się alarm. Zaczął grzebać nerwowo, szukać najpierw chaotycznie, potem coraz dokładniej. Bez rezultatu.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Od wielu lat nagrywał wszystko, co działo się w tym domu i cegielni. Tak na wszelki wypadek. Przychodzili do niego różni ludzie, mówili ciekawe rzeczy, załatwiali interesy. Nigdy tych nagrań nie wykorzystywał. Nie chciał, żeby ktoś się dowiedział o kamerach, którymi dom był naszpikowany jak dobry keks bakaliami. Ludzie by się wtedy pilnowali. Wycinał z wielogodzinnej nudy ciekawe fragmenty i nigdy już do nich nie wracał. Chociaż nie. Czasem wracał do tych z sypialni.

Teraz szybko przewijał nagranie z poprzedniego dnia. Nic. On sam. Sprzątaczką. Nic. Noc. Dziewczyna. Zatrzymał nerwowo. Oglądał powoli. W kiepskim oświetleniu jej twarz była praktycznie nie do rozpoznania. Powiększył, próbował wyostrzyć, ale nic to nie dało.

– Miszka! – krzyknął przez okno w stronę garażu. – Miszka, jesteś tam?

– *Nu da!* – odpowiedział chłopak.

– Mówi się „tak”, bałwanie. I chodź tu.

Miszka odłożył klucz, wytarł ręce najpierw w brudną szmatę, potem w niezbyt czyste spodnie i ruszył do gabinetu szefa.

– Słuchaj, trzeba mi jakoś obrobić to zdjęcie. Żeby było wiadomo, kto jest ta bładź.

Miszka wpatrywał się w monitor.

– A puście to, szefie – poprosił i w napięciu patrzył na dziewczynę. – Ja ją skądś znam.

Siergiej uśmiechnął się do Miszy.

– *Maładiec!* Umiałbyś ją znaleźć?

Chłopak skinął głową i złapał rzucone mu kluczyki od samochodu.

– Zaproponuj zwiedzanie cegielni, tylko dyskretnie. Chcę z nią porozmawiać.

To oznaczało, że nie może jej się stać krzywda. Na razie.

Krzysztof Janicki wszedł do swojego gabinetu. Było to teraz dziwne miejsce. Niby wszystko wyglądało tak samo, a jednak świadomość, że spotkały się tu okrucieństwo i śmierć, bardzo przeszkadzała. Jeszcze bardziej przeszkadzały te wszystkie udawane emocje. Andrzej był jego przyjacielem i Krzysztof chciał rozpaczać po jego stracie.

Chciał płakać, pytać „dlaczego?” i upić się do nieprzytomności. Bał się jednak, jak to zostanie przyjęte. Jak ludzie zinterpretują jego słabość? Jakie wnioski wyciągnie z tego policja? Jeśli go aresztują, ten żal może zostać uznany za dowód w sprawie.

Jednego Krzysztof mógł być pewien – nie on zabił Musiała.

Zaczął wspominać czas, który razem spędzili. Wtedy przypomniała mu się jedna z ich rozmów. Wspinali się wtedy na wulkaniczne wzgórze, do głazu i Andrzej powiedział, że „Przyszedeł czas zapłaty”. Może ktoś wolał skrzywdzić Andrzeja, niż uregulować z nim rachunki?

Muszę o tym powiedzieć policji, pomyślał.

I nie tylko o tym. Powinien powiedzieć, że pewne relacje łączyły Andrzeja z Ludmiłą. To nie było tak, że podejrzewał siostrę, znał ją jednak i wiedział, że stwarza sytuacje... Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Dziwne? Trudne? Takie, którymi powinna się zająć policja? Bo była przecież ta sprawa z liceum. No i próba wrobienia w dziecko. Próba, z której nic nie wyszło, bo Andrzej był zbyt mądry na takie rzeczy. Mogło jednak zdarzyć się tak, że Ludmiła czuła do niego żal. A taki żal z czasem może się przekształcić w coś zupełnie innego.

No i kłamała. Obie z Izą kłamały na temat tego, co się stało w dniu śmierci Andrzeja. A przecież ludzie niewinni nie mają powodu, by kłamać.

Może nie powinien był odrzucać zaproszenia na komendę? Nie, dobrze się stało. Był skołowany. Teraz, kiedy to wszystko sobie poskładał, sam do nich pójdzie. Na spokojnie wszystko opowie. Niewinni mówią prawdę.

Miszka jeździł po mieście, zaglądał to tu, to tam, kręcił się po rynku. Ciągłe miał twarz dziewczyny przed oczyma, ale nie mógł jej powiązać z żadnym konkretnym miejscem. W końcu usiadł na ławce, żeby chwilę odsapnąć. Zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko.

Obserwował ludzi. O tej porze nie było ich wielu na ulicach. Dużo dzieciaków. Pewnie wagarują. Miszka pomyślał o nich z sympatią. Sam też dużo wagarował. Matka mówiła, żeby się uczył, bo inaczej niczego nie osiągnie. Tylko że to była bzdura. Co jej przyszło z tego, że dobrze się uczyła i została lekarzem? Pracowała dużo i kasy miała mało, na dodatek mąż ją zostawił. Takie osiągnięcia to Miszka miał głęboko w... Próbował sobie przypomnieć, jak się po polsku mówi na *zopę*. Trudny język, ten polski, ale szef nie pozwalał mówić po rosyjsku.

– Musisz dobrze mówić w języku ludzi, z którymi robisz biznesy – powtarzał.

Dobrze, że nie robimy biznesów z kitajcami, pomyślał Miszka i roześmiał się w głos. Przechodząca obok kobieta rzuciła mu ostre spojrzenie, pewna, że śmieje się z niej. Chłopak spuścił oczy.

Gdzie ja ją widziałem?, zastanawiał się. Ładna, szczupła blondynka. Znalezienie jej było bardzo ważne. Szef nie wspominał już więcej o tej akcji w urzędzie miasta, ale widać było, że jest wściekły. Misza tłumaczył mu, że to nie z jego winy wszystko poszło nie tak. Gdyby nie ta dziewczyna... Nagle go olśniło. Wstał. Żwawym marszem ruszył pod urząd miasta. Stał w bramie naprzeciwko. Palił i czekał.

– Gdzie, do kurwy nędzy, jest Janicki? – zapytał Nowak.

– Pewnie w domu – odpowiedział mu Kowaluk.



– Jak to w domu? Kazałem go wezwać.

– A on zadzwonił do starego z pytaniem, czy to pilne. No i okazało się, że nie ma pośpiechu.

Ta odpowiedź wystarczyła. Jarek zaklął od serca, ale niewiele to pomogło.

– Skoro nie ma kogo przesłuchać, to nie mam nic do roboty. Idę – rzucił oschle.

Bogdan wstał, położył Nowakowi dłoń na ramieniu, ale ten ją strząsnął.

– Nie szarżuj. Potrzebne ci kłopoty?

Nowak milczał.

– Masz najlepszy psi instynkt, jaki w życiu spotkałem. Nie zepsuj tego, bo ci się zachciało szarpać z władzą.

Słowa kolegi trochę udobruchały Nowaka.

– Chciałem go pomęczyć o alibi. Dowiedziałem się, że nie jest takie żelazne. A on jak mantrę powtarza, że go wtedy nie było w urzędzie.

Brwi Kowaluka podjechały do góry w niemym pytaniu.

– Dziura na jakieś czterdzieści minut. W tym czasie nikt go nie widział.

– I myślisz, że to by wystarczyło?

– Nie wiem.

Kowaluk energicznie podszedł do wieszaka. Zdjął kurtkę Nowaka i mu ją rzucił, a chwilę później szarpał się z własną.

– Chodź, pojedziemy sprawdzić. – Był bardzo podekscytowany. Nowak pomyślał, że w tej chwili jest między nimi tak jak kiedyś, zanim Bogdan zaczął się ślinić do siostry podejrzanego. W głębi duszy modlił się, żeby ona miała z tym jak najwięcej wspólnego. Chciał znowu mieć całą uwagę Bogdana dla siebie.

Iza próbowała ogarnąć świat, w którym niespodziewanie z wolnej i niezależnej kobiety zamieniła się w matkę Polkę z trójką bachorów i czwartym w drodze. To nie był najlepszy ze światów, dlatego Iza próbowała się buntować. Niewiele to jednak dało. Jej własna matka nie miała czasu, bo pracowała na odpowiedzialnym stanowisku. Babcia opiekowała się dziadkiem i samo to było ponad jej siły. Ludmiła wydymała usta w pogardliwym uśmiechu i mówiła: przyzwyczajaj się. A prawdziwa matka tych dzieci uznała, że potrzebuje urlopu od własnego życia. Tłumaczyła Izie, że to trudna sytuacja i może źle wpłynąć na delikatną dziecięcą psychikę. Argumentu, że skoro te dzieci zabijają dziennie pięć tysięcy zombi, to już nic nie może na nie źle wpłynąć, słuchać nie chciała. W końcu w ogóle przestała odbierać telefony od szwagierki i wszystkie sprawy załatwiała z teściową.

No i teraz Iza stała pod szkołą, czekając, aż małe potwory opuszczą mury placówki oświatowej i wypełnią jej samochód decybelami, od których rozboli ją głowa.

– Tu nie wolno parkować – usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się. Tuż za nią stał Bogdan Kowaluk. Zamyślona nie zauważyła jego nadejścia.

– Ja tylko na chwilę.

– Na chwilę też nie wolno. – Mówił to z uśmiechem na ustach, a w jego szaroniebieskich oczach migotały srebrne iskierki.

– Przepraszam – Iza też się roześmiała. – Chyba należy mi się mandat.

– Zaraz wypiszę, a ty zapłacisz w naturze.

I zupełnie niespodziewanie objął ją i, zanim zdążyła coś powiedzieć, namiętnie pocałował w usta. Zaskoczona Iza nawet nie próbowała się bronić. Kiedy puścił, złapała powietrze, jak człowiek, który wynurzył się z wody – nerwowo i łapczywie.

– Tęskniłem – szepnął zmysłowo. Twarz i szyja Izy zrobiły się purpurowe. Nie tylko dlatego, że czuła się winna wobec Pawła. Również dlatego, że ten głos i to migotanie w oczach naprawdę jej się podobały.

– To miłe – bąknęła, jakby nigdy nie flirtowała.

W tej chwili przy samochodzie pojawiły się dzieci. Przyglądały się dorosłym ciekawie.

– Muszę wracać do pracy. Zobaczymy się dziś wieczorem?

– Jasne – odpowiedziała szybko Iza. – Tam, gdzie poprzednio – rzuciła i zaczęła nerwowo pytać, co w szkole i czy mogą już ruszać. Starła się przy tym nie patrzeć na Bogdana, jakby się bała, że zrobi coś, co może ją zdradzić. Uspokoila się dopiero, kiedy odpaliła samochód i ruszyła, a mężczyzna poszedł w stronę komendy.

– To twój chłopak? – zapytał Kubuś.

– Nie.

– To dlaczego się z nim całowałaś?

– Nie całowałam się.

– Ale ja widziałem.

– Możesz się całować, z kim chcesz, to nie musi być twój chłopak – wyjaśniła Emilka.

– Albo dziewczyna – dorzucił Antoś. – Ja bym się nie chciał całować z chłopakiem.

– Jak będziesz gejem, to będziesz chciał – wyjaśniła znająca życie Emilka.

– A ten facet, co się całował z ciocią, nie jest gejem, no nie? – zapytał siostrę Kubuś.

– Oczywiście, że nie. Gej może kobietę pocałować najwyżej w policzek. Ale z języczkiem nigdy!

Iza parsknęła z irytacji.

– Nie całował mnie z języczkiem! – krzyknęła głośno, a przestraszone dzieci zamarły. Iza w lusterku widziała, jak posyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia. Westchnęła i całą uwagę skoncentrowała na prowadzeniu samochodu. Czekala, aż zalewające ją fale irytacji się uspokoją. Okropne dzieciaki. I ona też okropna, bo jak tak można całować się z kimś na ulicy. A wszystkiemu jest winna Ludmiła. Co jej strzeliło do głowy, żeby znajdować trupa? I ta cała zamiana. Dlaczego nic mu nie powiedziała? Ludmiła! Ona nie zasypia gruszek w popiele i pewnie nieraz się już całowali. Znowu poczuła zazdrość. To absurdalne! Jakby nie miała dość kłopotów.

Porozmawia z Ludmiłą i poprosi, żeby się do wszystkiego przyznała.

Ludmiła wracała z pracy w nie najlepszym nastroju. Wszyscy gadali o Krzysztofie. To znaczy o zabójstwie, o które go podejrzewali. Denerwowała ją ta pochopność, z jaką ludzie wydają opinie o innych. Krzys nie był zdolny do zabicia kogokolwiek i ona o tym dobrze wiedziała. Nie dlatego, że był jej bratem, tylko dlatego, że go dobrze znała. Nawet dokumenty i zdjęcia, które znalazła na pendrivie, nie zdołały sprawić, by podobna myśl choć przemknęła jej przez głowę. A swoją drogą bardzo to wszystko zamotane.

Dziewczyna zaczęła w myślach analizować wszystko to, czego się dowiedziała z dokumentów. Była tym tak zajęta, że nawet nie zauważyła jadącego za nią samochodu, który zwolnił w momencie, kiedy ona parkowała na chodniku przed domem. Wjazd do garażu blokował źle zaparkowany samochód Izy. Jeszcze jeden powód do nienawiści. Podsyconej tym mocniej, że jej obiekt siedział sobie w wiklinowym fotelu na tarasie, czytał książkę, a zobaczywszy Ludmiłę, zaczął do niej bezczelnie machać. Dziewczyna postanowiła to zignorować i, jak gdyby nigdy nic, pomaszerowała ku drzwiom.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła za nią Iza. Zerwała się z fotela i dogoniła siostrę. – Musimy porozmawiać.

– Nie musimy. Nieraz już to robiłyśmy i nie pamiętam, żeby wynikło z tego coś dobrego.

– Czy ty musisz być taka?

– Jaka?

– Obrażona na cały świat.

– Nie jestem obrażona na cały świat, tylko na ciebie.

– Dałabyś z tym spokój. To było dawno temu. Ja zapomniałam i ty zapomnij.

– Próbowałam wiele razy, ale zawsze znajdzie się ktoś życzliwy, kto mi przypomni.

Tu ludzie pamiętają takie rzeczy. Może dlatego, że rzadko zdarzają się prawdziwe sensacje. Łatwo ci doradzać, wyjechałaś i żyjesz wśród ludzi, którzy nie znają twojej przeszłości.

– To po co tu wracałaś?

– Ktoś musiał się zająć ojcem.

Siostra milczała, nie rozumiejąc tych słów. Ludmiła zaśmiała się sztucznie.

– Ach, bo ty myślałaś, że rak pojawił się niespodziewanie i zabił naszego ojca w ciągu trzech miesięcy? – Pozwoliła, by jej słowa nasiąknęły całą nienawiścią, jaką żywiła do siostry. – To było ostatnie stadium. Choroba zaczęła się wiele lat wcześniej.

– Musisz mi o tym opowiedzieć – zażądała Iza.

– Nie ma o czym – rzuciła obojętnie Ludmiła i chciała odejść, ale wtedy siostra złapała ją za ramię.

– Proszę, powiedz tylko, kiedy się dowiedziałaś.

Westchnęła. Czuła, że dla Izy jest to ważne i że tamta nie odpuści.

– No dobrze. Tylko chodź do ogrodu, nie chcę, żeby ktoś słyszał.

Usiadły na ławce, pod rozłożystym sumakiem. Było to ulubione miejsce Ludmiły, zwłaszcza jesienią, kiedy liście drzewa robiły się purpurowe.

– Byłam na pierwszym roku, kiedy tato się zorientował, że coś jest nie tak. Nie chciał iść tu do żadnego lekarza, bo bał się, że ten wygada mamie. Zatrzymał się w hotelu, ale zadzwonił do mnie, żebym zjadła z nim kolację. Nic nie powiedział, sama się domyśliłam. Prosiłam, żeby pozwolił mi pójść ze sobą. W ten sposób jego choroba stała się częścią mojego życia. Diagnoza, operacja, słowa lekarza „wszystko będzie dobrze”. Pół roku później badania, diagnoza, kolejna operacja i kolejne zapewnienia, że będzie dobrze. Nie zawałam studiów dlatego, że byłam głupia, tylko dlatego, że siedziałam na szpitalnym korytarzu i czekałam, aż tato się obudzi. Imprezowałam, bo musiałam jakoś odreagować. Mój ojciec umierał, a ja nie mogłam nic zrobić, tylko się uśmiechać, bo tego

ode mnie oczekiwał.

– Mama się nie domyśliła?

– Powiedział jej, że to wyjazdy służbowe, związane z pracą. Brał skądś pieniądze... – Ludmiła zamilkła, bo właśnie zrozumiała skąd. Poczula się jak ktoś, kto zgubiony w labiryncie, właśnie chwycił koniec nitki.

– No, opowiadaj – ponagliła Iza, wrywając siostrę z zamyślenia.

– Nie ma już nic do opowiadania. Powiedział mamie, kiedy miał dostać pierwszą chemię. Nie rozumiała, dlaczego nie poinformował jej wcześniej, ale jednocześnie uznała, że nie ma powodu, żeby martwić ciebie. Wtedy już nie studiowałam. Byłam blisko, kiedy mnie potrzebował, kiedy nie potrzebował... odreagowywałam stres. – Zamilkła na chwilę, patrząc przed siebie.

– Po pierwszej chemii przez rok było świetnie. Pojechaliśmy w góry i na ryby. Śmiał się jak nigdy wcześniej. Mówił, że wygrał ze szczerbatą kostuchą. Z nią wygrywa się tylko bitwy, nigdy wojnę. Po roku rak wrócił i go zabił, a ja nie umiałam sobie znaleźć miejsca, więc pojechałam na wakacje do Egiptu. Ludzie mówili, że nie poczekałam do końca żałoby. Nikt, kurwa, nie był w stanie zrozumieć, że moja żałoba nie zaczęła się, kiedy tato umarł. Ona zaczęła się wiele lat wcześniej, a jego śmierć ją zakończyła. Zresztą sam mnie prosił, bym odpoczęła. Tuż przed śmiercią powiedział: „Wyjedź gdzieś, baw się, szalej, nie musisz już być pielęgniarką”.

– To ja powinnam być przy nim – powiedziała Iza smutno.

– Nie chciał cię. Powiedział, że ty i mama zamieniłybyście jego umieranie w festiwal bóleści i smutku.

Bolesny skurcz chwycił Izę za serce. Chciała coś powiedzieć, o coś zapytać, nie była w stanie. Ludmiła podniosła się i ruszyła w kierunku domu.

Izabela poczuła się tak, jakby właśnie odebrano jej coś najważniejszego na świecie. Poczula żal do siostry i matki. Nawet do nieżyjącego już ojca. To przecież ona była jego oczkiem w głowie, jego pupilką, jego ukochaną córeczką.

– No to go mamy! – krzyknął uradowany Kowaluk.

Zaparkowali samochód przed hotelem i uradowani patrzyli na zegarek.

– Dwanaście minut – sapnął Nowak. – Dwanaście, stary – powtórzył uradowany.

– Włącz stoper. Musimy to jeszcze raz powtórzyć.

Nowak spojrzął na partnera z wyrzutem.

– Do trzech razy sztuka – roześmiał się Kowaluk i przekręcił kluczyk.

Kiedy pierwszy raz jechali z hotelu pod urząd, byli pewni, że nie zajmie im to więcej niż dziesięć minut. Ruszyli na obwodnicę, potem skręcili do miasta aleją Trzeciego Tysiąclecia, wcześniej Nowotki, główną arterią miasta, połączoną z ulicą, przy której stał urząd. Zegarek wskazywał dwadzieścia minut. Jakby sprawy nie naciągać, pięć minut to jednak trochę mało, żeby wejść do urzędu, chwilę porozmawiać, a na koniec zabić.

– Cholera! – Rozgoryczony Nowak walnął pięścią w deskę rozdzielczą.

– Spokojnie, bo mi samochód uszkodzisz – upomniał Kowaluk z uśmiechem. – To musi być Janicki, bo kto inny?

– Dziewczyna.

– Ona jest w porządku.

Nowak się najeżył.

– Dlaczego jej wierzysz?

– Mam przeczucie, okej? Ty masz swoje przeczucie – co do Janickiego, a ja mam swoje. Wiesz, co to jest intuicja? Moja mówi, że Iza nie ma z tym nic wspólnego. I proszę cię, uwierz mi.

– Nie ma sprawy. Tylko przekonaj mnie, że jej brat mógł to zrobić.

Bogdan milczał przez chwilę. Potem przekręcił kluczyk i zawrócił.

– Wracamy przed hotel – rzucił. – Spróbujemy jeszcze raz. Mam pewien pomysł.

Kiedy zatrzymali się pod hotelem, otworzył skrytkę i zaczął w niej grzebać.

– Odłączyłem dziadostwo, bo mnie denerwowało, ale krótko po przeprowadzce, jak jeszcze nie znałem miasta, używałem... O! Jest! – I tryumfalnie wyciągnął kabel i wyświetlacz.

– Nawigacja?

Kowaluk kiwnął głową i zaczął montować urządzenie.

– Jaki jest dokładny adres urzędu? – Wpisał dane i po chwili już jechali. I to zupełnie inną drogą. Pod urzędem znaleźli się w dziesięć minut.

– To dlatego, że złapaliśmy zieloną falę. Janicki mógł nie mieć tyle szczęścia. – Nowak był sceptyczny.

– To sprawdzmy.

Kolejny przejazd zajął im trzynaście minut. Obaj odetchnęli z ulgą.

Izabela wciąż siedziała na ławce przed domem i ciągle analizowała rozmowę z siostrą. Zupełnie nie mogła uwierzyć w słowa tamtej. Dlaczego ojciec wybrał Ludmiłę na powiernicę? A może to wszystko było jednym wielkim kłamstwem? Może Ludmiła chciała ją zranić? Ciągle miała żal o wydarzenia sprzed lat. Prawdą było, że Iza wtedy zawiniła, ale była młoda i, jak większość ludzi w tym wieku, robiła głupie rzeczy.

Galopadę myśli przerwało pojawienie się Emilki. Dziewczynka, odziana w czerń i symbole anarchii, podeszła do Izy i podała jej telefon, który trzymała w dwóch palcach, jakby to było coś trefnego.

– Dzwonił, ale kłóciłaś się z ciotką, to nie chciałam przeszkadzać.

– Nie kłóciłyśmy się.

– Jasne. Bo ja życia nie znam...

Iza nic nie odpowiedziała. Wzięła telefon i sprawdziła nieodebrane połączenia. Dzwonił Bogdan. Teraz dopiero sobie przypomniała, że się z nim umówiła. To znaczy Ludmiła się z nim umówiła. Ludmiła jako ona. Pokręcone to i niemoralne. Należy z tym jak najszybciej skończyć.

Wybrała numer. Odebrał natychmiast.

– Byliśmy umówieni, pamiętasz?

– Coś mi wypadło. Przepraszam, że musiałeś czekać... – Chciała dodać, że na darmo, i jakoś się wykręcić, ale jej przerwał.

– Czekałem na ciebie całe życie, mogę poczekać jeszcze godzinę. – Zaczął mówić normalnym, wesołym głosem, który powoli stawał się coraz niższy, coraz bardziej zmysłowy i Iza poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

– Może nie godzinę, będę za kwadrans – powiedział ktoś jej głosem. Tak bardzo

nie chciała się z nim spotkać i jednocześnie tak bardzo tego zapragnęła. Zepchnęła gdzieś w głąb siebie myśli o Pawle i Ludmile. Wbiegła do domu, pociągnęła usta błyszczkiem, złapała zakiet i chwilę później wyjeżdżała z garażu.

Bogdan Kowaluk z pewnym niedowierzaniem patrzył na bukiet, który trzymał w ręku. Ostatni raz był w kwaciarni pięć lat temu. Kupował wtedy wieniec na pogrzeb dziadka.

Podwiózł Nowaka na komendę, a sam popędził na rynek i podekscytowany czekał na dziewczynę. Kiedy się nie zjawiała, najpierw poczuł złość. Zadzwoił, nie odebrała. Zaczął się martwić, bo zadziałała policyjna wyobraźnia. Potem oddzwoniła i Bogdan znowu poczuł radość. Pchnięty nagłym impulsem, wszedł do kwaciarni i kupił kwiaty. Pierwszy raz w życiu zrobił coś, co można by uznać za romantyczne.

Zobaczył ją, zanim ona zauważyła jego. Szła przez rynek, który powoli wypełniał się ludźmi, bo piękny wiosenny wieczór wywabiał ich z domów. Miała na sobie dzinsy, luźną błękitną tunikę i dopasowany zakiet. Wiosenny wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Rozglądała się, jakby szukając go wzrokiem. Podeszedł, prawie podbiegł do niej, objął i podniósł. Roześmiała się, a Bogdan poczuł niesamowite ciepło w sercu. Postawił dziewczynę na ziemi i podał jej kwiatki.

– To dla mnie? Dziękuję.

Wspięła się na palce i musnęła ustami jego policzek. Bogdan zauważył, że się zarumieniła. Uznał, że to przeurocze – dziewczyna, która przedwczoraj przerabiała z nim Kamasutrę, dziś się czerwieni.

– Pójdziemy do mnie? – zaproponował zmysłowym szeptem.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Przepraszam, dziś nie mogę. Możemy się przejść?

Podał jej ramię. Dołączyli do innych spacerujących. Pytała o jego pracę, rodzinę, plany. Bogdan gadał jak nakręcony. Przyszło mu nawet do głowy, że taki spacer jest lepszy niż seks. Po raz pierwszy poczuł, że kobietę interesuje, jaki jest, a nie jak wygląda. To było miłe.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał.

– Raczej herbatę, nie piję kawy.

Przecież ostatnio pili kawę. No cóż, kobiety, któż za nimi nadąży.

Weszli więc do kawiarni, w której nie było tłoczno. Zajęli stolik w rogu. Iza zamówiła zieloną herbatę, a Bogdan dużą kawę.

– Nie będziesz mógł zasnąć – zaniepokoiła się.

– I tak bym nie mógł. Działasz na mnie bardziej pobudzająco niż sto kaw.

Nie odpowiedziała, zawstydzona odwróciła zaróżowioną twarz.

W tym momencie siedząca kilka stolików dalej kobieta, która wcześniej rzuciła w ich stronę kilka ukradkowych spojrzeń, uśmiechnęła się do Izy, wstała i podeszła.

– Cześć! Dawno się nie widziałyśmy, co u ciebie?

Iza wyglądała, jakby widziała tamtą pierwszy raz w życiu, a jednak odpowiedziała:

– W porządku, dziękuję.

– Jak tam Gabrysia? Ona pewnie chodzi już do przedszkola?

– Chodzi.

– Słyszałam o twoim bracie, przykro mi. Nie sędzę, żeby Krzysiek miał z tym coś wspólnego.

– Ja też nie.

– Ale wiadomo już coś?

– Trwa śledztwo.

Kobieta patrzyła na Izę trochę zdziwiona.

– Nie chcesz o tym gadać, tak?

Bogdan zauważył to szybkie, nerwowe spojrzenie Izy.

– Sorry – powiedziała nieznajoma. – Chciałam się tylko przywitać, a przeszkadzam ci w spotkaniu. Zdzwonimy się, to pogadamy. Gabrysię ucałuj.

– Jasne.

Kobieta wróciła na swoje miejsce. Psi instynkt Bogdana, który do tej pory spał smacznie, podniósł łeb i warknął ostrzegawczo. Bogdan uważnie przyglądał się dziewczynie.

– Kto to był? – zapytał.

W oczach Izy na moment pojawiła się panika.

– Znajoma – rzuciła szybko. – Koleżanka ze szkoły – dodała.

– Czy ty coś przede mną ukrywasz?

– Ależ skąd – obruszyła się.

W głowie Bogdana rozległo się szczenięcie. Wiedział, że dziewczyna kłamie. Coś było nie tak. Tylko co?

Miszka nie lubił palić papierosów w samochodzie. Skręt co innego, jest aromatyczny, ale dym papierosowy śmierdzi i myśl, że wżera się w tapicerkę, działała na chłopaka drażniąco. Dlatego wysiadł i powoli przechadzał się wzdłuż ulicy. Chciał sprawiać wrażenie, że po prostu spaceruje. Czuł jednak, że wielkie domy przy tej ulicy zauważyły obcego i zaintrygowane gapią się na niego. Dlatego wyrzucił wypalonego do połowy papierosa. Właśnie miał wsiąść do samochodu, kiedy na ulicy pojawiło się srebrne sportowe audi i zatrzymało przed obserwowanym przez chłopaka domem. Misza energicznym krokiem ruszył chodnikiem przed siebie. Patrzył, jak otwiera się brama, a samochód powoli wtacza się do garażu. W kierowcy rozpoznał dziewczynę. Zaklął pod nosem. Był pewien, że ona jest w domu. Nie przyszło mu do głowy, że mogła odjechać innym samochodem. Zwolnił. Dyskretnie zajrzał na podwórko. Dziewczyna już wysiadła i właśnie wychodziła z garażu. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. W tym momencie brama się zamknęła. Misza szedł jeszcze przez chwilę przed siebie. Potem nagle zawrócił i wsiadł do samochodu. Z kieszeni kurtki wyjął telefon.

– Widziałem ją... Tak, to na pewno ona... Chyba tu mieszka... Nie, nikt mnie nie zauważył... Jasne.

Przekręcił kluczyk, silnik zamruczał łagodnie i po chwili samochód ruszył.

Ludmiła siedziała w pokoju Gabrysi. Ciągle jeszcze trzymała otwartą książkę, choć miarowy oddech dziecka już dobre pięć minut temu wypełnił pokój. Chciała mieć pewność, że mała zasnęła głęboko i nie obudzi jej lada szelest.

W końcu zdecydowała się wstać. Cichutko wyszła z pokoju. Zeszła do kuchni, żeby wypić herbatę. To był taki jej zwyczaj. Wszystko zaczęło się w czasie, gdy urodziła się

Gabrysia, a drobne piersi Ludmiły odmawiały produkcji mleka. Był płacz małej, nerwy matki i wizja mleka w proszku. Wtedy sprawę w swoje ręce wzięła babcia. Kazała wnuczce wieczorami pić jakiś dziwny napar, który choć zapachem i smakiem przypominał starą ścierkę, okazał się bardzo skuteczny. Mleko się pojawiło, a dziecko przestało płakać.

Teraz Gabrysia była już duża i sama jadła wszystko, co wpadło jej w łapki. Jednak Ludmiła lubiła co wieczór przed snem zejść jeszcze do kuchni, żeby napić się czarnej herbaty.

Kiedy siedziała na taborecie i czekała, aż napar w kubku nabierze odpowiedniej mocy, do kuchni weszła Iza. Ludmiła obojętnie obserwowała siostrę, otwierając szafkę, wyjmując szklankę i nalewając wody. Dopiero kiedy do szklanki zostały wstawione kwiaty, coś ją tknęło.

– O! Dostałaś kwiaty. Od kogo?

Iza nie odpowiedziała, nie musiała. Wyraz jej twarzy powiedział Ludmile wszystko.

– Jaja sobie robisz? – prychnęła.

– Sorki, tak wyszło – odpowiedziała Iza, spuszczać oczy, jakby bała się, że siostra wyczyta z nich prawdę.

– Myślisz, że ci uwierzę? Tak wyszło, bo tak chciałaś. Jak zawsze. Pieprzona egoistka.

– Znalazła się święta! Tylko wstyd rodzinie przynosisz.

– Jasne, przynoszę wstyd. Zastanówmy się dlaczego. Nie wiesz przypadkiem? Nic nie przychodzi ci do głowy? Może mam odświeżyć ci pamięć?

Iza energicznie pokręciła głową. Jednak było już za późno. Ludmiła poczuła się dotknięta i zdradzona. Bardziej nawet niż wiele lat temu.

Ludzie często przypinają innym łatki. Czasem sprawiedliwie, ale częściej na podstawie powierzchownych osądów. I tak już w szkole jedna z bliźniaczek była tą grzeczną, a druga tą złą. Psociły tak samo, ale to Ludmiła, która była z natury odważna i szczerą, zawsze przyznawała się do swoich małych zbrodni. Z czasem zaczęto jej przypisywać również te, które popełniła Iza. Ludmiła się nie broniła. Czuła, że jej obowiązkiem jest chronić siostrę. Aż kiedyś obie posunęły się zbyt daleko.

Iza wcale nie była tak święta, jak się wszystkim zdawało. W czasach liceum obracała się w złym towarzystwie. Zaczęła palić i pić. Tomek Brukiewicz, zwany Brukwią, chłopak, z którym chodziła, eksperymentował z narkotykami. Najpierw były to jakieś domowej roboty dziwactwa, jak panadol rozpuszczony w wódce. Potem pojawił się absynt i marihuana, przemywane z Czech. Kilka dni po maturze poprosił Izę, żeby przyniosła coś od matki ze szpitala. Mieli zrobić sobie ostrą jazdę na cześć egzaminu dojrzałości.

No i się im udało.

Ludmiła przeżywała ten dzień we wspomnieniach tysiąc razy i zawsze bolało tak samo. Jakieś dwa czy trzy tygodnie wcześniej Maciek, chłopak, w którym kochała się od przedszkola, wyznał jej miłość. Była taka szczęśliwa. Świat stał przed nią otworem. Na ustach czuła miodowy smak pierwszych pocałunków. Snuli plany na wspólne wakacje.



Mieli jechać na Mazury, słuchać łopotu żagli, patrzeć na wodę, śpiewać przy ognisku.

Stali blisko siebie na szkolnym korytarzu i po raz kolejny rozmawiali o wyjeździe. Nie wiadomo skąd pojawiła się przy nich Iza. Powiedziała, że wieczorem Tomek urządza małą imprezę i są zaproszeni.

– Przyjdziecie, prawda? – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Raczej nie. – Ludmiła była na tym etapie, kiedy się chce mieć ukochanego tylko dla siebie.

– Będzie fajnie – przekonywała Iza.

– No dobra – niespodziewanie zgodził się Maciek.

Poszli. W domu było sporo ludzi. Zapach alkoholu i papierosów wypełniał pomieszczenia i mieszał się z potem nastoletnich ciał, tworząc toksyczną mieszankę. Ludmiła była zła, najeżona i chciała jak najszybciej wyjść. Maciek wydawał się dobrze bawić, pił piwo, wino i wódkę. Zapalił papierosa, a chłopak Izy zaproponował mu coś lepszego. Zniknęli gdzieś na górze. Ludmiła poczuła złość i wyszła. Nie doszła jednak do końca ulicy, gdy jakaś siła kazała jej zawrócić. Weszła do domu, szukała Maćka. Na dole jakieś trzy parki migdały się do siebie, dwóch kolesi w kuchni piło i bełkotało. Trzeci rzygał w łazience.

Znalazła ich w sypialni. Maciek i Iza leżeli na wielkim łóżku, a Tomek na podłodze. Ludmiłę uderzyła ich dziwna bladość. Poczowała, jak skurcz chwyta ją za gardło. Nie mogła wejść, nie mogła uciec, tylko tak trwała w odrętwieniu. Wtedy Iza cichutko jęknęła. To wyrwało Ludmiłę z letargu. Zbiegła na dół i rozpaczliwie szukała telefonu.

– Mamo, stało się coś strasznego, przyjeżdżaj – rzuciła do słuchawki.

Kilka minut później przed domem pojawiła się karetka. Potem kolejna. Ktoś zadawał dziewczynie pytania, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Sanitariusz znalazł strzykawkę i fiolkę po lekach. „O mój Boże!” – jęknęła matka.

Ludmiła nigdy nie zdołała sobie przypomnieć, jak znalazła się w szpitalu. W jednej chwili widziała twarz matki zmiętą bólem, a w drugiej siedziała już na białym korytarzu.

– Skąd to mieliście? – zapytał ktoś, a ona tylko pokręciła głową.

Przyszła matka i zaprowadziła ją do pokoju Izy. Siostra leżała oplątana gąszczem rurek. Była biała jak śnieg w styczniowy poranek. Ludmiła uznała, że siostra zapłaciła już za swój grzech.

– To moja wina, mamo – powiedziała.

Wtedy myślała, że robi coś dobrego i że na wyznaniu winy się skończy. Nic bardziej mylnego. Chłopak Izy zapadł w śpiączkę. Jego rodzice zawiadomili policję i prokuratura wszczęła śledztwo. Dla Ludmiły zaczął się koszmar. Wszyscy mieli do niej pretensje, ludzie pokazywali ją palcami, a Maciek nie chciał jej znać.

– Mogłam pójść do więzienia – wyrzuciła siostrze. – A ty nawet słowem się nie zająknęłaś, że to nie moja wina.

Iza westchnęła.

– Bałam się.

– Ale kraść prochy ze szpitala to się nie bałaś? A potem jak gdyby nic się nie stało!

Kurwa, ty mi nawet dziękuję nie powiedziałaś.

– Spłacam teraz ten cholerny dług i nadstawiam za ciebie karku.

– Czy spłacaniem długu nazywasz spotkanie się z moim facetem?  
– On nie jest twój. Pierwsza się z nim spotkałam. Myśli, że jak masz na imię?  
– To nic nie znaczy. Straciłam przez ciebie Maćka. Tu nikt nie chce się zaangażować w związek ze mną, bo mam opinię czarnej wdowy. Więc teraz odpiardol się od Bogdana albo ci łapy poobrywam!

– Sama mówiłaś, że powinnyśmy to ciągnąć, dopóki nie znajdą winnego.  
Ludmiła nie panowała już nad sobą. Jej krzyk wypełnił cały dom. Twarz wykrzywił grymas wściekłości.

– Jeśli jeszcze raz cię z nim zobaczę, zadzwonię do Pawła i powiem mu...  
O wszystkim mu powiem! – Złapała kwiaty i wyszła z kuchni.

Iza ciężko osunęła się na krzesło. Poczowała się tak, jakby dom, który od lat budowała, nagle się zawalił. Kłamstwo, kłamstwo i jeszcze trochę kłamstwa. Okłamała matkę, zdradziła siostrę, a teraz oszukuje narzeczonego.

Z zamyślenia wyrwała ją matka, która weszła do kuchni.

– Dobry wieczór, kochanie. Trochę głośno rozmawialiście z Ludmisią – powiedziała z wyrzutem.

– Słyszałaś?

– Wszyscy słyszeli. Ale tylko krzyki. Nie wiem, o co wam poszło, i wcale mnie to nie interesuje. Wracam do łóżka.

Jedwabny szlafrok zaszeleścił, gdy się odwróciła.

– Zaczekaj, mamó. Musimy porozmawiać.

Iza poczekała, aż tamta zajmie miejsce naprzeciwko.

– Ludmiła ma do mnie pretensje, bo... Pamiętasz tę sprawę z narkotykami? To ja je ukradłam – wyrzuciła z siebie i nagle poczuła ulgę. Jakby ktoś zdjął jej z serca kamień.

– Wiem.

Trochę trwało, zanim sens tego słowa dotarł do dziewczyny.

– Jak to wiesz? – zapytała drżącym głosem. – Od kiedy?

– Od początku. Och, skarbie, to, że jestem waszą matką, nie pozbawia mnie automatycznie rozumu. Wiem o was więcej, niż się wam wydaje. Ludmiła nigdy nie odwiedzała mnie w szpitalu. Ty bywałaś tam często, był czas, że przychodziłaś codziennie. To ty miałaś okazję, nie ona. To ty obracałaś się w złym towarzystwie, to ty paliłaś.

– To dlaczego pozwoliłaś, żeby Ludmiła...

– Bo tak było lepiej. Ty byłaś słaba i chora, nie dałabyś rady przez to wszystko przejść. Baliśmy się, że cię stracimy. Waszemu ojcu i mnie wydawało się to najlepszym wyjściem. Policjanci to nie idioci, wcześniej czy później znajdują winnego. Nie muszą go szukać, skoro sam się przyznaje, prawda? Potem zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby Ludmiła nie musiała za to płacić.

– Ale ona płaci. Męczy ją to, ludzie ją osądzają.

– Nie mów głupstw. Mieszkamy w małym mieście. Tu ludzie zawsze osądzają. Cudze życie jest lepsze od serialu telewizyjnego.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– A dlaczego ona mi nie powiedziała o chorobie ojca? A dlaczego ja nie

powiedziałam tobie? Chronimy naszych najbliższych przed prawdą i przed nimi samymi.

– Mamo! To okropne.

– Takie jest życie, kochanie. A teraz idź spać. Siedzenie w twoim stanie do późna w nocy jest niedopuszczalne.

Zaskoczona Iza nie potrafiła wykrztusić pytania.

– Wiem o was więcej, niż się wydaje.

Iza poszła wprawdzie do swojego pokoju, ale wiedziała, że i tak nie zaśnie. Wszystko to, co się dzisiaj wydarzyło, przewróciło jej życie do góry nogami.

## *Pięć dni temu*

Po przyjeździe na komendę Jarek Nowak spojrział na akta sprawy, leżące na jego biurku. Na samym wierzchu protokół sekcji. Niektóre dni są lepsze od innych.

– Szybko się uwinęli – sapnął do siebie z satysfakcją i przebiegł wzrokiem po gęsto zadrukowanych kartkach. Większość rzeczy wiedział, innych się domyślał, dlatego szukał najistotniejszej informacji. Sekcja potwierdziła czas zgonu. Nagle jego wzrok trafił na słowo, które zupełnie nie pasowało. „Pośmiertnie”. Jarek wrócił do tego miejsca i zaczął czytać powoli, nerwowo wciągając powietrze. Potem zebrał akta.

– Jakby mnie kto szukał, to jestem w dwunastce – rzucił do kolegów.

Wybudowana w latach siedemdziesiątych komenda była duża. Nie dla większej liczby przestępców, ale policjantów. Teraz, po kolejnych redukcjach etatów, ponad połowa pomieszczeń stała pusta. Policjanci czasem z nich korzystali, gdy trzeba było kogoś przesłuchać, w spokoju przeczytać protokół czy sporządzić notatkę.

Nowak wybrał pokój z największym biurkiem i zaczął na nim rozkładać dokumenty. Czuł się jak człowiek, który ma przed sobą pudełko puzzli. Na razie miał przed sobą rozsypankę, ale za moment rozjaśni mu się w głowie i zobaczy cały obrazek. Był o tym przekonany. Dzielił papiery na te, które nic nie wносиły, i te, z których coś wynikało. Czuł, że w tej zamotanej sprawie tylko pedanteria może mu pomóc.

Stary patrzył na Kowaluka. Bogdan wziął na siebie rozmowę z przełożonym. Bał się, że Nowak powie o jedno słowo za dużo. Jarek zbyt zaangażował się w tę sprawę i zaczynał tracić dystans. Niedobrze by było, żeby stary zobaczył go w tym stanie. A jeszcze gorzej, gdyby wywiązała się między nimi pyskówka.

– Skoro, proszę ja ciebie, musicie...

– Musimy go przesłuchać i musimy zrobić rewizję. Podejrzewamy, że miał motyw. Do tego dziurawe alibi. To są normalne procedury. Nie może być specjalnego traktowania.

– No nie może, choć mam nadzieję, że nic na niego nie znajdziecie. To porządny chłopak.

Więzienia pełne są porządnymi chłopakami. Stary robi się sentymentalny, starzeje się. Szkoda. Z drugiej strony... Nowak jest zbyt ambitny na spędzenie całego życia w tej dziurze. Przyszedł tu kilka lat temu, pnie się w górę szybko i dojdzie tak wysoko, jak tylko zdoła. Gdy się zorientuje, że nie ma już nic więcej do zdobycia, wyjedzie. A Bogdan zostanie, bo nie ma aż takich ambicji, poza tym lubi to miasto, szczególnie zaś jedną jego mieszkanekę.

Dzień mijał dziwnie zwyczajnie, tak, jakby poprzedniego wieczoru nie zostały wypowiedziane słowa, które zmieniały wszystko. Iza odwiozła dzieci do szkoły, potem je przywiozła. Pomogła babci w kuchni. Koło czwartej zaczęła się denerwować. Wiedziała, że niedługo zjawi się Ludmiła. Iza bardzo chciała porozmawiać z siostrą, a jednocześnie się bała. Słowa przygotowywanej całą noc rozmowy uciekały z pamięci. Pozostawały tylko emocje, bardzo negatywne. A przecież nie chciała kłótni. W końcu miała prawo mówić o swoich uczuciach. To nie jest tak, że tylko Ludmile stała się krzywdą.

– Ty dzisiaj, Iziu, jakaś nieprzytomna jesteś – gderała babcia. – Trzeci raz cię

proszę, żebyś wołała dzieci na obiad, a ty tylko stoisz i gapisz się w okno. No gorzej niż dziadek.

Dziewczyna otrząsnęła się z zamyślenia.

– Zaraz je zawołam.

– I dziadka przywieź. Nie będę każdemu z osobna usługiwała. Stara już jestem.

Iza zapewniła babcię, że ta wcale nie jest stara. Nie udało jej się być przekonującą, wyszła więc z kuchni, zostawiając staruszkę niedowartościowaną.

Dzieci bardzo łatwo było znaleźć. Wystarczyło iść w stronę krzyku. Natomiast trudno było stwierdzić, czy to, co się między nimi dzieje, to bójka czy zabawa.

– Macie natychmiast iść na obiad – rozkazała Iza. – Tylko umyćcie najpierw ręce.

Antoś posłusznie poszedł do łazienki, ale jego brat postanowił się zbuntować.

– Nie będę myć rąk, bo Emilka nie myje.

– Emilka też umyje. – Iza była stanowcza.

– Nie umyje. To wbrew jej zasadom. Czy wiesz, że kiedy ty marnujesz wodę na mycie i tak czystych rąk, to jakieś afrykańskie dziecko umiera z pragnienia?

– To wcale nie tak. Jeśli ty nie umyjesz rąk, to wcale nie znaczy, że ta woda magicznym sposobem trafi do Afryki – tłumaczyła Iza.

– Emilka mówi, że trafi.

Poziom irytacji Izy osiągnął maksimum.

– Emilka nie wie...

– A właśnie, że wie. I ja nie umyję rąk. Nie będę mordercą jak ty czy tatuś.

Izę замуrowało. Chciała coś powiedzieć, ale była w stanie tylko łapać powietrze i machać rękami.

– To... nie... prawda...

– Dorośli zawsze kłamią, to normalne. Emilka mówi, że musicie tak robić, bo jesteście uwikłani. Ona wczoraj siedziała w salonie, jak kłóciłaś się z ciocią, i potem nam powiedziała, że dałaś jednemu gościowi takie lekarstwo, po którym już nigdy się nie obudził. A o tatusiu to wszyscy w szkole mówią. Na początku to ich biłem, ale teraz już przestałem, bo przecież oni mi zazdroszczą. Mój tatuś będzie sławny.

– Nie wygaduj głupstw. – Iza nie była w stanie powiedzieć więcej. – Idź już na ten obiad.

Miała nadzieję, że z dziadkiem pójdzie jej łatwiej. Znalazła go drzemiącego w gabinecie. Delikatnie dotknęła pomarszczonej szarej dłoni.

– Dziadku, czas na obiad – szepnęła, a potem powtórzyła to głośniej.

Staruszek poruszył się w fotelu. Otworzył oczy i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w Izę.

– Kto ty jesteś?

– To ja dziadku, Iza.

– Jaka Iza?

– Twoja wnuczka, córka Jurka...

Dziadek spojrział na nią zirytowany.

– No przecież wiem, kim jesteś. Nie jestem głupi. Upewnić się tylko chciałem, czy się pod siebie nie podszywa.

– Kto?

Dziadek rozejrzał się badawczo po pokoju, potem dał znak dziewczynie, żeby się do niego nachyliła.

– Kostucha – szepnął.

Iza ciężko westchnęła.

– Chodźmy już lepiej na ten obiad.

Odblokowała kółka i pchnęła wózek.

– A co dziś dają? – zainteresował się dziadek.

– Barszcz czerwony i kotleta schabowego.

Dziadek mlasnął.

– Ty patrz, jak to się czasy polepszyły. Schabowy w powszedni dzień. A tak ludzie gadali na tego Gierka.

– Dziadku, Gierek już nie rządzi.

– A czemu? – Staruszek się zaniepokoił.

– Bo nie żyje.

Westchnął ciężko.

– Te ruskie go zabiły, tak? – I nie czekając na odpowiedź Izy, ciągnął: – *O tempora! O mores!* Można politykowi łeb ukręcić i nikt słowa nie powie. To wszystko przez Amerykanów. Najpierw zabili swojego prezydenta, a teraz za naszych się biorą. Mówię ci, dziecko, ta polityka to jeden wielki syf. Nie wiem, po co się nasz Krzyś do tego pcha.

W tym momencie dopadł ich Antoś.

– Dziadku, a wiesz, że nasz tato zabił pana Andrzeja?

Iza już otworzyła usta, żeby stanowczo zaprzeczyć, ale dziadek był szybszy.

– Wiem, wiem – powiedział, kiwając siwą głową. – A uczysz ty się dobrze?

– No pewnie.

– No to leć teraz do babci, niech ci da cukierka – powiedział do dziecka, a potem odwrócił się do Izy. – Za cholere nie wiem, co to za smarkacz – wyznał.

Kiedy koła wózka przetoczyły się przez próg, Iza uznała, że chwilowo ma dość życia rodzinnego.

– Dziwna jakaś ta dziewczyna – powiedział dziadek do babci. – Łazi w tę i z powrotem. Niby powinna być w pracy, a siedzi w domu.

– Bo to ta druga – wyjaśniła mu żona.

– Jaka druga?

– Druga bliźniaczka. Naszemu Jurkowi urodziły się bliźniaczki, dwie córeczki, takie same.

– Teraz rozumiem. Co za ulga, bo już myślałem, że mi się na starość rozum mąci – ucieszył się dziadek.

– Mnie, babciu, nie nakładaj, ja zjem później – powiedziała Iza. – Jakoś mi duszno, muszę się trochę przewietrzyć. I bardziej uciekła, niż wyszła.

Zła jak burza z piorunami, wypadła z domu akurat w momencie, gdy jakiś bałwan majstrował przy wiszącej na furtce skrzynce pocztowej. Trudno było dojść, czy coś do niej wkłada, czy z niej wyjmuje. Nie miało to zresztą znaczenia, bo dziewczyna potrzebowała kogoś, na kim mogłaby wyładować swoją złość.

– Co pan robi?! – krzyknęła i podbiegła do furtki. Mężczyzna trochę się cofnął, ale nie uciekł.

– *Izwinicie pażalusta...* ja chciałem... przepraszam.

– Cudze listy pan kradnie, ładnie to tak?

– Ja nic nie kradł, słowo – zapewniał zmieszany. – Ja tylko adres chciał sprawdzić, bo tu nie ma numerków.

Mówiąc, patrzył Izie prosto w oczy. Nie było powodu, żeby mu nie wierzyć.

– Tu jest numer osiemnaście – wyjaśniła i zamierzała odejść, ale chłopak ją powstrzymał.

– A wy by mogli mnie powiedzieć, gdzie taki adres jest? – To mówiąc, wyciągnął w kierunku Izy pomięty karteluszek.

Dziewczyna wzięła go przez pręty furtki. Przez chwilę wpatrywała się w dziwaczne, na poły polskie, na poły rosyjskie, litery. Wreszcie udało jej się odszyfrować adres: Różana 15. No tak, ktoś, kto nie znał miasta, mógłby pomyśleć, że to któryś z domów po drugiej stronie ulicy. Nic bardziej mylnego. Przedwojenna Rosenstrasse była jedną z nielicznych ulic, które zachowały swoją nazwę. Ciągnęła się od centrum miasta aż na peryferie, do przejazdu kolejowego i biegnącej wzdłuż niego ulicy Wałbrzyskiej. Po wojnie za przejazdem powstało kilka domów, między innymi Janickich. Żeby sobie oszczędzić pracy, jakiś urzędnik uznał, że będzie to przedłużenie ulicy Różanej. Domy numerowano w miarę, jak powstawały, zaś ulicę przedłużano w miarę potrzeb. Nie stanowiło to problemu do momentu, kiedy nieruchomości było zaledwie kilka. Ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych władze miasta postanowiły podzielić cały teren nad rzeką, do tej pory porośnięty tarninami i dzikim bzem, zwany przez miejscowe dzieciaki dżunglą, na działki pod domki jednorodzinne. Powstały trzy mniejsze uliczki, które, by ułatwić życie urzędnikom, a utrudnić listonoszom, również miały adres: Różana. Teraz nikt, kto nie mieszkał tu latami, nie był w stanie połapać się w tym galimatiasie.

– To będzie na tej ulicy obok. Taka mała, równoległa do tej, ale ślepa uliczka – wyjaśniła Iza.

– To nie tu? – Chłopak zmarkotniał.

– Nie tu.

– Co za miejsce. Człowiek pół świata przejechał... Bo ja z *Maskwy* jadę. Za robotą jadę, ech. – Machnął ręką. – To jak mówicie, tam? – I pokazał ręką w niewłaściwym kierunku.

– Zaprowadzę pana – zaproponowała uczynna Iza.

– To daleko?

– Nie, z pięćset metrów.

– To może my samochodem moim *pojedziem*? – Zadzwoił kluczykami. – Wy, Polaki, myślicie, że my nic dobrego, a u nas to się mówi „Nie zostawiaj auta w *Polsze* bez dozoru, bo ci je raz-dwa do *Maskwy* odstawią” – I roześmiał się szczerze.

Iza zrezygnowana nacisnęła przycisk otwierający furtkę. Powietrze zawibrowało mechanicznym, jakby ostrzegawczym dźwiękiem. Wyszła na ulicę i ruszyła za chłopakiem. Jego samochód, eleganckie BMW, stał kilka metrów dalej. Wsiedli obydwój. Trzasnęły zamki drzwi. Iza rozejrzała się niepewnie.

– Zamek centralny. Czasem się zacina i tak uderza – wyjaśnił chłopak. – To którądy?

Iza pokazała ręką. Ruszyli. Ale zamiast skręcić, wyjechali prosto na Wałbrzyską.

– Źle pan pojechał.

– Dobrze, dobrze.

– Ale Różana jest w tamtą stronę!

– A mój szef w tamtą. A tak sobie wydumał, że chce z panią porozmawiać, to ja podwożę.

Iza nie mogła zrozumieć tego, co się działo. Sytuacja była tak abstrakcyjna, jak obrazy Kandinsky'ego.

– To jakiś żart? – zapytała i sama się zdziwiła, jak bardzo drżał jej głos.

Chłopak nie wyglądał jednak na kogoś, kto zamierza jej wyjaśnić sytuację. Z powagą patrzył na drogę przed sobą.

– Tylko nie próbuj uciekać – ostrzegł. – Bo ci się może stać krzywda, a tego byśmy nie chcieli.

Iza odruchowo położyła rękę na brzuchu.

Wyjechali z miasta i skręcili na pustą drogę prowadzącą do starej cegielni.

– A co my tu mamy? – Suwała z radością podniósł pistolet.

Mieli już za sobą przeszukanie mieszkania Janickich. Odnaleźli mnóstwo zagubionych w akcji pluszaków, masę klocków, trochę odzieży intymnej, ale nie tych przedmiotów szukali. Wychodzili już, gdy ktoś przytomnie zauważył, że może by zajrzeć do garażu. Okazało się, że Janiccy parkowali pod blokiem. U niej w aucie nic ciekawego nie znaleźli. Za to u niego!

– Bingo! – ucieszył się Kowaluk.

Nowak milczał. Wiele wskazywało na Janickiego, ale ta broń w bagażniku i protokół z sekcji wzbudzały wątpliwości. Przecież nikt nie jest tak głupi! Chyba, że jest. Jednak bardziej prawdopodobne, że ktoś próbuje go zrobić. No nic, zobaczymy, co nam przyszłość przyniesie.

– Zaproście pana Janickiego do nas – zlecił Suwale.

– Tak normalnie zaprosić? – chłopak nie zrozumiał.

– Raczej z honorami. Jak ostatnio zapraszaliśmy normalnie, to nie przyszedł. – W oczach tamtego wciąż niezrozumienie. – Doprowadzić. W bransoletkach.

Oblicze Suwały rozjaśniło zrozumienie.

W końcu to nie zaszkodzi. Posiedzi chwilę w klatce, to zmięknie, bo bardzo jest niechętny do współpracy, pomyślał Nowak, i sięgnął po papierosa.

Dzień mijał dziwnie zwyczajnie, tak, jakby poprzedniego wieczoru nie zostały wypowiedziane słowa, które powinny paść dawno temu. Ludmiła odwiozła Gabrysię do przedszkola. Dziś był akurat Dzień Bezproblemowego Rozstania, więc dziewczynka szybko zmieniła buciki na kaptcie i pobiegła do sali, nawet nie oglądając się za siebie. Ludmiła ciągle nie mogła zrozumieć mechanizmu, który sprawiał, że jednego dnia jej dziecko wesoło biegło do koleżanek, by innego, uczonej jej nogi jak koala eukaliptusa, darło się jak opętane.

W pracy zakopała się w stosie papierów. Nikt się do niej nie odzywał i ona też nic



nie mówiła. Udawała, że nie czuje atmosfery gęstej jak dobra śmietana, bo cóż innego mogła zrobić? Bez względu na to, jak zakończy się ta sprawa, ludzie tutaj będą snuć domysły jeszcze przez lata.

Koło czternastej okazało się, że dzień wcale nie zamierza minąć niezapamiętany.

Najpierw zadzwonił telefon. Nieznany lokalny numer. Pomyślała, że to z przedszkola, i odebrała prawie natychmiast.

– Czy pani Ludmiła Janicka? – zapytał ostry męski głos.

– Tak – potwierdziła niepewnie.

– Mówi sierżant Suwała z komendy policji. Dzwonię, bo zatrzymana przez nas osoba chciała powiadomienia osoby bliskiej.

– Przepraszam pana, ale ja nic nie rozumiem.

– Zatrzymana przez nas osoba wyraziła chęć, by powiadomić osobę bliską.

– Rozumiem, co pan mówi. Nie rozumiem, co znaczą te słowa.

W słuchawce zapanowała cisza. Ludmiła uznała, że teraz dla odmiany sierżant Suwała nie rozumie.

– Jeżeli osoba zatrzymana wyrazi wolę, żeby o zatrzymaniu powiadomić osobę bliską, to my powiadamy. – Na koniec sapnął. Chyba męczyła go ta rozmowa. Ludmiłę też. Czowała, że dzieje się coś niedobrego, a policjant przekazuje jej złe wieści.

– Kto jest tą osobą? – zapytała w końcu.

– Pani Ludmiła Janicka.

– Zatrzymaną osobą.

– A nie mówiłem?

– Nie wydaje mi się.

– Krzysztof Janicki.

– Został aresztowany? – głos jej zadrżał.

– Dla dobra śledztwa nie mogę ujawnić takich danych.

– Podejrzewacie go o coś?

– Dla dobra śledztwa nie mogę ujawnić takich danych.

– Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek?

– Ze względu na dobro śledztwa nie.

– To dziękuję panu bardzo za powiadomienie. – Rozłączyła się i nerwowo cisnęła telefon na biurko. – Zaraz tam będę – powiedziała już tylko do siebie.

Złapała swój zakiet i torebkę i ruszyła do wyjścia. Przechodząc obok pokoju szefowej, poinformowała, że właśnie wychodzi.

– Nie możesz sobie ot tak wyjść – usłyszała.

– Przykro mi, ale muszę. Jednak ze względu na dobro prowadzonego śledztwa nie wolno mi ujawniać żadnych informacji.

W innych okolicznościach mina szefowej pewnie by ją rozbawiła.

Dopiero kiedy wyszła na ulicę i zatrzymała się, by znaleźć kluczyki, zaczęła myśleć logicznie. Jej wizyta na komendzie pewnie nic nie da. Za to może długo trwać. Trzeba odebrać Gabrysię i zawieźć ją do domu. I zadzwonić do Bogdana. Może on coś powie. Na przykład to, czy Krzysiovi potrzebny jest adwokat.

Gabrysia tego dnia zachowywała się, jakby wcale nie była sobą. Na widok Ludmiły

podniosła się z dywanu, odniosła samochodzik, którym się bawiła, na półkę, podeszła do matki i podała jej pulchną rączkę.

– Grzeczna jakaś – zwróciła się Ludmiła do opiekunki.

– Ona zawsze jest grzeczna.

Prychnięciem wyraziła powątpiewanie. Przecież opiekunka nie mogła już zapomnieć o dzikim breakdansie, który zaledwie wczoraj odstawiła Gabrysia na wieść, że czas wracać do domu.

– Pani nie ma skali porównawczej. – Przedszkolanka się uśmiechnęła. – Ja wiem, które są naprawdę niegrzeczne. To dobre dziecko, tylko czasem nie panuje nad emocjami.

Ma to po matce, pomyślała Ludmiła samokrytycznie.

Dojechały do domu i Janicka zaparkowała na chodniku, dokładnie naprzeciwko furtki. Cierpliwie czekała, aż córka wygramoli się z auta.

– Mogę iść do piaskownicy? – zapytała Gabrysia.

Ludmiła rzuciła nienawistne spojrzenie w stronę góry mokrego piasku ogrodzonej deskami. Pomyślała o żółtych plamach na spodniach, których nie dawało się usunąć, i o ziarenkach, które następnego dnia znajdzie na dywanie, w łóżku i własnych włosach.

– Możesz – rzuciła zrezygowana. – Tylko nie pobrudź spodni – dodała, bo siedzący w niej rodzic krytyczny głośno się tych słów domagał, i ruszyła w stronę domu.

W salonie byli wszyscy, poza Izą. Ludmiła przywitała się szybko, ale tylko babcia raczyła jej odpowiedzieć. Bratanica gapiła się w telefon, bratankowie i dziadek w telewizor. Matka, jak na strażniczkę intelektualnych wartości przystało, czytała książkę.

Poszła na górę, pewna, że zastanie siostrę w jej pokoju, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Otworzyła nieśmiało. Pomieszczenie było puste. Kiedy schodziła, zauważyła, że na komodzie w przedpokoju leży torebka Izy. Coś ją tknęło. Zajrzała. W ogromnym bałaganie, między masą paragonów i zużytych chusteczek higienicznych leżał portfel. I telefon!

– Gdzie Iza? – zapytała zebranych w salonie. Znowu tylko babcia jej odpowiedziała, a nawet nie odpowiedziała, tylko wzruszyła ramionami.

– Czy ktoś z was wiedział Izę? Gdzie ona jest?

Matka ciężko westchnęła i odłożyła książkę.

– Ale o co ci chodzi, kochanie?

Bo ja rozumiem słowa, ale nie rozumiem, co one znaczą, z pewnym cynizmem pomyślała Ludmiła.

– Potrzebna mi Iza. Natychmiast.

– Chyba poszła na spacer – wyjaśniła babcia.

– Nie mówiła dokąd? Kiedy wyszła?

– Nie gorączkuj się – upomniała matka. – Przecież ma prawo wyjść na spacer.

Coś się musiało stać. Żadna normalna kobieta nie wyjdzie z domu bez torebki, miała powiedzieć Ludmiła, ale zmieniła zdanie. Nie chciała wzbudzać niepokoju. I tak za moment dom ogarnie chaos, niech tylko wiadomość o aresztowaniu dotrze do tego salonu.

– Okej! Jak wróci, powiedzcie, że jej szukałam, i to pilne. Wie ktoś przynajmniej, o której wyszła?

Wtedy babcia przypomniała sobie, że Iza wyszła w czasie obiadu.

– Nie chciała jeść. A i Emilka narzekała. Odmówiła kotlecików.

Emilka, słysząc swoje imię, podniosła głowę i potoczyła po obecnych błędnym wzrokiem.

– Jak nie będziesz jadła mięsa, to będziesz chuda i żaden mężczyzna nie będzie się chciał z tobą ożenić – poinformowała ją prababcia.

– To nie. I tak nie zamierzam wychodzić za mąż – zripostowała dziewczyna.

Ludmiła nie czekała na ciąg dalszy. Wyszła. Już odpalała samochód, kiedy przypomniała sobie, że potrzebuje komórki Izy, żeby zadzwonić do Bogdana. Szybko wróciła do domu i chwyciła torebkę siostry.

– Jak Iza wróci z przechadzki, to powiedzcie, że jej szukałam – rzuciła głośno w stronę salonu.

– Chyba przejeżdżki – poprawiła ją Emilka i Ludmiła zatrzymała się w pół kroku.

– Jak to? Wyjeżdżała gdzieś? Wydawało mi się, że jej samochód stoi w garażu.

– Pojechała z jakimś gościem – wyjaśniła dziewczynka.

Ją też zatrzymali, pomyślała. A na głos zapytała:

– To był taki wysoki, bardzo umięśniony facet, brunet, w źle dobranej marynarce?

– Normalnie jak byś mówiła o tym gościu, co się z nim ciotka lizała pod szkołą – zauważyła Emilka. – Ale to nie był on. Ten był szczupły, młody, w luźnym ubraniu.

– Dżinsy i szara bluza z kapturem?

– Znasz go? – Emilka nieznacznie się ożywiła.

– Ożeż kurwa! – rzuciła Ludmiła w odpowiedzi.

– Ludmiło! Proszę cię, nie używaj wulgaryzmów przy dzieciach – upomniała ją matka.

Te dzieci znają więcej wulgaryzmów niż ja, cynicznie pomyślała Ludmiła, biegnąc do samochodu. Ruszyła z piskiem opon.

Dopiero kiedy wjechała na obwodnicę, uświadomiła sobie, że słyszy za sobą szelesty. Odwróciła się. Na podłodze między siedzeniami przykucnęła Gabrysia.

– Cholera! Co ty tu robisz?

– Zapomniałam zabrać Pana Chrumka – wyjaśniła przestraszona dziewczynka. Podniosła coś, co kiedyś było różową kulą pluszu. Teraz Pan Chrumek nie był ani kulisty, ani różowy. Szereg nocy, kiedy służył za poduszkę, spłaszczył go znacznie. Wizyty w przedszkolu, sklepie, piaskownicy i wszędzie tam, gdzie bywała Gabrysia, sprawiły, że poszarzał. Ale im bardziej był brudny i niekształtny, tym bardziej dziewczynka go kochała. Był najważniejszą rzeczą w jej małym świecie. – Jak otworzyłaś samochód, to po niego wróciłam. A wtedy ty ruszyłaś – powiedziała z wyrzutem.

Ludmiła zjechała na pobocze. Zauważyła, że ręce jej się trzęsą.

– Wskakuj na fotelik – rozkazała. Przypięła córkę i pocałowała w czoło. – Powinnaś od razu powiedzieć, że tu jesteś. Zaraz wrócimy do domu. Sprawdzę tylko jedną rzecz i wracamy, okej?

Dziewczynka kiwnęła główką i po chwili czerwona mazda znów była na szosie. Kierująca nią dziewczyna dobrze wiedziała, co powinna w tej chwili zrobić. Powinna zawrócić, powinna odwieźć dziecko w bezpieczne miejsce i powinna pójść na policję.

Gdyby nie widziała dokumentów z pendrive'a, pewnie by tak zrobiła. Gdyby ich nie widziała, to Iza siedziałaby teraz w domu i robiła te swoje durne miny najmądrzejszej na świecie osoby. Tylko że Ludmiła je widziała. Dlatego Izę porwali, a potem zabijają. Może już to zrobili? Po jej plecach przebiegł dreszcz. Oto powód, dla którego musi działać szybko. I myśleć w miarę logicznie.

Ludmiła z pewnym trudem odnalazła zjazd do cegielni. Droga była pusta, na placu przed budynkiem żywej duszy. Skręciła w krzaki i zaparkowała samochód tak, żeby nie był widoczny. Nagle dotarła do niej całkowita nierealność tej sytuacji. To się nie dzieje – pomyślała. Ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, jakby była obok rzeczywistości. Jakby zwłoki Andrzeja Musiała nie leżały nigdy w gabinecie Krzysztofa, jakby ona nie włączyła nocą do cudzego domu, jakby nie było jej tu teraz. Wracaj do domu – powiedziała do siebie. – Iza pewnie już tam jest. Wyciągnęła rękę, żeby przekręcić kluczyk, gdy nagle w jej głowie rozległ się przeraźliwy krzyk siostry.

Ludmiła czytała o tajemniczej więzi, która łączy bliźnięta, ale zawsze odnosiła się do tego sceptycznie. Nie czuła się szczególnie związana z siostrą. Miały innych znajomych, czytały różne książki i chodziły własnymi drogami. Ubierały się i czesały podobnie, ale tylko dlatego, że tak dyktowała im wspólna uroda. Więc kiedy Iza wyjechała, Ludmiła nie czuła braku, tylko ulgę. Jak w chwili, gdy otwiera się okno, by wpuścić świeże powietrze.

Jednak w tym momencie poczuła się tak, jakby siedziała w głowie swojej siostry. Czuła jej strach i szybkie bicie serca. Widziała wnętrze wielkiej hali. Jednak przede wszystkim słyszała krzyk. To było przerażające.

– Gabrysiu – zwróciła się do córki, a głos jej drżał – muszę wyjść na chwilkę.

– Siku?

Popatrzyła na dziecko nieprzytomnym wzrokiem.

– Tak, siku. I chcę, żebyś tu została.

– Nie będę podglądać, obiecuję.

Matka wiedziała, ile warta jest ta obietnica.

– Posłuchaj mnie. Wiem, że jesteś mała i nigdy mnie nie słuchasz, bo jesteś uparta, a ja niekonsekwentna, ale jeśli się stąd ruszysz, to będzie szlaban na telewizję i... i wypiorę Pana Chrumka – zagroziła. A potem rzuciła się ku córce, mocno ją przytuliła i ucałowała. Ten nagły wybuch matczynej czułości przeraził dziecko bardziej niż groźba.

– Będziemy grzeczni, Panie Chrumku – mała zwróciła się do maskotki. – Wiem przecież, jak nie lubisz wody. Nic się nie bój. Ze mną nic ci nie grozi.

Ludmiła przedzierała się przez krzaki. Bała się iść drogą, a później placem przed cegielnią. Na szczęście teren wokół budynku był bardzo zaniedbany. Wzdłuż starej siatki rosły kępy dzikiego bzu. To wykluczało możliwość, że terenu pilnuje stado wygłodniałych dobermanów. Dziewczyna doszła do miejsca, gdzie ścianę budynku dzieliło od siatki zaledwie kilka metrów. Wspięła się na ogrodzenie. Usłyszała odgłos prutego materiału, ale w tej chwili dziura w najlepszych dżinsach była jej najmniejszym problemem.

Na tyłach budynku, obok kupy śmieci znajdowały się zwykłe metalowe drzwi. Ludmiła nacisnęła klamkę. Trochę ją zaskoczyło, że otworzyły się od razu. Najciszej jak

potrafiła, weszła do środka. Nagle przystanęła. W ogromnej pustej hali było cicho, tak cicho, że słyszała bicie swojego serca. Przystanęła. Hala była bardzo duża. Wypełniały ją skrzynie i worki. Pod jedną ścianą stały zaparkowane trzy wózki widłowe i mała biała furgonetka, obok której wałały się polibacyjne śmieci. Po przeciwnej stronie znajdowała się dziwna konstrukcja z desek i cegieł. Obok niej Ludmiła zobaczyła stół zбитy z desek i proste drewniane krzesło, do którego przywiązana była Iza. Głowa siostry zwisała na pierś, a potargane włosy zasłaniały twarz.

Ludmiła rozejrzała się uważnie dookoła. Nic nie wskazywało na to, żeby był tu jeszcze ktoś. Mimo to podchodziła do siostry najciszej, jak umiała. Dotknęła jej ramienia. Przestraszona Iza zeszywniała i gdyby nie to, że usta miała zaklejone taśmą izolacyjną, pewnie całą halę wypełniłby jej krzyk.

– Iza, to ja – szepnęła.

Siostra podniosła na nią oczy i Ludmiłę aż ścisnęło za serce, tyle było w nich bólu i rozpacz. Na dodatek na twarzy czerwienią i fioletem rozkwitały ślady bicia.

– Cholera jasna! Wyglądasz jak ktoś, kto przesolił zupę – próbowała żartować. – Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz cię stąd uwolnię. – Rozejrzała się za czymś, czym dałoby się przeciąć więzy.

To zadziwiające, jak wiele bezużytecznych przedmiotów można znaleźć w pustej hali przemysłowej. Było tu dosłownie wszystko – z wyjątkiem jakiegokolwiek ostrza. Ludmiła była coraz bardziej zdenerwowana i coraz bliższa, by wynieść stąd siostrę razem z krzesłem. Gdyby ktoś zostawił kluczyk w stacyjce jednego z wózków widłowych, na pewno by tak zrobiła. Nagle, w przeblysku geniuszu, uświadomiła sobie, że wchodząc tu, widziała kilka puszek i butelek po piwie. Pobiegnęła ku furgonetce, gdzie się wałały, stłukła jedną i z kawałkiem szkła wróciła, by przeciąć taśmę izolacyjną, którą skrępowana była Iza.

– Z ust sama sobie zerwij – zaproponowała.

W odpowiedzi Iza popatrzyła na nią błagalnie.

– Ale to będzie bolało jak sam sukinsyn.

Wzrok siostry mówił, że to nic, więc Ludmiła szarpnęła gwałtownie. Myślała, że będzie trochę jak z plastrami do depilacji, ale się pomyliła. Taśma darła skórę i masakrowała delikatne wargi, zostawiając czerwony ślad, a Iza wygięła się z bólu.

– Przepraszam – szepnęła Ludmiła.

– Przyjechałaś po mnie – powiedziała wreszcie. – Myślałam, że tu umrę.

– Nie dziś, siostrze. Dasz radę iść?

– Ścierplam. Za chwilę tak. – Iza w milczeniu rozcierała przeguby. – Myślę, że ukradłam im jakieś dokumenty. Tłumaczyłam, że to pomyłka, ale nikt mi nie wierzył. Mówili, że mają nagranie. – Mówiła szybko, jej głos aż wibrował od emocji. Podniosła na Ludmiłę pełne łez oczy. – A ty po mnie przyszłaś. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Ludmiła westchnęła.

– Pamiętasz, jak po maturze zaćpaliście? Wyszłam. Wracalam do domu i wtedy usłyszałam w głowie twój krzyk. Tak było i dziś.

– Powiedziałaś ci, gdzie jestem? – dociekała Iza.

– Lepiej ci już? – Ludmiła zapytała, zamiast odpowiadać. Nie widziała powodu,

żeby wtajemniczyć siostrę we wszystko, co się stało.

– Wiesz, najbardziej bałam się, że stracę...

– Wiem, to też mi powiedziałaś. A teraz się zbierajmy.

Były przy tylnych drzwiach, kiedy usłyszały chrzęst żwiru na podjeździe. Ktoś przyjechał. Zamarły przerażone. Ludmiła pierwsza doszła do siebie.

– Posłuchaj mnie, bo mamy mało czasu. Pobiegiesz prosto, przy tamtym krzaku przejdiesz przez płot. Dalej pójdziesz przez chaszczę. Jakies dwieście metrów stąd, przy drodze, stoi mój samochód. Kluczyki są pod siedzeniem. Odjedziesz stąd, nie oglądając się za siebie.

– A ty?

– Ja na trochę zajmę twoje miejsce. Dawaj kurtkę.

– Oszalałaś? Musimy uciekać. Obie!

– Jak się zorientują, że cię nie ma, zaczną szukać, możemy nie zdążyć uciec. Obie!

– Jeśli dobiegniemy do samochodu...

– Oni też mają samochód. To źli ludzie, siostrzyczko. Pewnie mają pistolety. A ja za nic w świecie bym nie chciała, żeby strzelali w mój samochód. Bo tak się składa, że siedzi tam moja córka.

Spojrzenie Izy wyrażało, jak bardzo nie potrafi uwierzyć w nierozwagę siostry.

– Wzięłaś Gabrysię?

– To długa historia, a my nie mamy czasu. Jak tylko ruszysz, zadzwoń do domu, żeby pod żadnym pozorem nikogo nie wpuszczali. I jedź na policję. Porozmawiaj z... z Nowakiem. Powiedz, że w urzędzie na moim kompie jest dokument „bogdan”; tak wiem; a hasło to „gabrysia”. Treść mu wiele wyjaśni. Potem bądźcie łaskawi mnie uratować. Idź już. Nie, zaczekaj! – Chwyciła siostrę za rękę. – Gdyby coś mi się stało, obiecuj, że będziesz kochała moje dziecko równie mocno jak to. – Wzrokiem wskazała na brzuch siostry.

– Wiesz, że tak. – Iza spojrzała jej głęboko w oczy, ale nie zdołała z nich nic wyczytać. – Dlaczego to robisz?

– Jeśli coś pójdzie nie tak... nie płacz, powiedziałam przecież „jeśli”... Nie chcę, żebyś straciła szansę przekonania się na własnej skórze, jakim koszmarem potrafi być macierzyństwo. Odepchnęła próbującą się przytulić siostrę i pobiegła w głąb hali. Zajęła miejsce na krześle i byle jak okleiła sobie nogi resztkami taśmy. Wtedy zdała sobie sprawę, że jej twarz wygląda całkiem ładnie. Podniosła kawałek szkła i przejechała nim po policzku. Zapiekło. Syknęła. Odsunęła nogą resztkę butelki. Przyłożyła kawałek taśmy do twarzy. Nie przykleił się zbyt mocno. Miała nadzieję, że wygląda wiarygodnie. Przynajmniej na tyle, żeby kupić Izie czas potrzebny na ucieczkę.

– Strasznie długo robiłaś to siku – powiedziała z wyrzutem Gabrysia, gdy Iza wsiadła do samochodu. – A może brzusek cię boli?

Iza walczyła ze skurczem, który ścisnął jej gardło.

– Nie kochanie, wszystko w porządku – powiedziała, a wielkie łzy płynęły jej po policzkach.

– Ty nie jesteś mamusią, tylko ciocią – zauważyła Gabrysia. – Co ci się stało w buzi? – W oczach dziecka pojawiły się łzy. – Gdzie jest moja mamusia?

Iza wyjęła spod siedzenia kluczyki.

– Musi tu chwilę poczekać na jednego pana. A my tymczasem pojedziemy do domu.

– Chcę do mamusi – zapłakała Gabrysia, czując, że dzieje się coś złego.

Iza nic nie powiedziała. Z jedną ręką na kierownicy drugą grzebała w schowku, rozpaczliwie szukając telefonu siostry, bo przecież swój zostawiła w torebce, w domu. Znalazła, chciała wybrać numer, ale wtedy pojawił się komunikat „Wprowadź kod PIN”. Zaklęła i wrzuciła aparat z powrotem do schowka.

Kiedy wyjechała na główną drogę, wcisnęła gaz. Mazda wystrzeliła przed siebie. W całym swoim życiu Iza nigdy nie jechała tak szybko. Nigdy też nie złamała tylu przepisów. Każdego innego dnia przejmowałaby się własnym zachowaniem. Ale nie dziś. Dziś musiała uratować tyłek swojej bohaterkiej siostrze.

Niestety, rzeczywistość daleka była od wyobrażeń, w których wystarczy krzyknąć, a już ekipa ratunkowa ruszy z odsieczą. Iza, wchodząc na komendę, wpadła w tryby dziwnej biurokratycznej maszyny, której działania za nic nie mogła zrozumieć.

Siedzący w okienku na wprost drzwi wejściowych chłopak przywitał ją pytaniem, w czym może pomóc.

– Moja siostra została porwana. To znaczy ja zostałam porwana, ale moja siostra mnie uratowała i teraz ona jest w łapach bandytów.

– Rozumiem. Czyli chce pani zgłosić zgłoszenie?

– Nie. Chcę, żeby ktoś ją uratował.

– Dobrze, zajmiemy się tym. Najpierw musi pani zgłosić zgłoszenie.

Iza czuła, jak cała dygocze z nerwów. Myśl o tym, co przechodziła i przez co prawdopodobnie przechodzi w tej chwili Ludmiła, była nie do wytrzymania.

– Oni ją zabijają! – krzyknęła.

Policjant spojrział na nią łagodnie, choć bez współczucia.

– Rozumiem. Ale bez pani zgłoszenia nie możemy podjąć żadnych czynności.

Pomogę pani, dobrze?

Kiwnęła głową.

– Chce pani zgłosić skargę, tak?

– Nie. Chcę, żeby ktoś uratował moją siostrę.

– Która została porwana?

– Tak.

– Przez kogo?

– Nie wiem.

Chłopak mruknął pod nosem coś, co z pewnością nie było miłe. Otworzył segregator i wyjął z niego jakiś druk. Podał go Izabeli.

– Pan raczej sobie ze mnie żartować, prawda? – zapytała, wertując kilkustronicowy formularz.

– Ależ skąd, proszę pani. To standardowa procedura.

– Jak zabijają moją siostrę... – Głos Izy się załamał. W tej chwili Gabrysia, która siedziała cichutko pod ścianą, podbiegła do Izy i się rozpłakała. – Gdzie moja mamusia? Ja chcę do mamusi!

– Czy mogę rozmawiać z panem Nowakiem? – zapytała, próbując uspokoić dziecko. Chłopak zrobił taką minę, jakby nie wiedział o czym mowa.

– Pracuje tu u was Nowak. Taki wysoki, muskularny...

– Starszy aspirant Jarosław Nowak?

Iza westchnęła z ulgą. Tak, właśnie o niego chodziło.

– On nie zajmuje się przemocą w rodzinie.

Obita twarz i płaczące dziecko z brudnym pluszakiem – Iza zdała sobie sprawę, jak wyglądają. Uśmiechnęła się blado.

– Znam pana Nowaka – powiedziała. – Mam dla niego ważne informacje dotyczące śledztwa, które prowadzi. Proszę go o tym zawiadomić.

– Starszy aspirant Jarosław Nowak aktualnie przebywa poza komendą, ale mogę przyjąć od pani zeznanie – poinformował policjant.

Iza czuła, że jeszcze moment i będzie krzyczała głośniejsze niż Gabryś. Będzie się darła tak głośno, że usłyszy ją cała komenda, a nawet Nowak, gdziekolwiek jest.

– Chce pani złożyć to zeznanie?

Kiwnęła głową. Chłopak zabrał jej wcześniejszy plik i zastąpił go nowym, równie grubym. Dziewczyna wzięła go w drżące palce.

– Może pomogę – zlitował się. – Proszę podać imię, nazwisko, datę urodzenia i okazać dowód tożsamości.

– Nazywam się Izabela Janicka. Dokumenty zostawiłam w domu. Może pan zadzwonić do pana Nowaka – za nic nie pamiętała jego dziwnego stopnia – i powiedzieć mu, że czekam?

Złapała za rękę Gabryś i poszła usiąść na krześle pod ścianą.

– O popatrz, tu jest długopis. Chcesz porysować? – I podała dziecku formularz.

Policjant wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Jarek? Czekasz tu na ciebie pani Janicka. Mówi, że to pilne. – Przerwał, patrzył na Izę. – No wygląda na pilne. Sam zobaczysz. – Odłożył słuchawkę. – Będzie za pięć minut – poinformował Izę.

Jarek Nowak zjawił się na komendzie dokładnie pięć minut później. Na jego widok Iza zerwała się z krzesła i odetchnęła z ulgą. Nowakiem, kiedy ją zobaczył, wstrząsnęło.

– Ktoś powinien opatrzeć pani twarz – powiedział na dzień dobry.

Iza odruchowo dotknęła policzka, jakby chciała sobie przypomnieć, co z nim nie tak. Ból przeszył jej twarz.

– Może później. Teraz muszę z panem porozmawiać.

– Chodzi o pani brata? – próbował zgadywać Nowak.

– Nie, skąd – obruszyła się. – Chodzi o moją siostrę.

Brwi Nowaka podjechały do góry, jednak pytanie nie padło.

– Proszę ze mną – ręką wskazał Izę drogę. Skinęła głową i wyciągnęła rękę do Gabrysi. – Dziecko nie może być świadkiem przesłuchania. Czy ktoś może ją zabrać do domu?

– Może tu zostać? – zapytała Iza błagalnym tonem.

Nowak gryzł się przez chwilę.



– Zorganizuj małej jakąś niańkę – poprosił policjanta z dyżurki. – Proszę chwilę poczekać, przyniosę tylko odpowiedni formularz.

– Oczywiście – powiedziała Iza słodko. – Proszę jednak pamiętać, że jeśli moja siostra zostanie w tym czasie zamordowana, to pozwę policję za opieszałość.

Po twarzy Nowaka widać było, że ma na końcu języka ciętą ripostę, jednak po chwili wahania zdecydował się jej nie wypowiadać.

– Wszystko musi być w papierach.

Iza klęła w myślach tak, że gdyby słowa miały siłę sprawczą, Nowak w tej chwili sikałby w majtki.

– Moja siostra została porwana – powiedziała Iza. Nowak nie wyglądał jak ktoś, na kim jej słowa zrobiłyby wrażenie. – Ktoś musi tam pojechać i ją uwolnić. – Oblicze Nowaka przypominało błękitne niebo w letni dzień, absolutnie bezchmurne, spokojne i dalekie. – Błagam pana, on może ją zabić. Proszę spojrzeć, co mi zrobił. – I odwróciła twarz tak, żeby opuchnięty policzek znalazł się na wprost oczu Nowaka.

– Kto to był? – zapytał.

– Nie wiem. Nie znam tych ludzi. Ludmiła też nie. – Nagle przypomniały jej się słowa siostry. – Wszystko jest na komputerze, w jej pracy. Dokument „bogdan”, hasło „gabrysia”.

– Proszę mi powiedzieć, czy to ma coś wspólnego z pani bratem.

– Nie wiem. Ludmiła mówi, że tak. – Na wspomnienie siostry jej oczy napełniły się łzami. – Oni mogą ją zabić, może już zabili. Proszę mi pomóc. Ja zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi. Mówiłam Ludmile, że to się źle skończy. Nie powinnyśmy się zamieniać, a ona powinna się przyznać, że znalazła zwłoki.

Nowak ożywił się, jak pies, który usłyszał słowo „spacerek”. Aż dziwne, że nie zaczął merdać ogonem, pomyślała Iza.

– Co pani ma na myśli, mówiąc, że to siostra znalazła zwłoki?

– To, że je znalazła. Spanikowała, więc się zamieniłyśmy. Wydawało nam się, że na tym się skończy. To znaczy mi się wydawało, bo jak się okazuje, Ludmiła miała na ten temat inne zdanie. Zabrała coś tym bandzirom, a oni mnie porwali, myśląc, że ja to ona. Ludmiła mnie odnalazła i uratowała. Miałymy razem uciec, ale wtedy oni wrócili, więc Ludmiła zajęła moje miejsce, żeby nikt się nie zorientował.

Nowak uśmiechnął się z przekąsem.

– I według pani nikt się nie zorientuje?

– Wiele osób ma problemy z odróżnieniem bliźniąt jednojajowych, gdy widzi je osobno – powiedziała Iza, zabijając uśmiezek, który wciąż się błakał po ustach Nowaka. Teraz policjant wpatrywał się w nią osłupiały.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jej nie wierzę i zamierzam aresztować za utrudnianie śledztwa?

– Gdyby tylko o mnie chodziło, powiedziałabym, że mam w dupie, co pan zamierza. Martwię się o siostrę. Nie musi mi pan wierzyć. Jesteśmy z Ludmiłą bliźniaczkami jednojajowymi, i to z tych prawie identycznych. Bez problemów sprawdzi pan to w dokumentach. Nasza matka chętnie pokaże panu zdjęcia.

Nowak milczał, skupiony. W końcu zapytał:

– Wyjaśni mi pani wszystko?

– Tylko pod warunkiem, że uratuje pan moją siostrę. – Wargi Izy pulsowały bólem. Nowak kiwnął głową. Wyciągnął telefon i wyszczeakał polecenia, by patrol sprawdził cegielnię.

– A teraz znajdziemy miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Przeszli przez duże pomieszczenie, które na dobrą sprawę mogło wyglądać jak niechlujne biuro. Każdy mebel reprezentował inny styl i epokę. Najnowsze były niedoczyszczone tablice magnetyczne. Płataninę kabli utrzymywała na podłodze srebrna taśma izolacyjna. Na końcu pomieszczenia stało duże biurko, a przy nim dwa krzesła i olbrzymia szafa pancerna, ozdobiona doniczką. Roślina, która w teje kiedyś rosla, musiała odejść z tego świata w męczarniach.

– Pójdę po formularze. Za chwilę do pani wrócę. Proszę tu na mnie zaczekać – rzucił Jarek i już miał odejść, gdy drzwi sąsiedniego pokoju się otworzyły i stanął w nich zakuty w kajdanki Krzysztof Janicki, a za nim dwóch mundurowych.

– Przenosimy go do aresztu – rzucił jeden z nich.

Nowak nie odpowiedział. W ostatniej chwili złapał osuwającą się Izę.

Metalowe drzwi skrzypnęły nieprzyjemnie. Ludmiła podniosła głowę, by lepiej widzieć. W prostokacie światła dostrzegła zarys szczupłej chłopięcej sylwetki. Stał tak przez chwilę, ale nie widziała jego twarzy. Poznała go dopiero, kiedy wszedł do środka.

– No i jak? – zapytał chłopak, ale Ludmiła nie odpowiedziała. W myśli przeklinała swoją głupotę, bo dałyby sobie z nim radę. Przestała się obwiniać, gdy chwilę później pojawiło się jeszcze dwóch mężczyzn.

Pierwszy z nich był wysoki i dobrze zbudowany. Chodził sprężystym krokiem człowieka pewnego siebie i władzy, którą posiada. Jego niemłoda twarz była ciągle ładna. Uśmiechał się, ale w jego oczach nie było radości. Nie było też w nich nienawiści czy złości. Nic w nich nie było i to sprawiło, że Ludmiła poczuła strach. W ustach jej zaschło, po plecach przeszedł jej dreszcz.

– Boisz się mnie?

Nie odpowiedziała. Przyglądała mu się uważnie. Czy to ten człowiek uderzył jej siostrę?

– Zastanawiasz się, kim jestem? Co to za człowiek, że go nie znasz, a się boisz? A ja jestem zwykły biznesmen...

W tej chwili drugi mężczyzna chrząknął. Stał przy drzwiach, ale trochę z boku, poza polem widzenia Ludmiły.

Wysoki odwrócił głowę i spojrzał na chrząkającego.

– O co chodzi? – zapytał. Tamten nie odpowiedział na głos, ale musiał wykonać jakiś gest, bo na twarzy wysokiego odmalowała się wesołość. – Mój przyjaciel się niecierpliwi – wyjaśnił Ludmile. – Widzisz, on od wielu lat rozmawia z ludźmi, którzy nie chcą z nikim podzielić się swoją wiedzą. A z nim jakoś się dzielą. On bardzo lubi swoją pracę i dlatego teraz się niecierpliwi. To jak będzie, wolisz powiedzieć mnie czy jemu?

Ludmiła skinęła głową.

– Miszka, zerwij jej plaster, tylko tak, żeby zabolalo – rozkazał wysoki.

Nie bolało, ale Ludmiła darła się tak, że aż po hali niosło się echo. W oczach mężczyzny przez moment było widać satysfakcję, potem wróciła pustka.

– Masz coś, co do mnie należy, prawda?

Ludmiła skinęła głową.

– Jak teraz możesz mówić, to odpowiadaj.

Podniosła na niego oczy.

– Mam wiele rzeczy – powiedziała.

Roześmiał się.

– To brzmi lepiej niż: „Nie rozumiem, o co chodzi, to jakaś pomyłka” – mówił piskliwie. To przedrzeźnianie dziewczyny sprawiło mu radość. – A czy wśród rzeczy, które masz, jest mały srebrny pendrive?

Pochylił się. Jego oczy znajdowały się na wprost oczu Ludmiły. Czują jego oddech, w którym żołądkowe wyziewy tylko nieznacznie maskował zapach tytoniu.

– No jak, jest czy nie?

– Być może – odpowiedziała Ludmiła. Bała się jak nigdy dotąd, ale instynkt podpowiadał jej, że nie może tego pokazać, bo wtedy on uzyska przewagę.

– Być może, mówisz. A możesz mi powiedzieć, być może gdzie?

Gapił się przy tym na Ludmiłę, ale wytrzymała to spojrzenie.

– Dobrze schowałam.

– „Dobrze schowałam”! W szufladzie? W domu? Myślisz, że nie znalazłbym sposobu, żeby tam wejść?

Pokręciła głową.

– W pracy.

Mężczyzna odwrócił się do chłopaka.

– Ty *znajesz* Miszka, gdzie ona pracuje?

– Jasne. W urzędzie miasta.

Nagle halę wypełnił śmiech. Mężczyzna rechotał głośno, aż oczy zasły mu łzami.

– Kochanieńka, schować coś przede mną w urzędzie miasta, to jak podać mi to na tacy. Zbieramy się – rzucił w stronę tego pod ścianą. – Ty, Miszka, zostaniesz z nią. Jak znajdę to, czego szukam, zadzwonię, a ty posprzątasz. A jak nie – tym razem zwrócił się do Ludmiły – to wrócimy i porozmawia z tobą mój przyjaciel.

Ludmiła nie odpowiedziała. Dziwiła ją głupota tego mężczyzny. Jaki sens miało straszenie jej zbirem, skoro chwilę wcześniej kazał Miszce ją zabić? Chyba że mówiąc „posprzątać”, rzeczywiście miał na myśli ścieranie kurzów.

Zachrzęcił żwir, którym wysypany był plac przed halą. Mężczyźni odjechali. Miszka patrzył za nimi, oparty o framugę drzwi. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Pytająco spojrzał na Ludmiłę.

– Nie palę.

– Dziś zapal. Dobrze ci to zrobi.

Wyciągnął z paczki papierosa, zapalił, zaciągnął się i dmuchnął jej dymem w twarz. Zakaszła. Roześmiał się, wyjął papierosa z ust i włożył go pomiędzy spierzchnięte wargi Ludmiły. Zaciągnęła się z wyraźną przyjemnością.

Paląc, badawczo się jej przyglądał.

– Jakoś inaczej wyglądasz.

– To przez opuchliznę. Zmienia rysy, jak botoks. – Próbowala się roześmiać, ale to był głupi pomysł.

– Ty nie próbuj sztuczek – ostrzegł ją. – Jak będziesz coś kombinować, to ci łeb odstrzele.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i jeszcze raz się zaciągnęła.

– *Pasmatri, u mienia nagan* – poinformował Miszka, odebrał jej papierosa i zadarł do góry podkoszulek, żeby mogła zobaczyć pistolet wciśnięty za pasek spodni.

Uważaj, żebyś sobie jaj nie odstrzelił – pomyślała.

Chłopak dopalił papierosa, potem rzucił go na ziemię. Podszedł do stołu i, jakby dotarła do niego ta niewypowiedziana złośliwość, położył na nim pistolet i zaczął nerwowo krążyć.

Ludmiła próbowała sobie przypomnieć, co dzięki amerykańskim filmom wiedziała o takiej sytuacji. Na pewno nie należało patrzeć w oczy i zadawać pytań. Ale chyba można było mówić o sobie.

– Rzuciłam palenie, kiedy byłam w ciąży – powiedziała spokojnym, beznamiętnym głosem. – Mam czteroletnią córkę, sama ją wychowuję.

Chłopak nic nie powiedział, przystanął, oparł się o stół. Zachęcona jego milczeniem Ludmiła kontynuowała:

– Trudno samej z dzieckiem. Rodzina mi pomaga, ale i tak trudno. Niedawno poszłam do pracy. Nudna jest, nie lubię jej.

– Ja moją robotę lubię – rzucił Miszka.

Dziewczyna zadowolona, że udało jej się nawiązać kontakt, od razu zapytała:

– A czym się zajmujesz?

– Takie tam. Zależy, co szef każe. Kogoś postraszyć, za kimś połączyć. Ciebie śledziłem. A co ty taka ciekawa?

– Mam prawo pytać. Przecież i tak mnie zabijesz.

Bruzda na czole świadczyła, że intensywnie myśli o jej słowach.

– Niby tak. Wiesz, nie myśl, że nie jestem twardy. – Wziął pistolet i zaczął się nim bawić. – Noszę tę klamkę nie dla ozdoby, umiem z niej zrobić użytek – oznajmił buńczucznie i zamilkł na chwilę. – Ale to nie jest to, co mnie cieszy. W autach lubię grzebać. Mam do tego dryg. Tylko spojrzę pod maskę, a już wiem, co jest. – Odłożył pistolet, a Ludmiła odetchnęła z ulgą. – Tak trafiłem do tej roboty, w domu, w Moskwie. Jeden znajomy mnie pyta, czy bym mu w bryczce licznika nie przestawił. *Durak* bym był, jakbym się nie zgodził. Troszkę zarobiłem, bo to kradzione autko było. Później mu pomagałem numery zacierać. Dobrze nam szło. Aż któregoś dnia do łba przyszło nam zrobić napad. Nie wszystko poszło tak, jak trzeba. Powiedzieli, że moja wina. Musiałem klimat zmienić i trafiłem tu. Z Siergieja dobry facet. I szef dobry. Dbą o pracowników.

Premie świąteczne wypłaca tym, co posprzątali najdokładniej – pomyślała Ludmiła, ale mimo to poczuła, że robi jej się żal tego chłopaka. Świetne amerykańskie metody nie zadziałały. To on miał się ulitować nad ofiarą, nie ona nad nim.

– Nie jesteś szczęśliwy?

Popatrzył na nią tak, jakby nie rozumiał pytania. Już miała powtórzyć, ale

powstrzymał ją ruchem ręki.

– *Czy ja szczęśliwy?* Co to za głupie pytanie? Może taki Brad Pitt to szczęśliwy, a i to nie wiadomo. Ot tak, pcha się to życie do przodu, męczy się człowiek i tyle, żadnego szczęścia. Ty szczęśliwa?

Ludmiła pomyślała o pulchniutkich rączkach Gabrysi, o jej spokojnym oddechu, kiedy śpi, i o tysiącu męczących pytań, jakie ciągle zadaje. O mokrych pocałunkach i brudnym Panu Chrumku.

– Bardzo. – Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Mówiła o dziecku, o tym, jak bardzo je kocha i że musi do niego wrócić.

– Jak ty tak ją kochasz, to czemuś naszego szefa okradła? Teraz on musi cię zabić. Tak już jest.

– Wiesz, że w urzędzie zamordowali człowieka? Wszyscy myślą, że to mój brat. Chciałam mu pomóc.

– Ot i zaszkodziłaś sobie. A jemu już nie możesz pomóc, on skreślony.

– Jak to? Też chcą go zabić?

– Jego nie trzeba zabijać, jego trzeba, jak brzmi to durne słowo sok... skom... skom... ować?

– Skompromitować?

– Właśnie. Słyszałem, jak szef rozmawiał z jednym takim – niewysoki, o długiej twarzy i małych oczkach.

– Co konkretnie mówili?

– Ty myślisz, że ja pamiętam. Ja... – przerwał, podniósł głowę, jakby czegoś słuchał. – Chyba wracają – powiedział i wyszedł.

Ludmiła nie czekała. Zerwała się z krzesła, złapała leżący na stole pistolet i rzuciła się ku tylnym drzwiom. Biegła tak szybko, jak to tylko możliwe, ile sił w nogach, aż płuca zebrały o oddech, każdy mięsień piekł przeraźliwym bólem. W końcu się zatrzymała. Zmęczona ukryła się w krzakach. Sprawdziła pistolet, był nabity. Odbezpieczyła i czekała. Cisza, spokój. Nie wyglądało, żeby ktoś ją gonił. Odetchnęła z ulgą.

Krystian Wielogórski dojadł kebaba. Nie lubił takiego jedzenia na szybko, w samochodzie. Trzeba było bardzo uważać, żeby sobie sosem munduru nie uświnić. W tym momencie odezwał się telefon. Spojrzał na Piotra Młynarczyka, który właśnie wycierał palce papierową serwetką.

– Odbierzesz?

Tamten westchnął teatralnie.

– Musimy jechać. Mamy sprawdzić starą cegielnię.

Krystian poparzył z żalem na resztkę kebaba. Cóż, taka praca. Człowiek nie dojada, nie dosypia, a na dodatek żona ma pretensje, że go nigdy w domu nie ma. Wysiadł z samochodu i cisnął resztki do kosza na śmieci. Może trzeba było posłuchać ojca, który radził iść do budowlanki.

Podobno cegielnia działała, podobno znalazł się inwestor i coś tam robił, ale zdaniem wielu chodziło tylko o to, żeby spory teren, na którym stała, tanio od miasta kupić. Za rok czy dwa okaże się, że firma zbankrutowała, a na tym terenie deweloper postawi domki jednorodzinne. Chyba, że jak mówią niektórzy, w Warszawie jest już

projekt drogi, która ma tędy iść, i na wykupie tej ziemi ktoś się tak wzbogaci, że ho, ho.

Tymczasem cegielnia wyglądała jak opuszczona, a teren wokół niej porastały coraz gęstsze krzaki.

– Tam nikogo nie ma – powiedział Piotr, parkując. – Nie ma samochodu, to i ludzi nie ma.

– A co ma do tego samochód?

– To, że ktoś musiałby być głupi, żeby taki kawał od miasta iść piechotą.

– Kazali się rozejrzeć, to się rozglądaj, a nie filozofuj. Masz takie marzenie, że jak będziesz duży, to zostaniesz starszym aspirantem Nowakiem?

Roześmiali się szczerze z tego dowcipu.

Policjanci krzyknęli kilka razy i, nie otrzymawszy odpowiedzi, zdecydowali się wejść do środka. Hala była pusta.

– Zadzwoń i powiedz, że nikogo nie ma.

Piotr wyciągnął telefon.

– Mamy tu czekać, aż ktoś przyjedzie.

Krystian zaklął.

– Myślisz, że jakieś zarcie to tu dowożą?

Bogdan Kowaluk nie miał w zwyczaju się spóźniać. Przychodzenie na czas, a nawet chwilę wcześniej, było dobrym nawykiem, który w dzieciństwie wpoila mu matka. Tylko że ten dzień był jak jazda na diabelskim młynie. Dobre zdarzenia następowały po złych. Zaczęło się od tego, że miał wolne, bo szedł do pracy dopiero wieczorem. Jednak spał dłużej, niż planował, dlatego nie zdążył rano pobiegać. Chciał zrobić pranie, ale była awaria i z kranu ciekła żółta breja. Zasiedział się przy kompie i żeby nie spóźnić się na służbę, musiał się bardzo śpieszyć. Po drodze próbował się dodzwonić do Izy, ale nie odbierała. Stłumił złe przeczucia. Powiedział sobie, że nie jest starą babą, która tylko panikuje. Przecież powinien już wiedzieć, że dziewczyna rzadko odbiera za pierwszym razem. Wszystko z nią okej, przekonywał sam siebie. Ta myśl towarzyszyła mu, kiedy szukał wolnego miejsca przed komendą. Trudno było, bo jego stałą miejscówkę zajmowała karetka. Zaparkował trochę dalej. Obojętnie minął ambulans i skierował się ku drzwiom dokładnie w tym momencie, kiedy pojawili się tam sanitariusze z noszami. Bogdan przystanął, żeby mogli swobodnie przejść.

Widok rannych czy martwych ludzi wzbudzał w nim raczej zawodowe zainteresowanie niż smutek czy żal. Powodowany ciekawością rzucił szybkie spojrzenie na nosze i omal nie upadł. Na widok bladej kobiecej twarzy nogi się pod nim ugięły.

Chwycił za ramię sanitariusza.

– Co z nią? – zapytał.

Chłopak patrzył na niego przerażony. Bogdan zdał sobie sprawę z tego, co robi, i puścił rękę chłopaka. Ten odetchnął z widoczną ulgą.

– Zemdląła, zabieramy ją do szpitala.

– Ale co z nią?

– Ja nic nie wiem. Lekarz musi ją zobaczyć.

– Jadę z wami – oświadczył stanowczo Bogdan.

Sanitariusz spojrzał na jego dłoń.

– To wykluczone. – I żeby uniknąć dyskusji, dodał: – Takie są przepisy. W karetce może jechać tylko przeszkolony personel medyczny.

Chwilę potem drzwi ambulansu zatrzasnęły się głucho i odjechali. Bogdan oparł się o ścianę budynku i rozpaczliwie starał się wymacać papierosy w kieszeni spodni. Nie znalazł. Chyba zostawił w domu.

– Poczęstuj mnie który fajkiem? – zapytał, wchodząc do socjalnego.

Kilkoro rąk z uśmiechniętymi paczkami wyciągnęło się w jego stronę. Bogdan wziął papierosa z najbliższej paczki, nie zwracając uwagi, że jest mentolowy, i nieartykułowanym dźwiękiem wyraził wdzięczność.

– Wi... Wie któryś, co tu się stało? – Bardziej zajęczał, niż zapytał.

– Rozmawiała z Nowakiem, potem chyba zemdląła.

– Wezwał ją na przesłuchanie?

– Chyba nie, sama do niego przyszła.

Z końca socjalnego odezwał się głos:

– Nie sama. Z córką przyszła.

Łupnięcie, które w tej chwili rozległo się w głowie Kowaluka, powaliłoby tura. On ustał tylko dlatego, że za plecami miał framugę drzwi. Wsparty o nią próbował się pozbyć z mózgu tego dziwnego dźwięku. Chciał o coś zapytać, ale nie mógł wydobyć głosu. W suche wargi włożył papierosa i rozpaczliwie szukał zapalniczki.

– Czyś ty oszalał, Kowaluk? Chcesz nam prysznic zrobić?

Bogdan machnął ręką i zataczając się jak pijany, wyszedł na dwór. Usiadł na murku. Czuł się tak staro, jakby miał ze sto lat. Bolał go każdy miesiąc, w głowie dudniło „z córką”. Może i mąż jest? – pomyślał rozgoryczony, a wtedy to miejsce na karku, które z taką przyjemnością dziewczyna całowała, zapiekło żywym ogniem.

Zapalił papierosa. Skrzywił się. Miętowy aromat mu nie smakował. Ze złością oderwał filtr i zaciągnął się jeszcze raz. Było trochę lepiej, papieros przestał smakować jak wędzona tubka pasty do zębów. Nikotyna go orzeźwiła. Myśli się rozjaśniły. Spisywał ją. Powiedziała, że jest panną. Nie oszukiwałaby policjanta. Nie miała wtedy powodu, nie byli jeszcze razem. Słowo „razem” zapaliło się w myślach na czerwono. Więc to tak? Są razem albo przynajmniej powinni.

– Palant z ciebie – powiedział głośno. Idący ulicą mężczyzna spojrzał na Bogdana urażony. – Powinieneś być z nią w szpitalu, a nie stać tu i zgrywać urażonego. Dlatego wszystkie od ciebie odchodzą. Bo jesteś fiut. Nigdy nie ma cię przy nich, kiedy tego potrzebują. Tym razem będzie inaczej. Teraz zachowasz się, jak należy.

Zdeptał niedopałek i wszedł do komendy. Pełniący służbę Suwała popatrzył na niego wilkiem.

– Masz mnie zmienić, a łazisz i jarasz – rzucił z wyrzutem.

– Sorki. Słuchaj, ta dziewczyna, którą zabrała karetka, była z dzieckiem.

– No.

– A gdzie ono?

– W siódemce, Marta z nią siedzi. Nowak kazał pilnować.

– W siódemce? – zdziwił się Bogdan. Nie czekał na odpowiedź. Ruszył prosto ciemnym korytarzem. Małe wąskie okna pod sufitem były okratowane. Wzmocnione

metalowymi sztabami drzwi były pozamykane. Jednak te od ostatniej celi pozostawiono lekko uchylone. Bogdan ostrożnie wsunął głowę w szparę.

Na pryczy leżała ładna dziewczynka o ciemnej karnacji i oczach w kolorze gorzkiej czekolady. Tuliła do siebie kulkę brudnego pluszu. Obok siedziała młoda policjantka i stuknęła w ekranik swojego telefonu.

– Cześć – powiedział Bogdan nieśmiało.

Policjantka przywitała go szerokim uśmiechem, a dziewczynka spojrzeniem, w którym czaił się strach.

– Co z nią? – zapytał Bogdan, ignorując dziecko.

– W porządku. Trochę się martwi o mamę. Nowak powiedział, że mała ma tu zostać do jego powrotu.

Kowaluk czuł, że powinien się odezwać do dziewczynki, ale nie miał doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów. Ostatni raz rozmawiał z dzieckiem... zdał sobie sprawę, że ani razu w swoim dorosłym życiu. Poczul, że ręce mu się pocały. To było gorsze niż matura. Mimo wszystko przełamał się i podszedł do małej. Usiadł obok niej.

– Jestem Bogdan. Jestem przyjacielem twojej mamy – powiedział.

Dziewczynka milczała.

– Wszystko będzie dobrze.

– Pan Chrumek chciałby iść do domu – oznajmiła, wskazując na gałganek. Teraz dopiero do Bogdana dotarło, że to pluszowy prosiak.

– Jeśli jeszcze trochę tu wytrzymacie, to zabiorę ciebie i twojego prosiaczka do domu, okej?

– To nie jest prosiaczek, to Pan Chrumek – poprawiło dziecko.

– Zabiorę was do domu. Ale musicie jeszcze trochę tu poczekać. A jak będziecie bardzo grzeczni, to po drodze wstąpimy na lody, dobrze?

Dziewczynka kiwnęła głową. Miała enigmatyczną minę i Bogdan nie mógł dojść, czy poszło mu tak dobrze, czy tak źle.

– Jadę teraz do twojej mamy – powiedział, wstając. – Coś jej przekazać?

Dziecko pokręciło główką. Bogdan machnął policjantce na pożegnanie.

– Jadę do szpitala – rzucił chłopakowi z dyżurki. Oczy tamtego przybrały rozmiary spodków.

– Jaja sobie robisz, Kowaluk? Od godziny powinieneś tu siedzieć.

– Wiem. Będę ci winien przysługę.

– Moja stara znowu zrobi mi awanturę, że się szlajam. – Opór wyraźnie słabł.

– Zadzwoń do niej. Powiem, że czynności operacyjne nie pozwoliły ci opuścić stanowiska.

– A jak się komendant zjawi?

– To powiesz mu, że wykonuję czynności operacyjne.

– On nie jest głupi.

– Biorę to na siebie – rzucił Bogdan już w drzwiach. Nagle przystanął. Zawrócił. – Jeszcze fajki pożycz.

Dziesięć minut później parkował przed szpitalem.

Szpital miejski był nowym, jasnym i przeszklonym budynkiem, podobnym do



nowoczesnego biurowca. Bogdan czasem tu bywał, zawsze służbowo. Dlatego teraz też odruchowo wyciągnął legitymację, kiedy pytał, gdzie leży Iza Janicka.

– Trzecie piętro, pokój trzysta cztery – poinformowała go rejestratorka, głosem wypranym z emocji.

Bogdan podziękował i ruszył do windy. Nawet kiedy już szedł szpitalnym korytarzem, nie zorientował się, co to za oddział.

– Pan do kogo? – zatrzymała go pielęgniarka.

– Szukam pani Izabeli Janickiej – wyjaśnił.

– Pan z rodziny? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Pan porozmawia najpierw z lekarzem – poleciła i wskazała na drzwi.

W pokoju lekarskim siedział młody mężczyzna ubrany w niebieski podkoszulek, spodnie przypominające piżamowe i drewniaki. Czytał książkę, a sądząc po okładce, nie była to literatura medyczna.

– Chciałbym zapytać o Izę Janicką – powiedział Bogdan.

Lekarz podniósł na niego oczy. Też były niebieskie. Wskazał Bogdanowi miejsce naprzeciwko siebie.

– Pan jest dla pani Janickiej...?

– Przyjacielem – wyjaśnił Bogdan. Uważał, że lekarzy nie należy okłamywać.

– Rozumiem. To tylko zasłabnięcie. Trochę się martwiliśmy, ze względu na jej stan, ale wszystko jest dobrze. Ani jej, ani dziecku nic nie zagraża.

– Wiem. Rozmawiałem z małą u nas na komendzie. To znaczy z córką pani Janickiej rozmawiałem. Jest bardzo fajna. – Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo się denerwuje, i zamilkł.

Lekarz patrzył na Bogdana lekko rozbawiony.

– Mówiąc o dziecku, miałem na myśli to, z którym pani Iza jest w ciąży – wyjaśnił.

Świat wokół Bogdana nagle zawirował. Z oddali dobiegł go głos lekarza:

– Nie wiedział pan?

A potem jeszcze:

– Może pan się czegoś napije? Mamy tu nawet coś mocniejszego.

I drugi głos:

– Dziękuję, jestem na służbie.

Bogdan zdał sobie sprawę, że ten drugi głos należy do niego.

– Pieprzyć to. Da mi pan kielicha.

Lekarz roześmiał się.

– Ojcowie różnie reagują. Na porodach jest najzabawniej. Gazety mieszają babom w głowach, że niby ojciec powinien być, że to ważne, i jakieś takie pierdoły. A my potem problem mamy, jak nam facet mdleje. Napiję się z panem – powiedział, stawiając dwa kieliszki i butelkę whisky na stole.

Bogdan opróżnił kieliszek jednym łykiem i podsunął go lekarzowi. Wypił drugi.

– Lepiej?

– Tak, lepiej. Przepraszam, dziwny dzień.

– Rozumiem. Martwi się pan o... dziewczynę, a tu taka wiadomość.

Co ty wiesz o wiadomościach – cynicznie pomyślał Kowaluk.

– Mogę się z nią zobaczyć? – zapytał.

– Jasne. Proszę tylko pamiętać, że nie wolno jej denerwować.

Bogdan stał na korytarzu i patrzył na drzwi, za którymi leżała Iza. Jego ręka zawisała w połowie drogi do klamki. Wzburzony strumień świadomości przelewał się przez czaszkę, głośno szumiąc. Bogdan usiłował wychwycić z niego pojedyncze myśli, ale bezskutecznie, zbyt szybko płynęły.

W końcu wszedł. Błada jak śnieg Iza leżała na szpitalnym łóżku. Opuchlizna na twarzy przybrała fioletowy kolor. Na purpurowych wargach opalizowała cieniutka warstwa kremu. Dziewczyna uśmiechnęła się do Bogdana.

– Co z nią? – zapytała.

– Wszystko w porządku. Chwilę rozmawialiśmy. Chyba martwi się o ciebie, ale nie powiedziała tego głośno. To dzielna dziewczynka.

– To prawda. Bardzo się o nią martwiłam.

– Jarek zajął się wszystkim.

– Chyba trochę się przestraszył, kiedy zemdlałam.

– E tam, to odważny glina. Mało co jest w stanie go wystraszyć – roześmiał się Bogdan.

– A ty? Jak to zniosłeś?

– Powiedzmy, że trochę mnie to zaskoczyło.

– Przepraszam. Powinniśmy były powiedzieć prawdę, ale się bałyśmy.

Bogdan pomyślał o czekoladowych oczach dziewczynki. Rozumiał powód, dla którego kobieta mogła chcieć ukryć przed nim fakt posiadania dziecka. Bogdan był ze wsi. Wiedział, jakie emocje może wzbudzać odmienność. On oczywiście był inny, ale Iza nie musiała o tym wiedzieć. Trochę szkoda, że źle go oceniła.

– To prawda. Powinnaś mi była powiedzieć od razu. Teraz się tym nie martw. Po prostu umówmy się, że już zawsze będziesz mi mówiła prawdę.

Iza skinęła głową. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Muszę już iść. Zajrzę do ciebie jutro.

Cicho zamknął drzwi. Jadąc windą, myślał, że to dziwny dzień. Obudził się jako wolny facet, a w tej chwili był ojcem dwójki dzieci. A przecież noc była jeszcze młoda.

Jarek Nowak nie miał serca do kobiet. Nie chodziło tylko o to, że się w nich nie kochał, bo wolał facetów. Jarek po prostu nie ogarniał kobiecego braku logiki. No bo jak można, będąc osobą przy zdrowych zmysłach, podejmować tak durne decyzje? Zamieniać się przy zwłokach? Rozumiał, że ktoś może spanikować i uciec. Ale spanikować i zadzwonić po siostrę? To może zrobić tylko kobieta. A potem jeszcze to bieganie, szukanie, porwania i tajne dane na ogólnie dostępnym komputerze. Choć w zasadzie to ostatnie nie było takie głupie. Mało komu przyszyłoby do głowy szukać właśnie tam.

Wszedł do urzędu miasta i zamachał legitymacją.

– Proszę mi pokazać, gdzie pracuje Janicka – zwrócił się do urzędniczki, która wyglądała trochę jak kwoka.

– W trójce. Trzecie drzwi na lewo – wyjaśniła, nie przerywając wysiadywania.

Jarek uznał, że uprzejme podziękowania się nie należą, burknął więc tylko coś pod

nosem i ruszył w kierunku trzecich drzwi. Już miał je otworzyć, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś jest w środku. Niby normalna sprawa. Do końca pracy urzędu zostało jeszcze dwadzieścia minut. Jednak instynkt kazał mu zachować czujność.

Skrzypnęła podłoga i Jarek cofnął się kilka kroków. Drzwi otworzyły się i stanął w nich burmistrz. Widok policjanta zrobił na nim takie wrażenie jak na żonie Lota widok Gomory.

– Dzień dobry, panie burmistrzu. Starszy aspirant Jarosław Nowak – przywitał się grzecznie i odruchowo stuknął obcasami.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Nie wyglądał, jakby chciał pomóc. Wyglądał, jakby chciał Nowaka wysłać na Marsa, i to natychmiast, bez zbędnych formalności.

Nowak bezradnie rozłożył ręce i uśmiechnął się, żeby wyglądać jak ślepe kocię, na dodatek zgubione we mgle.

– W ramach prowadzonego przeze mnie śledztwa muszę zrewidować stanowisko pracy pani Janickiej. Może mi pan pokazać, gdzie ono jest?

– To tutaj. – Burmistrz ręką wskazał w głąb pomieszczenia, z którego właśnie wyszedł. – Co ona ma wspólnego z waszym śledztwem?

– Tylko brata.

– To znaczy?

– Nie wolno mi udzielać informacji w trakcie prowadzonego dochodzenia... – zaczął tonem służbisty – ale panu chyba mogę – dokończył już łagodniej. – Otóż istnieje przypuszczenie, że podejrzany mógł się z nią dzielić informacjami na temat denata. Na prywatnym komputerze nic nie znaleźliśmy, chcemy jeszcze sprawdzić służbowy.

– Jasne, jasne. Czyńcie swoją powinność. – Burmistrz protekcyjnie poklepał Nowaka po ramieniu. – Informujcie mnie o przebiegu śledztwa.

Jarek energicznie skinął głową. W duchu pomyślał o arogancji władzy. Odczekał chwilę, a kiedy mężczyzna doszedł do końca korytarza, wszedł do pokoju.

Nie trzeba było być geniuszem, żeby się zorientować, które biurko należy do Janickiej. Ktoś bardzo dokładnie je przeszukał. Jarek nawet nie zadawał sobie trudu zajrzenia do szuflad. Od razu uruchomił komputer. Ekran zamigotał, pojawiła się strona logowania. Automatycznie wstukał „gabrysia” i na ekranie pojawiła się egzotyczna plaża i kolorowe ikonki. Od razu zauważył plik „bogdan”. Kliknął. Pojawiło się pytanie o hasło. Wstukał imię dziecka i za chwilę miał dostęp do pliku tekstowego. Przez chwilę jego wzrok przesuwiał się po ekranie. I nagle do starszego aspiranta Nowaka dotarło, że właśnie znalazł kolejny kawałek układanki. Może nie ostatni, ale ten, dzięki któremu wreszcie ułoży obrazek.

Wyjął z kieszeni telefon.

– Przyślijcie mi tu kogoś do urzędu. Trzeba zabezpieczyć dowody.

Rozparł się wygodnie na krześle i czekał.

Ludmiła siedziała w krzakach i czekała, aż jej serce wróci na swoje miejsce i trochę się uspokoi. W tej chwili nie mogła ani biec, ani iść, ani logicznie myśleć. Czuła się jak zając, który przykucnął na polu i znieruchomiał, a po głowie tłucze mu się myśl, że może go nie zauważą.

Straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, czy siedzi tak pięć minut, czy godzinę. W końcu uznała, że niebezpieczeństwo minęło i może iść... Tylko dokąd? Gdzie na świecie jest bezpieczne miejsce? Pomyślała o ramionach Bogdana. Tam mogłaby się schronić. Podniosła się i ruszyła w stronę miasteczka.

Unikała otwartych przestrzeni, szła lasem, przedzierała się przez krzaki. Cały czas nerwowo oglądała się za siebie. Czuła za plecami gorący oddech koszmaru. Była dziewczyną, która wiedziała zbyt wiele. Andrzej Musiał, z prawdopodobnie o wiele skromniejszą wiedzą, zapłacił za nią najwyższą cenę. Po raz pierwszy w życiu Ludmiła pomyślała o zmarłym bez nienawiści. Chciał naprawić miasto, zaczynając od najbliższych sobie ludzi. Wszędzie wtykał swój ciekawski nos. Wiedział wszystko o wszystkich. Lubił łączyć za innymi i ich upominać. A swojego grzechu nie widział. Ludmiła nagle przypomniała sobie jego ręce szukające drogi pod jej sukienkę. I jeszcze to, jak nazwał Gabrysię murzyńskim bękartem. Cała wściekłość wróciła. Dupek zasłużył sobie na to, co go spotkało. Tymczasem ona, Ludmiła, w niczym nie zawiniła. Poza tym ma małe dziecko. Gdyby coś jej się stało, Gabrysia zostanie na świecie sama. To nie byłoby sprawiedliwe.

Doszła do starej kamienicy, w której mieszkał Bogdan. Wdrapała się po wysokich schodach i zapukała do drzwi. Żadnego odzewu. Poczekala chwilę i zastukała jeszcze raz. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki i to przekonało Ludmiłę, że musi być puste. Przysiadła na schodach. Nagle uświadomiła sobie, jaki jest świat, w którym żyje. Bogdana nie było w domu, a ona nie wiedziała, jak się z nim skontaktować. Nie miała przy sobie telefonu, a nawet gdyby miała, to na nic by się nie przydał, nie znała jego numeru. Nawet gdyby znała, to w tym zapytającym mieście nie było ani jednej budki telefonicznej. No bo po co budki, kiedy każdy ma telefon komórkowy, a niektórzy nawet kilka. Zresztą i tak nie miała pieniędzy. Poczula się bezradna, słaba i zmęczona. Oparła głowę o ścianę i zapadła w drzemkę.

Obudziła się, gdy ktoś delikatnie dotknął jej policzka. Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, gdzie jest, i że wielkie, wybałuszone gały należą do Bogdana.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Jego głos drżał, jakby mężczyzna był bardzo przestraszony.

Ludmiła kiwnęła głową.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Uciekłam im. Uznałam, że to jedyne bezpieczne miejsce.

Bogdan nic nie powiedział. Wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Chciał pomóc Ludmille wejść do mieszkania, ale dała mu znak, że poradzi sobie sama. Poszła do sypialni i ciężko opadła na łóżko. Była tak zmęczona, jakby rozładowała wagon węgla.

– Posłuchaj, kochanie – Bogdan usiadł obok niej i mówił ciepłym, miękkim głosem, jak do dziecka. – Czytałem o hormonach i tym, jak kobiety przez nie świrują. Rozumiem, przez co przechodzisz i rozumiem, że chciałaś się u mnie schronić, ale powinnaś być teraz w szpitalu. Wiesz, że zapewnię ci tam najlepszą opiekę. Muszę wracać do pracy. Mamy straszny młyn... – zawahał się.

Ludmiła popatrzyła na niego pytająco.

– Szukamy twojej siostry – wyjaśnił.

– Jak to? – Dziewczyna usiadła na łóżku. – Uratowałam ją! Miała się spotkać z Nowakiem!

– Nie denerwuj się. Wszystko jest pod kontrolą.

– Co z moim dzieckiem? Co z Gabrysią?!

– Wszystko w porządku. Śpi, a nasza najlepsza policjantka jej pilnuje.

Ludmiła odetchnęła z ulgą.

– Nie pozwólcie, żeby ktokolwiek się do niej zbliżył, okej?

– Masz moje słowo. A teraz ja wrócę na służbę, a ty do szpitala, dobrze?

– Tylko daj mi najpierw coś do picia. Może być woda.

Bogdan wyszedł do kuchni. To, co mówi, nie ma sensu, pomyślała Ludmiła. Co ta Iza wykombinowała? Najważniejsze, że Gabrysia bezpieczna.

Wysunęła szufladę nocnej szafki, położyła tam broń i poszła do łazienki umyć twarz.

Dwadzieścia minut później, wciąż skołowana, stała na izbie przyjęć miejskiego szpitala, a Bogdan tłumaczył rejestratorce, że natychmiast powinna się znaleźć na oddziale. Dziewczyna próbowała pozbierać myśli, ale nie szło jej to zbyt dobrze. Ciągle myślała o Izie.

– Zawiozę panią na oddział – powiedziała miłym głosem młodziutka pielęgniarka.

Ludmiła spojrzała na wózek dla inwalidów. Chciała powiedzieć coś o swojej pełnej sprawności, ale spojrzenie Bogdana sprawiło, że nawet nie otworzyła ust. Posłusznie usiadła.

– Znajdź moją siostrę – poprosiła i pozwoliła się zawieźć do windy.

Kilka minut później pielęgniarka wepchnęła wózek z Ludmiłą do szpitalnego pokoju i zamarla. W jedynym zajęтым łóżku leżała dokładnie taka sama kobieta, jak ta, którą tu przywiozła.

– Nie rozumiem – jęknęła.

– Nie szkodzi. – Ludmiła podniosła się z wózka i energicznie podeszła do łóżka. – To moja siostra – wyjaśniła bez sensu, bo przecież było widać.

Pielęgniarka była tak skołowana, że poproszona o dwa kubki herbaty bez słowa wyszła, by spełnić prośbę.

Ludmiła pochyliła się nad śpiącą.

– Iza, obudź się. – Z czułością patrzyła, jak siostra toczy zaciętą walkę ze snem, by przedrzeć się do świadomości. Była w tym tak podobna do Gabrysi, że Ludmiła nie wytrzymała i przytuliła ją mocno.

– To ty – ucieszyła się Iza. – Dziękuję, że mnie uratowałeś.

Ludmiła rozważała, czy nie powiedzieć, kto jest winny porwania. Zmieniła zdanie. Teraz był czas przebaczenia, czas szczerości przyjdzie później.

*Cztery dni temu*

Bogdan Kowaluk zdał służbę kilka minut po ósmej. Był roztargniony, cały czas myślał o Izie. Na dodatek młyn na komendzie nie wpływał na niego dobrze. W starej cegielni zabezpieczano ślady. Wiadomo było, że ktoś był tam przetrzymywany. Nie było wiadomo, co się z nim stało. Bogdanowi bardzo zależało, żeby zawieźć ukochanej dobre

wieści.

W drzwiach wpadł na Nowaka.

– A ty dokąd?

– Do szpitala.

– Mam nadzieję, że psychiatrycznego.

Bogdan uśmiechnął się z przekąsem.

– Będę cię potrzebował – powiedział Nowak już poważnie. – Zamierzam dziś zamknąć to śledztwo.

– Daj mi pół godziny. Zobaczę, co z moją dziewczyną, i wracam.

Nowak spojrział na przyjaciela badawczo.

– Ty wiesz, że one są dwie? – zapytał.

Bogdan skinął głową.

– Powiedziała mi wszystko.

– I nie przeszkadza ci to?

– A niby dlaczego?

Nowak uśmiechnął się.

– No wiesz, stary, to dość dziwne.

Bogdan, który uważał przyjaciela za tolerancyjnego człowieka, spojrział na niego zdziwiony.

– A co w tym dziwnego? – zapytał.

Jarek zmieszał się i nic nie odpowiedział.

Bogdan minął go i ruszył do swojego auta. Był zirytowany. „Nie przeszkadza ci, że twoja kobieta ma dziecko?”. Cholera, co za tekst?! Jak tak można w ogóle myśleć? Ma i już, jej życie, jej sprawa. Nie będzie jej rozliczał z przeszłości. Swoją drogą nic dziwnego, że wysyłała mu tak sprzeczne sygnały. Pewnie chciała powiedzieć, a nie wiedziała jak. Biedactwo, smutno myśleć, przez co musiała przechodzić. Teraz to już nieistotne, bo ważne jest to, co nadejdzie. Zbudują wspólną przyszłość na fundamencie szczerości i zaufania.

– Posuń się – rozkazała Ludmiła, moszcząc się na łóżku obok Izy. – Czuję się tak, jakbym miała milion lat.

Iza przesunęła się posłusznie. Szpitalne łóżko było zbyt wąskie dla dwóch osób. Musiały leżeć przytulone. Po raz pierwszy od lat były w tak mocnym kontakcie fizycznym. Iza mogła poczuć wszystkie zapachy siostry: szampon do włosów, krem, skóra, pot.

– To dobrze, że to wszystko mamy już za sobą – szepnęła, patrząc na niegdyś biały szpitalny sufit.

– Nie chciałabym cię martwić, ale wydaje mi się, że to dopiero początek.

Iza przekręciła głowę na bok i teraz Ludmiła miała przed sobą twarz siostry. Siniak na policzku mienił się malowniczo.

– Dobrze, że nie skaleczyłaś się zbyt mocno – Iza wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła rozcięcia. – Nie będzie blizny. Dlaczego myślisz, że to dopiero początek?

Ludmiła niczego na świecie nie pragnęła tak jak szczęśliwego zakończenia. Instynkt mówił jej, że na to się jednak nie zanosi. Widać Iza wyczytała to z twarzy siostry,

bo żarliwie zapewniła:

– Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy bezpieczni: ty, ja, Gabrysia i to maleństwo. Jak tylko będzie można, wrócę do Warszawy. Wiesz, żeby twoja znajomość z Bogdanem mogła się swobodnie rozwijać. Wierzę, że wam się uda. Tylko jedno musimy sobie obiecać – nigdy więcej nie zrobimy podobnych głupstw.

W tej chwili, jakby sprowadzony ich myślami, na progu szpitalnego pokoju stanął Kowaluk. Patrzył na kobiety, a w jego oczach malowało się niedowierzanie.

– Cześć, Boguś – powiedziały siostry prawie jednocześnie.

Policjant zachwiał się, jakby ktoś mu przyłożył obuchem. Wywrócił oczami, coś zabelkotał.

– O cholera! – krzyknęła Ludmiła, kiedy dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi zważyło się z łoskotem na podłogę. Zerwała się i podbiegła do mężczyzny. – Bogdan, Boguś! Nic ci nie jest? – pytała, choć zdrowy rozsądek jej podpowiadał, że raczej nie uzyska odpowiedzi. – Wezwij lekarza – rozkazała siostrze.

Iza nacisnęła guzik przy łóżku. Cały czas nerwowo chichotała. Próbowwała przestać, ale co tylko spojrzała na Bogdana, na nowo wybuchwała śmiechem.

– Ja też zemdlałam – poinformowała radośnie. – Zwariowany dzień, nie? Najpierw mnie porywają, a potem wszyscy mdleją – parsknęła.

Ludmiła próbowała ocucić Bogdana, poklepując go po twarzy, ale bezskutecznie. Miotając pod nosem klątwy na opieszałego konowała, podeszła do stolika i złapała kubek. Chlusnęła na twarz chłopaka. Brązowa ciecz rozbryznięła się malowniczo.

– Co to, kurwa, jest? – zapytała.

– Cola – wyjaśniła Iza.

– Czemu nie woda?

– Bo nie lubię. Cola jest smaczna. Dlaczego oblałaś go moją colą?

Ludmiła próbowała wytrzeć twarz Bogdana papierowym ręcznikiem.

– Cholera, lepi się.

W tej chwili zjawiała się pielęgniarka.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– Zemdlał – poinformowała Ludmiła.

– A ona polala go colą – podkablowała Iza.

Pielęgniarka przyłożyła rękę do szyi Bogdana.

– Lepi się – stwierdziła, na co Iza parsknęła śmiechem. – Proszę pana! Proszę pana, słyszy mnie pan? – zawołała, po czym wymierzyła mu siarczasty policzek.

– Au! – jęknął Kowaluk.

Pielęgniarka rzuciła Izie mordercze spojrzenie i oświadczyła, że idzie po doktora. Kilka minut później po Bogdanie została tylko lepka plama na brudnym linoleum. Lekarz kazał zabrać go do izby przyjęć.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego zemdlał – zastanawiała się Iza. – I po co polewałaś go colą.

W celi śmierdziało. Krzysztof siedział na pryczy, było mu zimno, ale nie zamierzał przykrywać się kocem, który był głównym źródłem panującego w pomieszczeniu smrodu. Najpierw był wściekły, teraz się bał. Widział, jak Iza zemdlała. Pytał o nią, powiedzieli,

że wszystko w porządku. Innych informacji nie uzyskał. Na pytania, dlaczego go zatrzymali, jak długo tu będzie, czy jest oskarżony, słyszał tylko jedną odpowiedź: „Starszy aspirant Jarosław Nowak wszystko wyjaśni”. „A gdzie on jest?” – pytał, ale odpowiadali niezmiennie, że prowadzi czynności operacyjne. Krzysztof odkrył w sobie Józefa K.

Klucz zgrzytnął w zamku i drzwi się otworzyły. Na progu stanął Nowak, z szarą teczką pod pachą, uśmiechnął się i wesoło powiedział „dzień dobry”.

– Jak dla kogo. Co z moją siostrą, dlaczego mnie tu więzicie?

– Wszystkie panie Janickie czują się dobrze. A pana nikt nie więzi.

– To co tu robię?

Nowak nadal się uśmiechał, widać cieszyła go irytacja Krzysztofa.

– Przykro mi, że tak długo to trwało – zaczął uprzejmie. Obydwaj zdawali sobie sprawę, że to czysta kurtuazja, bo Nowakowi nie bywało przykro. Na dodatek nie lubił Janickiego i nie przeoczyłby okazji, by mu dokuczyć. – Gdybym mógł, przyszedłbym wcześniej.

– Jasne. Słyszałem, że czynności operacyjne zatrzymały pana w terenie – ironizował Krzysztof. – Nie rozumiem, po co pan je prowadził, skoro ma już winnego.

– Nie powiedziałem, że jest pan winny. Chcę wyjaśnić tę sprawę.

– A co pan, aspirancie, chce wyjaśnić? Nie zabiłem Andrzeja. Czemu pan mi nie wierzy?

– Nie zajmuję się wiarą, tylko prowadzeniem śledztwa. – Nowak wszedł do celi, stanął naprzeciwko Janickiego i z uwagą mu się przyglądał. Krzysztof wiedział, że noc spędzona w areszcie odcisnęła piętno na jego twarzy.

– Siedzę tu od wczoraj, powie mi pan dlaczego?

– Zatrzymanie do wyjaśnienia to standardowa procedura w przypadku znalezienia nielegalnej broni.

– Ja nie mam broni. Nawet nie umiem strzelać.

Nowak uśmiechnął się z politowaniem. Wyjął z teczki zdjęcie.

– Czekamy na analizę balistyczną, ale głowę dam, że kule znalezione w ciele Musiała właśnie z niej zostały wystrzelone.

Krzysztof przez chwilę przyglądał się fotografii – czarny pistolet i linijka na białym tle. Bez słowa oddał ją policjantowi.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Miejsce, w którym ją znaleźliśmy, to pański bagażnik.

Triumfalny uśmiech zdobił przystojną buźkę Nowaka. Krzysztof poczuł, że robi mu się słabo.

– Ktoś próbuje mnie zrobić – wychrypiał.

– Może tak, może nie. Moim zadaniem jest się dowiedzieć. A pańskim mi pomagać. Bo wie pan, to jakoś tak jest, że niewinni ludzie ufają policjantom. To co, napije się pan kawy i uzupełni zeznania?

Krzysztof kiwnął głową.

– Czy potem będę mógł iść do domu?

– Oczywiście. Zdaje się, że ma pan jakieś wybory do wygrania.



Kowaluk zjawił się na komendzie przed południem. Głowę miał owiniętą bandażem, ale to jego serce najbardziej ucierpiało. Dziewczyna chciała z nim porozmawiać w szpitalu, ale wyrzucił ją za drzwi. Nawet nie wiedział, którą z nich była. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

– Co, kwiaty jej się nie spodobały? – zakpił Nowak.

Bogdan zabił go w myślach.

– Nie powiesz mi, co się stało?

– Raczej nie – uciął Bogdan. Nie da się powiedzieć, że skutkiem odkrycia, iż spotykał się z bliźniaczkami, było omdlenie, tak, żeby nie było śmiesznie.

– I tak się dowiem. Jestem gliną. Wiem wszystko. – Nowak mrugnął. – A teraz chodź, jedziemy zapuszkować jednego Ruska.

– Jakiego Ruska?

– Nawet nie zajrzałeś do akt, co? Jakbyś więcej uwagi poświęcał śledztwu, a mniej pannie, tobyś nie chodził teraz ze szmatą na łbie.

– Święta racja – mruknął Bogdan.

– Opowiem ci po drodze.

Złe wiadomości jak wrony – nadlatują stadami. Najpierw zjawił się Miszka, powiedział, że w cegielni zjawili się mundurowi. Musiał uciekać, nie wie, co się stało z dziewczyną.

– *Poczemu ty jejo nie ubił?* – zapytał Iwan.

– Kazaliście czekać – tłumaczył się Miszka. Z twarzy tamtego obaj wyczytali, że Iwan by nie czekał. – Myślałem...

Siergiej zdzielił chłopaka w kark.

– Na tym polega problem, ty... – Przerwał mu dzwonek telefonu. Rzucił Miszce spojrzenie, które mówiło „Jeszcze nie skończyliśmy”, i spojrzawszy na wyświetlacz, odebrał. Jego twarz, która początkowo się rozjaśniła na wieść, że pendrive został odzyskany, po chwili skamieniała.

Rozłączył się i zaklął.

– Miszka, przygotuj samochód. W góry pojedziemy. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Poczekał, a kiedy Miszka i Iwan wyszli, zaczął zbierać najpotrzebniejsze rzeczy. Być może policja zechce wejść do tego gabinetu. Nie ma tu nic ciekawego. Typowe biuro przedsiębiorcy – segregatory faktur i nic więcej. To, co mogłoby zainteresować stróżów prawa, zapisane było na pendrivie. Pech polegał na tym, że teraz znajdował się on w rękach burmistrza. Mimo wielu lat współpracy Siergiej mu nie ufał. Nikomu nie ufał, bo znał życie. Kiedy wszystko szło jak po maśle, ten dumny kacyk uśmiechał się i brał od Siergieja wypchane koperty. Teraz sprawy zaczęły się sypać. Plan, by podrzucić Janickiemu zdjęcia, a potem szantażem zmusić go do ustępstw, nie wypalił, bo Misza odstawił Dzikiego Zachód, a burmistrzowi puściły nerwy. Niespokojni ludzie popełniają błędy.

– Siergieju Iwanowiczu, wszystko gotowe. Możemy jechać.

– Musimy jechać. A ty, Iwan, odbierzesz od burmistrza moją zabawkę, a potem poszukasz tej małej suczki i wybijesz jej zębki. Żeby mnie przypadkiem nie pokąsała.

Z tymi słowami ruszył do wyjścia, a Miszka za nim, walczący z walizką, której kółka nie chciały gładko jechać po puszystym dywanie. Chłopak westchnął i postanowił nieść bagaż.

– Cegły Siegiej Iwanowicz spakował? – Postawił walizkę i spojrzął za okno.

Jego szef rozmawiał z dwoma mężczyznami, których profesja nie była tajemnicą, mimo że ubrali się po cywilnemu.

To był moment. Miszka nie myślał, tylko słuchał zwierzęcego instynktu. Powoli ruszył do drzwi prowadzących do ogrodu. Wyszedł, pochylony skradał się za parkanem, by w końcu przeskoczyć mur oddzielający ogród od sąsiedniej posesji. Przebiegł przez cudzy trawnik, sforsował bramę, a kiedy znalazł się na ulicy, ruszył przed siebie ile sił w nogach.

*Wczoraj*

Tego dnia słońce uświadomiło sobie, że zima już dawno się skończyła i należy podkręcić termostat. Grzało jak oszalałe, ku ogromnej radości wróbli i dzieci. Te pierwsze darły się w gałęziach, te drugie krzykiem wypełniały parkowe alejki i place zabaw.

Bogdan rozglądał się za Izą. To znaczy Ludmiłą. Nie zastał jej w domu. Iza powiedziała, że znajdzie ją właśnie tutaj.

To było dziwne, ta rozmowa z Izą, w czasie której dziewczyna zachowywała się wobec Bogdana tak obojętnie. Czy jednak była szczerą, czy to tylko poza? Przecież to od Izy wszystko się zaczęło, to ją spotkał najpierw. Ludmiła później pojawiła się w jego życiu. I nie tylko w życiu. Czuł, że potrzebuje trochę czasu, żeby poskładać swoje uczucia w jedną, sensowną całość. Pewnie dlatego cieszył się, że jest tu służbowo.

– Pan Chrumek cię zobaczył – usłyszał. Stojąca obok niego dziewczynka o ciemnych oczach trzymała w objęciach kulę brudnego pluszu. Bogdan kucnął, żeby twarze jego i dziecka znalazły się na tym samym poziomie.

– Cześć, Gabrysiu! Dzień dobry, Panie Chrumku!

Prosiak odchrząknął głosem dziewczynki.

– Szukam twojej mamy. Wiesz, gdzie jest?

Dziecko skinęło głową, więc czekał, nie dostał jednak odpowiedzi na swoje pytanie.

– Ja i Pan Chrumek znaleźliśmy takie coś – wyjęła z kieszeni zeschnięty liść z żółtą kulką – no i nie wiemy, co to. I mama też nie wie, a dziadek, który może wie, śpi.

– To galasówka – wyjaśnił Bogdan. – Domek małej gąsienicy. Ona spała tam w środku całą zimę.

– Jak to zrobiła?

– Namówiła drzewo, żeby zrobiło dla niej taką kulkę.

– Jak?

No właśnie jak? Bogdan zastanawiał się, w jaki sposób wyjaśnić to małej, kiedy ktoś wykrzyknął jej imię.

– To mama – powiedziała dziewczynka, jakby on tego nie wiedział. – Lubisz moją mamę?

To skomplikowane, pomyślał.

– Tak, lubię ją.

W tej chwili podeszła do nich Ludmiła. Dziecko natychmiast zasypało ją informacjami. Słuchała, ale nie było wątpliwości, o czym myśli, i Bogdan wyjął legitymację, żeby odpowiedzieć na zawarte w jej spojrzeniu pytanie, czy będzie to rozmowa prywatna, czy służbowa.

– Gabrysiu, idź do babci. Dziadek już się obudził, chętnie cię posłucha. – Delikatnie przesunęła córkę w kierunku, z którego nadchodziła starsza pani, pchająca przed sobą wózek inwalidzki. – W czym mogę pomóc, panie aspirancie?

– Nie wygłupiaj się. Potrzebuję twoich wyjaśnień, a nie chciałem cię wzywać na komendę. Wystarczająco dużo przeszłaś.

Czułość w jego głosie zaskoczyła ich oboje.

– Jesteś zły?

– Zły, skołowany, przestraszony myślą, jak to się mogło skończyć. Przerażony waszą głupotą.

Po tych słowach zapadło milczenie. Szli tak blisko siebie, a tak daleko od siebie byli.

– Powiesz mi, co się naprawdę wydarzyło?

– Tego dnia moja mama odebrała Gabrysię z przedszkola, bo musiałam dłużej zostać w pracy. Miałam masę zaległości. Od szesnastej byłam sama w pokoju. Ciągłe patrzyłam na zegarek. Chciałam się jak najszybciej znaleźć w domu. Była za dwadzieścia piąta, kiedy przyszedł Kazio, woźny. Powiedziałam, że muszę jeszcze popracować. Wyszłam o szóstej. Wtedy zadzwoniła Iza. Krzys pomylił numery telefonów. Zadzwonił do niej, prosząc o przywiezienie dokumentów. Iza zadzwoniła do mnie. Wróciłam do urzędu. Wiesz, teraz sobie przypomniałam, że drzwi były otwarte. Myślałam, że to ja ich nie zamknęłam. Weszłam do gabinetu i znalazłam Andrzeja z dziurą w piersi. Byłam tak przerażona, że zadzwoniłam do Izy. Ona chciała mnie tylko chronić.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

– W tym mieście nie było nikogo, kto nienawidziłby Musiała tak bardzo jak ja.

– Możesz mi o tym opowiedzieć?

Nerwowo założyła kosmyk włosów za ucho, pociągając go mocno. Widział już u niej ten gest. To ją wyróżniało, Iza nigdy tak nie robiła.

– Wolałabym o tym rozmawiać z Nowakiem. Chyba byłoby mi łatwiej...

– Jeśli chcesz... – Sięgnął po telefon. Powstrzymała go, bo „przecież i tak byś przeczytał protokół” i „miejmy to już za sobą”.

– Musiał bywał u nas w domu. Nazywaliśmy go wujkiem. Był miły i nie interesował się mną do czasu, kiedy zaczęły mi rosnać piersi. Żartował z mojej seksualności. Wiedziałam, że jego żarty tak naprawdę znaczą coś innego. Przerazały mnie. Po słowach przyszły czyny. Dotykał mnie, kiedy tylko miał okazję. Ogarnięta strachem nie czułam się bezpiecznie we własnym domu, w mojej rodzinie. Nie czułam się bezpiecznie w swoim ciele...

Zamilkła.

– Może dlatego źle się zachowywałam. Chciałam, żeby ktoś ciągle na mnie patrzył, pilnował. Czułam, że chwila nieuwagi mogłaby się źle skończyć. Kiedy ojciec

zachorował, Andrzej spasował. Głupia, miałam nadzieję, że to koniec. Myliłam się. Przylazł do mnie już na pogrzebie. Kiedy go pogoniłam, zaczął mnie szantażować. Groził, że odnajdzie ojca Gabrysi, jeśli mu nie ulegnę... Byłam przerażona. Zrobiłam kurs samoobrony, nauczyłam się strzelać. Ja nie tylko życzyłam mu śmierci. Ja miałam powód, by go zabić...

Kiedy mówiła, czuł jej strach, rozgoryczenie i złość. Chciałby móc jej powiedzieć, że na tym właśnie polega jego praca, by chronić dobrych ludzi. Wiedział jednak, jak banalnie to zabrzmiałoby.

– Spiszę twoje zeznania. Dzięki, to już wszystko.

– Wszystko?... – W jej głosie słychać było smutek.

Myśli były w tej chwili jak stado psów, jazgocząc, walczyły między sobą. Bezskutecznie próbował przywołać je do porządku.

– Jeśli chodzi o to między nami... jestem skołowany. To nie jest dobry moment.

– Może nigdy nie będzie?

– Nie! – Bogdana zdziwiło, jak gwałtownie zareagował na myśl, że w jego przyszłości może jej nie być. – Nie to miałem na myśli. To nie jest dobry moment, żeby o tym rozmawiać, bo muszę wracać na komendę – skłamał. – Jeśli nie masz planów na jutrzejszy wieczór...

Przystanąła. Popatrzyła mu w oczy, szukając tam śladów tego kłamstwa, które przed chwilą usłyszała. Potem wspięła się na palce i delikatnie musnęła ustami jego policzek.

– Jeśli babcia zgodzi się popilnować Gabrysi...

– Wiesz, gdzie mnie szukać. Muszę już iść.

Żwir na ścieżce chrząścił nieprzyjemnie. Bogdana bolało serce. Pomyślał, że miłość to jednak wredna suka jest.

Barbara przez długą chwilę patrzyła na wyświetlacz, zanim zdecydowała się odebrać.

– Czy jest u ciebie Madzia? – zapytał syn. – Nie mogę się do niej dodzwonić.

Popatrzyła na synową, z której oczu ciągle płynęły łzy.

– Wyszła przed chwilą. A o co chodzi? – Dostrzegła pełne wdzięczności spojrzenie synowej. Niczym nie uzasadnione, bo to przecież Barbara doprowadziła ją do płaczu, informując, że wie o romansie.

– Byłem na komendzie, zapytać o postępy w śledztwie. To już za mną. Policja nareszcie wpadła na właściwy trop. Okazało się, że w tę sprawę jest zamieszany jakiś Rosjanin Włatkow...

– Wolatow – poprawiła odruchowo.

– Czyli już wiesz?

– Tak... Babcia coś wspominała...

– Ależ rozplotkowane to nasze miasto, no ale trudno się dziwić, taka sensacja.

– Coś przekazać Madzi? – Zdziwiło ją brzmienie własnego głosu.

– Nie. Jadę do domu. Pewnie tam się spotkamy.

Barbara odłożyła telefon. Przed chwilą siedziała przed nią wiarołomna synowa, teraz widziała samą siebie sprzed lat.

– Na płacz, moja droga, szkoda na to czasu. Nie chcę ci radzić, ale pamiętaj, że życie jest tylko jedną szansą na szczęście. Jeśli chcesz ją zmarnować, tkwiąc w związku z moim synem, to twoja sprawa.

Magda popatrzyła na nią skołowana.

– Mówiłaś...

– Wiem, co mówiłam. Nie pochwalam tego, co zrobiłaś, ale mleko się rozlało, nie wlejemy go z powrotem do szklanki. Cokolwiek postanowisz, pomogę. Idź do mojej sypialni, tam nikt ci nie będzie przeszkadzał, i przemyśl sobie wszystko. W barku znajdziesz koniak, bo chyba przyda się coś na uspokojenie.

Barbara wstała. Jej granatowy żakiet wisiał przerzucony przez oparcie fotela. Teraz go założyła i zaczęła poszukiwania torebki.

– Muszę coś załatwić – powiedziała, choć w zasadzie nie musiała się tłumaczyć przed synową.

To był ten moment w życiu, kiedy z niczego przed nikim nie musiała się tłumaczyć. Wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Wkładając kluczyki do stacyjki, zauważyła, jak drżą jej ręce. Przez chwilę rozważała, czy nie rozsądniej byłoby zostać w domu.

– Rozsądna już byłam, może wystarczy!

Dość szybko przejechała przez miasto i zaparkowała przed komendą.

Przy szerokim kontuarze siedział młody chłopak. Przywitał ją uśmiechem.

– Jak mogę pomóc? – zapytał w odpowiedzi na jej „dzień dobry”.

– Czy jest tu... Chyba aresztowaliście... takiego człowieka. Nazywa się Wolatow. Siergiej Wolatow.

– Przykro mi, proszę pani. Nie mogę udzielić żadnych informacji.

– On tu jest, prawda?

– Nie mogę udzielać żadnych informacji. Takie są zasady. Jeżeli chce pani złożyć zeznanie...

– Chcę się z nim tylko zobaczyć.

– To niemożliwe.

– Czy wobec tego mogę się zobaczyć z komendantem? – Barbara była zdeterminowana. W tej chwili zrozumiała, co kryło się za „muszę się z nim zobaczyć”, które tyle razy słyszała od bliskich swoich pacjentów.

Jedne z drzwi na korytarzu otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna. Ocenił sytuację i podszedł do Barbary.

– Starszy aspirant Jarosław Nowak, o co chodzi?

Barbara ze świstem wciągnęła powietrze.

– Barbara Janicka. Otrzymałam informację, że policja aresztowała Siergieja Wolatowa. To mój pacjent. Choruje na serce. Chciałabym się z nim zobaczyć, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

– Dostanie pani dziesięć minut. Będę potrzebował jego karty pacjenta i informacji o przyjmowanych lekach, skoro jest chory.

– Oczywiście.

– W takim razie proszę tędy. – Wskazał ręką kierunek. Barbara ruszyła, Nowak za nią. Kiedy przechodził obok dyżurnego, prawie niedostrzegalnie wskazał swoje ucho.

Udała, że tego nie widzi, już jej nie zależało, żeby ukrywać prawdę.

Barbara znalazła się w pokoju, którego całe wyposażenie stanowił stół i dwa proste krzesła. Usiadła na jednym z nich. Nowak stał pod ścianą. Przyglądał się jej ciekawie. Nic nie mówił.

Kiedy do pomieszczenia wprowadzono Wolatowa, rzucił, że będzie za drzwiami, i wyszedł.

– Nic się nie zmieniłaś – przywitał ją Siergiej.

To było głupie, że tu przysła. Teraz miała ochotę natychmiast wyjść. Zrobiłaby to, ale powstrzymał ją strach.

– Powiedziała im, że jesteś chory na serce, i chcę cię zbadać.

– Nie mogę być chory na serce, bo go nie mam. Nie dość, że je ukradłaś, to na dodatek bardzo źle się z nim obeszałaś.

– I to dlatego postanowiłeś zniszczyć mojego syna? Żeby się na mnie zemścić?

– To nie była zemsta. To był biznes.

– Doprawdy? Nie widziałam cię od trzydziestu lat i nagle się zjawiasz...

– Ty mnie nie chciałaś widzieć. Sprowadziłem się tu kilka lat temu.

Patrzyła mu teraz prosto w oczy. Dzielił ich nie tylko stół, ale też cały ten ból, który sobie zadali.

– Dlaczego...

– To nie miało sensu.

– Żałowałam tej decyzji.

– Wybrałaś męża. Dla mnie tylko to miało znaczenie.

– Wcale nie wybrałam Jerzego, tylko Krzysia. Miałam dziecko i o nim myślałam.

A potem pojawiły się dziewczynki. Nie wiedziałam, co robić.

– No tak, byłbym zapomniał, mieliście jeszcze córki.

– Mieliśmy – poprawiła.

Siergiej wstał, by natychmiast ciężko opaść na krzesło, a jego twarz z zaczerwienionej zrobiła się kredowobiała.

– Sugerujesz... sprawdzałaś...?

– Jestem lekarzem. Jeśli chcesz dowodu, możesz zrobić badania genetyczne, ale w tym wypadku wystarczy porównać grupy krwi. Iza dostała imię po mojej matce, Ludmiła po twojej.

Siergiej wydawał się jej nie słyszeć.

– Zrobiłem coś strasznego – wyszeptał. A potem podniósł się i krzyknął: – *Dawaj tuda!*

Drzwi natychmiast się otworzyły i stanął w nich Nowak.

– Co się dzieje?

– Powiem. *Wszystko* powiem, tylko ją ratujcie!

Nic nie rozumiejąca Barbara spojrzała na Siergieja. – Ludmiła – powiedział. Zrozumiała i nagle świat zawirował i zamienił się w ciemność.

Nowak jęknął.

– Janiccy! Jak nie kłamią, to mdleją. Ty siedź – warknął na Siergieja, który wykonał taki ruch, jakby chciał pomóc kobiecie. – Zaraz ktoś się nią zajmie. – Przerazenie

na twarzy aresztowanego miało inne źródło niż zemdlona, był tego pewien. – No to co chciałeś tak pilnie wyznać?

– Moja córka... Jej córka... Ludmiła. Iwan ją zabije – wyznał i nagle się przygarbił, jakby zapadł się w siebie, i zaczął łkać.

W tej chwili do pomieszczenia wpadło dwóch policjantów.

– Zabierzcie ją. Jego niech ktoś przesłucha. Skrupulatnie. Daj znać wszystkim jednostkom, że szukamy Ludmiły Janickiej, może być w niebezpieczeństwie.

– Znowu?

– Takie życie. – Wyciągnął telefon z kieszeni. Bogdan nie wiedział, gdzie jest dziewczyna, ale był dobrej myśli.

– Umówiliśmy się na wieczór. Co się stało?

– Ruski poszczuł ją psem.

– Musimy porozmawiać. – Madzia była stanowcza.

– To może poczekać. Muszę przygotować przemówienie.

– To nie potrwa długo...

Popatrzył na nią tak, jak zniecierpliwiony rodzic patrzy na marudne dziecko. Wzruszyła ramionami.

– Okej, możemy nie rozmawiać. – A kiedy pochylił się nad kartką, podeszła do szafy i zaczęła pakować torbę podróżną.

– Co ty robisz? – zapytał zaintrygowany.

– Wyprowadzam się.

Krzysztof nie wiedział, czy żona mówi poważnie, czy go prowokuje. Postanowił zachować obojętność. Logika podpowiadała, że wobec braku reakcji z jego strony Magda przestanie szukać zaczepki i wyjdzie, trzaskając drzwiami.

Tymczasem ona w milczeniu się pakowała. Tak, jakby rzeczywiście miała zamiar się wyprowadzić.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Bo się wyprowadzam. – Podniosła błękitny sweter i przyglądała mu się krytycznie.

Naprawdę chciała się dzisiaj pokłócić. Pewnie będzie miała miesiączkę.

– Rozumiem, chcesz porozmawiać. Ale w tej chwili jestem zajęty, bo robię coś ważnego. Jutro wybory. Muszę być przygotowany zarówno na sukces, jak i na porażkę. Bez względu na wynik, odpowiednie słowa...

– Jasne, rozumiem. – Wrzuciła sweter byle jak do szafy. Wyjęła inny, szary. – Twoja mama zgodziła się, żebym zatrzymała się u niej do czasu, aż znajdę coś odpowiedniego dla siebie i dzieci. Jest więc szansa, że się zobaczymy...

W tej chwili do Krzysztofa dotarło, że sytuacja może wyglądać inaczej, niż on to widzi.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Odchodzę.

Ton, jakim wypowiedziała to słowo, nie pozostawiał wątpliwości.

– Ty mówisz poważnie? – A jednak nie mógł uwierzyć. Popatrzyła mu w oczy, skinęła głową i włożyła szary sweter do torby.

- Nie możesz mi tego zrobić. Nie w takiej chwili.
- Nie działałam przeciwko tobie i mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz.

Zrozumiesz? Narastała w nim wściekłość. To nie powinno było się dziać. Miał siedzieć i pisać dobre przemówienie. Miał się zrelaksować, żeby jutro wyglądać na kogoś zadowolonego. Powinien założyć skórę nosorożca, która ochroniłaby go przed bolesnym ciosem porażki. Rozmowy z żoną o jej odejściu nie było w planach.

- Wy tłumaczysz, o co ci chodzi?

Madzia nie powstrzymała się od przypomnienia, że nie był zainteresowany rozmową.

– Nasz związek od początku nie był udany. Zabrnęliśmy w niego dalej, niż powinniśmy. Nie ma sensu tego ciągnąć. Dlatego zdecydowałam, że odchodzę.

- Ja nie mam nic do powiedzenia? A dzieci? Pomyślałaś o nich?

– Robię to również dla dzieci.

– Myślałby kto – warknął Krzysztof.

– Żebyś wiedział! Nasza córka wygląda jak sygnalizator świetlny. Jak myślisz, dlaczego?

- Jako ojciec nie mam sobie nic do zarzucenia.

– A jako mąż?

– Staram się. Taką mam pracę. Muszę...

– Czy twoja praca obejmuje również seks w hotelach?

– Więc o to ci chodzi?

– O nic mi nie chodzi. Ty nie jesteś święty, ja nie jestem. To by się nie działo, gdyby nasz związek działał, jak należy.

Krzysztof poczuł, jak w jego gardle pojawia się i rośnie okropna gula.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie jesteś święta? Zdradziłaś mnie? – To pytanie wydało mu się absurdalne. W napięciu czekał, aż zaprzeczy. Wyrzuci mu, że przyłożył do nich jednakową miarę. Bo jej chodziło o coś innego, bo ma wady jak każdy człowiek i... Żadne z tych słów nie padło. Madzia zasunęła zamek.

- Z kim?

Przełożyła pasek torby przez ramię.

– To nie ma znaczenia. – I ruszyła w kierunku wyjścia.

Stał między nią a drzwiami.

– Musisz mi powiedzieć.

Westchnęła.

– Artur.

To był moment, w którym los wymierzył Krzysztofowi najboleśniejszy policzek.

– Żartujesz? – zapytał, choć dobrze wiedział, że nie. Nawet nie odpowiedziała. Minęła go, poszła do przedpokoju, tam położyła torbę. Potem weszła do łazienki, słyszał, jak o szklaną półkę pod lustrem stuknął słoiczek z kremem. Poszedł za nią. Usiadł na brzegu wanny i powoli jak dziecku tłumaczył, że to nie miłość, że Artur jest młodszy, że nic z tego nie będzie. On, Krzysztof, jest jej w stanie wybaczyć. Rozumie, że nie był dobrym mężem, ale ona też powinna mieć odrobinę zrozumienia, bo wszystko, co robił, robił też dla nich. Kiedy skończył, spojrzał na Madzię. Na te jej wielkie ciemne oczy, na



włosy, łagodną falą spływające na ramiona. Była taka drobna i delikatna. W tej chwili w jej oczach było tyle smutku. Poczul żal do siebie, że ją zaniedbał i doprowadził do tej sytuacji. Chciał wstać, przytulić i powiedzieć, że teraz będzie już dobrze, zapomną o wszystkim i zaczną od nowa.

W tej chwili Madzia się uśmiechnęła.

– Nie rozumiesz. Ja nie chcę być z tobą ani chwili dłużej. – Wyszła do przedpokoju.

– On cię nie kocha! Zostawi cię! – rzucił desperacko.

– Trudno – powiedziała, a w jej głosie słycać było śmiech. – Wtedy spróbuję jeszcze raz. Nie można mieć w życiu samych nieudanych związków.

Zaszurały buty, a potem trzasnęły drzwi. Madzia wyszła z mieszkania. Wyszła z życia męża, by spróbować budować przyszłość z kimś innym.

Bez względu na wynik jutrzejszych wyborów Krzysztof Janicki właśnie przegrał.

Jarek położył na stole kartkę i długopis. Jak w puszczanym w zwolnionym tempie filmie, tak powolne były jego ruchy. Im bardziej ślimaczył, tym bardziej niecierpliwił się aresztowany. Emocje, co dobrze wiedział policjant, zmieniają człowieka. Wpływają na jego osąd, odbijają się na twarzy. Jeszcze dwie godziny temu ten człowiek patrzył na niego z uśmiechem zatwardziałego przestępcy. Wiedział, że niewiele na niego mają. Łapówkarstwo? Przymyt? Korupcja? W najgorszym wypadku musiałby wydać trochę pieniędzy na adwokatów.

I nagle wszystko się zmieniło, stawka wzrosła. Emocje wzięły w nim górę nad rozsądkiem. Nowak zaś umiejętnie je podgrzewał, świadom, że kiedy osiągną moment wrzenia, nic już ich nie powstrzyma. Wolatow eksploduje informacjami. A o to właśnie chodziło.

– Czy możemy już zacząć? – przynaglił aresztowany, a prawy kącik ust policjanta powędrował delikatnie do góry. Jak na człowieka, który regularnie dostarczał swojemu mózgowi sporych dawek endorfin, Jarek uśmiechał się bardzo rzadko.

– Jeśli jest pan gotowy. – Poprawił kartkę i z zainteresowaniem studiował logo na długopisie. – Słucham.

– Dziewczynę ochronicie?

– Na tym polega nasza praca, żeby chronić ludzi przed przestępcami.

Zjadliwy ton tej wypowiedzi nie wydawał się robić wrażenia na Wolatowie.

– Ona się do mnie włamała i ukradła dokumenty. Ja byłem zły. To nie były nawet ważne rzeczy...

– Widziałem te dokumenty – przerwał Nowak. – Chciałbym, żeby mi pan wyjaśnił udział w zabójstwie Andrzeja Musiała.

– A kto on?

Nowak popatrzył na przesłuchiwanego. To pytanie podyktowane było szczerą niewiedzą.

– Ten zabity w urzędzie.

– To mój człowiek do niego strzelił. Przypadek. Nie miał zabić.

No i nie zabił – pomyślał Nowak. Głośno tego nie powiedział, bo po co Ruskiemu ta wiedza. – Co tam się stało?

– Miał podrzucić zdjęcia temu młodemu zastępcy.

- Skąd mieliście te zdjęcia?
- Zrobiliśmy trochę wcześniej. Chodziło o szantaż.
- Ty go szantażowałaś?
- Nie. Ktoś chciał, żeby młody wycofał się z wyborów.
- Dlaczego?
- Władza jest jak dobra wódka. Jak kto się rozsmakuje, trudno mu przestać pić.
- Tobie zasmakowała?

– Ja nie miałem władzy, ja miałem korzyści. Pozwolenia na biznes, informacje o kontrolach, ot takie sprawy. Jakby został burmistrzem, zobaczyłby więcej, niż należało. Nikt tego nie chciał. No i jeszcze ta sprawa z jego ojcem. Parę lat temu potrzebował pieniędzy. Chorował, a to kosztuje. Przyszedł do mnie z propozycją. Ja wcześniej byłem zwykły złodziej samochodowy... No, jakby kto się zainteresował nowym burmistrzem, mógłby się dowiedzieć i o jego ojcu. A na co mnie taki kłopot?

– Kłopoty cię nie ominą. Pójdiesz siedzieć. Od ciebie zależy na jak długo. Za przestępstwa gospodarcze czy przemyt siedzi się krócej niż za zabójstwo.

Siergiej przeciągnął dłonią po swojej, bardzo teraz starej i zmęczonej, twarzy.

– Daj mnie telefon. Powiem mu, on mnie posłucha.

Nowak wyjął komórkę i przesunął po stole w kierunku Wolatowa. Ten rzucił się na urządzenie, jak wygłodniały pies na ochłap. Wstukał numer. Czekał w napięciu. Nic. Zaklął. Spróbował ponownie. W napięciu zaciskał szczęki.

– Nie odbiera – stwierdził Nowak i wyciągnął rękę po telefon.

– Jeszcze jedna próba – zaskomlał Siergiej.

Wstukał numer powoli, z rozmysłem. Czekał. Nagle na jego twarzy odmalowała się bezgraniczna ulga.

– Miszka, to ja. *Wsio w pariadkie*. Ty Iwana znajdź. Powiedz mu, że nieaktualne. Dziewczyna... jej nic nie może się stać. *Pania!*? To rozkaz. Nic nie może się jej stać.

Oddał Nowakowi telefon.

– Dziękuję.

Policjant kiwnął głową, wstał i wyszedł.

– Zlokalizujcie dwa ostatnie numery – zwrócił się do Suwały, podając mu swój telefon.

*Teraz*

Miszka kilkakrotnie próbował dodzwonić się do Iwana, bezskutecznie. Szukał go też bez rezultatu. W willi kręcili się policjanci, pod domem Janickich też. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Iwan znajdzie sposób, by ją dopaść. A swoją drogą, to mógłby się ten Siergiej Iwanowicz zdecydować – zabić, nie zabić. Miał nadzieję, że jeśli będzie się trzymał w pobliżu dziewczyny, to zdąży zauważyć Iwana, zanim ten do niej dotrze. Albo zanim do niego samego dotrze policja, bo wtedy nie pomoże ani jej, ani sobie.

Krażył niespokojnie, przyczajał się, obserwował.

Burmistrz stał oparty o parapet w swoim gabinecie i obserwował mieszkańców w drodze powrotnej z kościoła wchodzących do urzędu, by spełnić swój obywatelski obowiązek. Od lat w sali obrad na parterze był lokal wyborczy.

Denerwował się. Nie chciał być dzisiaj w domu. Wolał siedzieć tu, w gabinecie.

Rozległo się pukanie i nim zdążył powiedzieć „proszę”, drzwi się otworzyły. Wchodzący nie musiał machać legitymacją służbową, burmistrz wiedział, kim on jest.

– Możemy porozmawiać? – zapytał Nowak z charakterystyczną dla siebie uprzejmością.

Burmistrz wskazał mu krzesło dla petentów, sam usiadł za biurkiem.

– Czy znowu chodzi o Janickiego? – zapytał obojętnie.

Nowak lekko skrzywił głowę. Mogło to oznaczać zarówno tak, jak i nie.

– Moglibyście się zdecydować. Co zrobicie, jak go wybiorą, a okaże się winny? Trzeba będzie nowych wyborów, a to kosztuje.

– Mógłby mi pan jeszcze raz opowiedzieć o popołudniu trzynastego?

– Wyszedłem z urzędu, pojechałem na spotkanie Krzyśka.

– Trochę dokładniej?

– To było dwa tygodnie temu. Ma pan to w aktach i pewnie wie lepiej ode mnie. – Roześmiał się, żeby trochę rozluźnić atmosferę. Nie przepadał za tym policjantem.

– Tak, mam pana zeznanie. A także zeznanie Siergieja Wolatowa, który twierdzi, że był pan u niego.

– Wolatow? – Burmistrz podniósł brwi. – Nie kojarzę.

– Bądźmy poważni – powiedział Nowak takim tonem, że na sprzętach pojawiła się warstewka szronu.

– Kiedy ja naprawdę... – chciał skłamać, ale spojrzenie tamtego mu nie pozwoliło. – Tak, byłem u niego. Ale to ten młody Ruski zabił Andrzeja. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Ten Ruski, konkretnie Michaił Iwanowicz Serafin, był w gabinecie Krzysztofa Janickiego. I użył broni. Wystrzelił trzy razy. Jedna kula utkwiała w ścianie, dwie w Andrzeju Musiale.

– No widzi pan. Moja wina polega tylko na tym, że przypadkowo byłem u Wolatowa.

– Czyli że pan już go sobie przypomniał?

– Z wami, policjantami to zawsze ciężka rozmowa. Łapiecie za słówka.

– Łapiemy przestępców. Takich jak pan, panie burmistrzu.

– Wypraszam sobie! – Oburzenie nie wypadło zbyt naturalnie, wiadomo – nerwy.

A jednak Nowak powiedział: – Przepraszam. Ma pan rację. – A po chwili dodał: – Nie mnie to osądzać, tylko sędziom. Ja mam tylko dostarczyć dowody.

– Na co dowody?

– Zabójstwo Andrzeja Musiała.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. To nie moja wina.

– Śmierć, która nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, to zawsze jest czyjaś wina. To jak, opowie mi pan, co się wydarzyło, czy ja mam to zrobić?

Burmistrz milczał, kalkulował, ile będzie go kosztowało powiedzenie prawdy. W końcu zdał sobie sprawę, że przed nią nie ucieknie. Westchnął.

– Nosić nazwisko Janicki w tym mieście to już sukces. Po wojnie Janicki był planistą. Miał wyobraźnię, wizję. To dzięki niemu jesteśmy jednym z najpiękniejszych

miast Dolnego Śląska. Jego syn został dyrektorem szkoły, ludzie do dziś dobrze go wspominają. Barbara Janicka jest lekarzem i ma mnóstwo wdzięcznych pacjentów. A tu syn postanawia startować w wyborach. I wielu ludzi nie głosuje na niego, tylko na ojca, matkę albo na dziadka. Na dodatek Musiał mało się nie zesrał, żeby chłopakowi pomóc. Wiedziałem, że jak się pojawi na tym spotkaniu z przedsiębiorcami, to koniec. Urobiłby ich. Krzysiek był na to za głupi, ale Andrzej dałby radę – prośbą, groźbą. On na każdego miał albo sposób, albo haka. No to pomyślałem sobie, że mu przeszkodzę. Zaprosiłem go tutaj.

– Co mu pan podał?

– Wypiliśmy trochę...

– Pytam, co było w szklance?

– Coś na mocny sen. Miałem mu na drugi dzień powiedzieć, że się spił. Wcześniej dałem te zdjęcia Wolatowowi, chodziło o szantaż. Chcieliśmy zachęcić Janickiego, żeby się wycofał. Miałem jechać na spotkanie, Andrzej miał zostać w moim gabinecie. I nagle przyszła mi do głowy taka myśl, że może go przenieść do pokoju Krzyśka. Obudzi się, znajdzie zdjęcia. A jeśli nie wstanie do rana, to Krzysiek znajdzie i jego, i zdjęcia. Co by się nie stało, wygrałbym. Tylko że ten młody Ruski wszystko popsuł.

Nowak pokiwał głową.

– Moja babcia mawiała, że niewinna krew wypłynie. Gdyby nie chciał pan być taki sprytny, wszystko potoczyłoby się inaczej. Musiał chorował na serce. Bardzo poważnie. Jego śmierć w gabinecie Janickiego nikogo by nie zdziwiła. Ot, przyszedł pogadać i zmarł. Lekarz by to zakwalifikował jako przyczynę naturalną i koniec. Ale kula to zupełnie inna sprawa. Są kule, są policjanci. Nie darmo mówią na nas psy. Lubimy węszyć.

– To ten młody Rusek od Siergieja, to on zastrzelił Musiała. Powiem wszystko, co o nim wiem.

– Widzi pan, żadna z kul Serafina nie była śmiertelna. Śmiem twierdzić, że Andrzej Musiał po tych trafieniach mógłby sam wstać i pójść na pogotowie. Gdyby oczywiście mógł chodzić. Gdyby był żywy...

Do burmistrza powoli docierał sens właśnie usłyszanych słów.

– Nie chciałem go zabić... To przypadek...

– Coś panu powiem. Parę lat pracuję w tym zawodzie i to na ogół jest przypadek. Zasiedzi się facet z kolegami, wypije parę głębszych, wraca do domu i już od progu słyszy jazgot. Denerwuje go to, więc przypadkowo łapie za nóż, a ona przypadkowo stoi za blisko i zupełnie przypadkiem się na ten nóż nadziewa.

– To nie było tak. Ja nie chciałem...

– Nie oszukujmy się, pana intencje nie były czyste.

– Co teraz ze mną będzie?

– To już nie moja sprawa. Wiem jedno – o wynik wyborów nie musi się pan martwić.

Nowak wyszedł z budynku. Zapalił papierosa. Zaciągnął się raz, potem ugryzł filtr. Smak mięty rozlał się po języku. „Jak impreza w ogródku” – pomyślał. Camille takie lubił. Ukochany nie nadawał życiu sensu, ale koloru, smaku, zapachu. Z nim wszystko

było takie intensywne, takie inne. A tu? Nuda. Zaciągnął się po raz ostatni, już miał rzucić niedopałek na ziemię, ale przypomniał sobie pana Kazia i rozejrzał się za koszem na śmieci.

Pewną satysfakcją sprawiała mu myśl, że miał rację. Zabójca nie był przebiegłym i diabelnie inteligentnym intrygantem, tylko zwykłym głupcem, któremu sprawy wymknęły się spod kontroli. Na dodatek miał pecha, bo gdyby go nie kusilo, żeby pogrążyć Janickiego, wyszedłby ze sprawy cało.

Za to stróże prawa mieli szczęście. Bez głupoty burmistrza ruska mafia pewnie jeszcze długo działałaby pod samym ich nosem, szmuglując na zachód papierosy, wódkę, narkotyki i co tam jeszcze się dało wcisnąć między kolorowe cegły.

Ta niedziela wyglądała inaczej niż zwykle. Do kościoła pojechały tylko Barbara i Jadwiga. Kiedy wróciły, starsza pani sprawiała wrażenie osoby, na której obecność policjanta na chodniku przed domem nie robi wrażenia. Barbara czuła emocjonalne tornado w swoim wnętrzu. Człowiek, którego kiedyś tak szaleńczo kochała, o którym nie potrafiła zapomnieć, był przestępcą, uzurpującym sobie prawo do decydowania o czyimś życiu lub śmierci. I teraz Ludmiła jest w niebezpieczeństwie, wszyscy są, bo zabójca jest ciągle na wolności. Widziała jego zdjęcie i tym bardziej nerwowo rozglądała się wokół siebie. Nie miała ochoty jeść obiadu, denerwowały ją wnuki i teść. Podchodziła do okna, obserwowała ulicę. A co jeśli on ma jeden z tych karabinów, które pokazują w filmach?

– Usiądź, mamó – poprosiła Ludmiła. – Tylko nas wszystkich jeszcze bardziej denerwujesz.

– Boję się.

– Wszyscy się boją. – Głos Ludmiły był spokojny, kojący. Barbara wiedziała już, jak dzielne były dziewczynki. Duma z dzieci potęgowała miłość, a ta strach. Bo im bardziej kogoś kochasz, tym bardziej się o niego boisz. Oddałaby za nie życie, gdy tymczasem Siergiej... Nie mogła tego zrozumieć

– Jakim okrutnym człowiekiem trzeba być, żeby kazać zabić własne dziecko...

Powietrze zastygło i Barbara zdała sobie sprawę, że to, co miało być tylko myślą, zostało wypowiedziane.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałam ci tego mówić. – Rzuciła się ku córce, by ją przytulić, ale niewidzialny mur już stał między nimi.

– Ukrywałam to przed wszystkimi przez lata i nie miałyście się nigdy dowiedzieć. Znałam tego człowieka dawno temu, kiedy był kimś innym. I kiedy ja byłam kimś innym. To, co się stało...

– Mnie nie interesuje – ucięła Ludmiła. – Nie mogłaś tą wiedzą obarczyć Izy? Co ja jestem? Skrzyńka na złe wiadomości?

I zanim Barbara zdołała cokolwiek zrobić, już jej nie było.

– Jeśli coś jej się stanie... Powinna była powiedzieć, jak bardzo ją kocham...

Ludmiła wybiegła z domu, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Nie chciała ani chwili dłużej przebywać pod jednym dachem z matką. Jak ona mogła? Przypomniały jej się oczy Wolatowa. Ten psychopata o spojrzeniu zimnym jak Syberia nie mógł być jej ojcem. Tato był dobrym człowiekiem, nosił ją na rękach, wspierał, zabierał na ryby. Kochał ją i na szczęście umarł, zanim się dowiedział. Bo to, co powiedziała matka, było

prawdą. To było jak klucz, który sprawił, że wszystko wokół nabrało sensu, nawet to jej durne imię.

Bogdana zaskoczyło pukanie do drzwi. Na progu stała Ludmiła. Wyglądała jak burza z piorunami i miał nadzieję, że to nie on jest przyczyną tego stanu.

– Powinnaś być w domu, tam jesteś bezpieczna.

– A tu nie?

– Tu też. Wejdz.

– Masz jakąś wódkę? – zapytała już w salonie. Nie usiadła na kanapie, choć proponował. Chodziła po pokoju, jak dziki kot po klatce.

W lodówce miał rozpoczęte pół litra, wspomnienie imprezy powitalnej. Ludmiła wzięła kieliszek, wypila duszkiem, wstrząsnęła się i otarła usta ręką.

– Jesteś na mnie zły?

– Miałyście być w domu...

Nadstawiła kieliszek.

– Nie o to pytam. Czy o tę całą szaradę jesteś zły?

Przez chwilę się zastanawiał, ale nie nad tym, czy jest zły, tylko nad tym, czy jeśli ona się upije, to lepiej, by została u niego, czy odwieźć ją do domu.

– Chyba już nie.

– Ja jestem. Jestem wściekła na mamę, na ciebie, na Izę. Na siebie też jestem zła. A przecież nie ma w tym mojej winy, nie wiedziałam...

Podszedł i przytulił ją. Bardziej, by powstrzymać przed dalszym piciem, niż dlatego, żeby chciał jej przyznać rację.

– Wierzysz mi?

– Nie wiedziałaś...

– A jednak jesteś na mnie zły?

Już sama rozmowa z kobietą jest sprawą trudną. Rozmowa z lekko wstawioną kobietą przekracza możliwości przeciętnego faceta. Dlatego Bogdan postanowił ją zakończyć, a jedyny sposób, jaki przyszedł mu do głowy, to zamknięcie dziewczynie ust. Może to ją przekona, że nie jest zły?

Nie przekonało. Seks nie był dobrym pomysłem. Zbyt wiele emocji w nich było. Niewerbalnie wyrażali swój gniew i strach, a w tym koktajlu mało było miejsca na czułość.

Bogdan czuł się tak wyczerpany, jakby stoczył walkę. – Nie jestem na ciebie zły – powtórzył i może teraz to już była prawda. Potem zasnął.

Ludmiła patrzyła na jego powoli opadające powieki, słuchała, jak wyrównuje mu się oddech. Potem poszła do łazienki. Strumień gorącej wody sprawił jej większą przyjemność niż dotyk kochanka.

– Dokąd to wszystko zmierza? – zapytała swojego odbicia w lustrze. Zniekształcona parą wodną twarz nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko ironicznie.

Ty i ja. To mogła być taka piękna historia – myślała dziewczyna, a wyszło jak zwykle. Chciałabym, żebyś mnie kochał, a nie wiem, czy jestem tu dlatego, że ci zależy, czy dlatego, że nie masz wyboru, bo Iza jest z kimś innym. Pogmatwane to. I jeszcze mama...

Wszystko było tak bolesne, że nawet nie chciała o tym myśleć. I nagle to miejsce, to, co przed chwilą robiła, wydało jej się tak absurdalne, że zapragnęła natychmiast stąd wyjść.

Pochyliła się nad śpiącym mężczyzną.

– Czy coś, co źle się zaczyna, może się skończyć dobrze? – zapytała. Westchnął przez sen, na inną odpowiedź nie mogła w tej chwili liczyć. – Mimo wszystko myśl o mnie. – I pocałowała go w czoło.

Pochyliła się, żeby zebrać swoje rzeczy z podłogi, i łokciem zawadziła o niedosuniętą szufladę nocnej szafki. Rozcierając bolące miejsce, odruchowo wysunęła szufladę, by ją poprawić. W tym momencie jej wzrok padł na rękojeść pistoletu. Nie powinno jej tu być, pomyślała, patrząc na broń. Dobrze, że jej nie znalazł, znów miałby pretensje, że czegoś mu nie powiedziałam. Włożyła pistolet do torebki i cicho wymknęła się z mieszkania.

Na ulicy owiał ją podmuch zimnego powietrza. To był jeden z tych kwietniowych dni, kiedy w pogodowej plecionce przeważa zima. A jednak na ulicy było sporo osób. Obok niej przeszło dwóch starszych panów, dyskutowali z wielkim zaangażowaniem. Ludmiła nie słuchała, do momentu, gdy padło jej nazwisko. Wtedy zdała sobie sprawę, o czym mówią. Jak mogła zapomnieć?! Pójdzie oddać głos na brata, zanim wróci do domu.

Wyszła z lokalu wyborczego i na chwilę się zatrzymała. Zamek od torebki nie chciał się zasunąć, bo między ząbkami znalazła się podszywka. Nareszcie! Wyprostowała się i nagle... Wiedziała, że mężczyzna, którego zobaczyła, też ją namierzył. Teraz znikł z pola widzenia, ale Ludmiła czuła jego obecność. Coś jej mówiło, że niebezpieczeństwo jest tuż za nią. Zbliżyło się. Czuła, jak wyciąga po nią macki.

Ruszyła, raz po raz spoglądając za siebie. Wśród idących ulicą ludzi znowu mignęła jej twarz Iwana. Serce dziewczyny na chwilę się zatrzymało. Przyśpieszyła, miała nadzieję, że go zgubi. Nagle ulica prawie opustoszała. Ludmiła zdała sobie sprawę, gdzie jest. Jeśli będzie dalej szła prosto, za chwilę trafi w okolice cmentarza, a tam mało ludzi. Skręciła w boczną uliczkę, żeby jak najszybciej dotrzeć do ruchliwej części miasta.

Chwilę później usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się. W oddali zamajaczyła męska postać. Nerwowo próbowała namacać w torebce telefon. Byłoby łatwiej, gdyby się zatrzymała, ale nie mogła, wiedziała, że musi uciekać.

Przez to szperanie w torebce zbłądziła. Znalazła się na całkowicie pustej ulicy.

Zmierzchało. Aksamitna szarość powoli spowijała ulice miasta i coraz trudniej było cokolwiek dostrzec. Zwłaszcza tu, w dawnej przemysłowej dzielnicy, między opuszczonymi halami zakładów tkackich.

Panującą wokół ciszę przerwał odgłos kroków. O wyłożoną kocimi łbami ulicę stukwały obcasy. Ludmiła biegła najszybciej, jak mogła, a i tak za wolno. Czuła, że prześladowca jest tuż za nią. Może dlatego skręciła w złą ulicę. Już po kilku krokach zorientowała się, że popełniła błąd. Tam, gdzie spodziewała się zobaczyć wyjście, stała wysoka na ponad trzy metry ściana ozdobiona graffiti o wątpliwej wartości artystycznej. Dziewczyna chciała zawrócić, ale w tej chwili w uliczkę wbiegł Iwan. Podeszła do ściany i oparła się o nią plecami. Zaczęła nerwowo grzebać w torebce. Szminka, portfel,

grzebień.

– Kurwa! – zaklęła.

Wreszcie jej palce natrafiły na metal. Wyjęła pistolet, jej ręka drżała. Odbezpieczyła.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła. Na mężczyźnie nie zrobiło to wrażenia. Szedł ku niej pewny siebie i zadowolony. Jak drapieznik, który wie, że ofiara już mu nie ucieknie.

– Stój! – krzyknęła Ludmiła raz jeszcze, ale zagłuszył ją huk wystrzału.

Popatrzył na nią zdziwiony. Zrobił jeszcze trzy kroki, a potem zwałił się na ziemię.

W tej chwili w zaułek wbiegł Misza. Stał. Rozejrzał się, szybko oceniając sytuację. Podniósł ręce, chciał ją zapewnić, że nie ma złych zamiarów. Powoli podszedł do kobiety i z zaciekawieniem patrzył na jej trzęsące się ręce.

– Zabiłam...

Leżący na ziemi jęknął głucho.

– Widać jeszcze nie. Dobij go. Inaczej będziesz musiała całe życie uciekać.

Ludmiła gwałtownie potrząsnęła głową. Pistolet wysunął się z jej palców i upadł na ziemię. Wolnym krokiem ruszyła przed siebie.

Nie doszła jeszcze do wyjścia z zaułka, kiedy padł drugi strzał. Zatrzymała się, nie mając odwagi się odwrócić. Bała się, że kolejna kula będzie przeznaczona dla niej.

– *Koniec* – krzyknął Misza. – *Ty użę swobodna.*

Kiedy do jej skołatanego mózgu dotarł sens tych słów, poczuła, jakby ktoś pozbawił ją władzy nad ciałem. Napięcie opadło, a ona sama była jak szmaciana lalka. Sił starczyło jej na tyle, by oprzeć się o ścianę najbliższego budynku.

Miszka podszedł do niej i podsunął paczkę papierosów.

– Nie palę.

– Dziś zapal. Dobrze ci to zrobi.

Posłusznie wzięła papierosa. Patrzyła na rozżarzony koniec, jakby nic poza nim nie istniało.

– Skąd się tu wzięłeś?

Przez chwilę rozważał, czy jej powiedzieć. Może Siergiej by nie chciał? To ich sprawy.

– Przypadek. Teraz ty wolna – powtórzył.

– Nie na długo. Pójdę do więzienia.

Roześmiał się.

– A za co?

– Zabiłam go.

– Ty raniła, ja zakończył.

– To nic nie zmienia.

– To wszystko zmienia. Jemu Siergiej kazał zostawić ciebie w spokoju, a on nie zostawił. Bo ty winna temu, co spotkało szefa. On by cię zabił. Nie dziś, to jutro. Dla zasady, *ponimajesz?*

Kiwnęła głową.

– Wróć do domu, do dziecka. Zapomnij, co tu się stało. Jakby co, mów, że to ja.

– Uciekniesz?



– Siergieja już nie ma, interesu nie ma. Co mnie tu robić? Pojadę do Ameryki.

Przerwał na chwilę, zamyślił się.

– Pamiętasz, jak ty pytała, czy ja *szczęśliwy*? Teraz tak. A ty idź do domu, nie ma co tu stać, jeszcze nas kto zobaczy.

I ruszył w aksamitną szarość. Przez chwilę widziała zarys jego sylwetki, jeszcze przez chwilę słyszała jego kroki. A potem już nic, jakby nikogo z nią nie było.

Ludmiła zaciągnęła się po raz ostatni. Powstrzymała się przed rzuceniem peta na ziemię. Przecież mnie tu nie było, pomyślała. Chociaż... tak czy owak, musiała z nim porozmawiać. To dziwne, ale zaczynała z sympatią myśleć o starszym aspirancie Jarosławie Nowaku. Zyskiwał przy bliższym poznaniu.

Ludmiła, wróciwszy z komendy, odmówiła jakichkolwiek rozmów. Oświadczyła, że jest zmęczona i idzie spać. Iza przyjęła to ze zrozumieniem, ale Barbara chciała porozmawiać z córką. Miała wyrzuty sumienia i czuła, że musi się jakoś usprawiedliwić.

Leżąc w łóżku, przewracała się z boku na bok.

– Dlaczego jej powiedziałam? – zastanawiała się.

W końcu postanowiła stłumić koniakiem emocje, które nie pozwalały jej zasnąć. Otworzyła barek. Bursztynowy płyn ledwo zakrywał dno. Widać Madzia potrzebowała większej dawki. Biedna dziewczyna, co ona teraz robi? Barbara miała nadzieję, że pójdzie za głosem serca. To dziwne, ale wiarołomna synowa wydawała jej się teraz najbliższą osobą na świecie. Tak dobrze ją rozumiała – Krzysztof był taki sam jak Jurek, interesowało go wszystko, tylko nie rodzina. To wina Jadwigi, która skupiona na swojej wielkiej miłości do męża, nie potrafiła nawiązać normalnych relacji z dziećmi. Jeśli były najedzone, to znaczy, że były szczęśliwe. Wprowadzając się do tego domu, Barbara zgodziła się na taki układ. I teraz Krzyś, Madzia i dziewczynki są przez nią nieszczęśliwi. Mogła postąpić inaczej. Usiadła na fotelu stojącym pod oknem i, sącząc koniak, wróciła myślami do wydarzeń sprzed trzydziestu lat.

Po urodzeniu Krzysia poszła na urlop macierzyński, bo to wydawało jej się słuszne. W tym czasie na jej miejsce przyjęto kogoś innego.

– Możemy pani zaproponować albo etat w przychodni, albo szpital. W Legnicy potrzebują lekarzy na izbę przyjęć – usłyszała, gdy szukała nowego stanowiska.

Po chwili zastanowienia wybrała Legnicę. Półgodzinny dojazd pekaesem przerażał, z drugiej strony to był szpital, możliwość rozwoju zawodowego, którego przychodnia nie zapewni.

Zimą przeklinała swoją decyzję. Marzły jej stopy, gdy przez śnieg szła na przystanek, bała się, że autobus się spóźni, utknie w zaspie, nie dojedzie. A potem przyszła wiosna i było dużo lepiej.

W jeden z majowych dni, tych tak pięknych, że aż serce boli, siedziała w gabinecie i piła herbatę. Granulki, po raz trzeci zalewane, nie dawały już aromatu ani smaku, ale nie miało to dla niej znaczenia.

– Pani doktor, do izby przyjęć proszę, wypadek – zawołała ją pielęgniarka.

Barbara odstawiła szklankę, to był ten moment, w którym jej życie rozpadało się na dwie części – tę, kiedy myślała, że jest szczęśliwa, i tę, kiedy rozumiała, że szczęśliwa już nigdy nie będzie.

Idąc korytarzem, sądziła, że wypadek oznacza dziecko, które złamało rękę. Na wysokim szpitalnym łóżku leżał zmasakrowany chłopak w mundurze.

– Co się stało? – zapytała.

– Wpadł pod samochód.

Zdziwiła się. Na ulicach było wtedy tak mało samochodów, że potrącenia pieszych zdarzały się rzadko.

– To Rosjanin? – zapytała sanitariusza. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Niech ktoś zadzwoni do tej ich... jednostki – poleciła, a sama zabrała się do badania. Działała szybko, automatycznie podejmowała decyzje, bo tak trzeba, gdy chodzi o ludzkie życie.

Zmywając zakrzepłą krew z twarzy chłopaka, uświadomiła sobie, jaki jest piękny. Jego uroda wywołała w jej sercu bolesny skurcz.

Kiedy pacjent był już stabilny, został przewieziony do izby chorych na terenie jednostki. Barbara starała się o nim nie myśleć.

Poczuła znów ten bolesny skurcz, gdy miesiąc później chłopak zjawił się w szpitalu z naręczem bzu.

– Chciałem podziękować.

– Piękne kwiaty.

– Kradzione, przepraszam. Jak wypłacą żołąd, kupię prawdziwe.

– Nie trzeba, te wystarczą.

Strapił się. Nie zrozumiał jej intencji. Żeby go pocieszyć, zaproponowała spacer. Kiedy rozstawali się godzinę później, myślała, że już nigdy go nie zobaczy, i to było tak smutne, tak ogromnie smutne...

Ale się zjawił i jej życie wymknęło się spod kontroli.

Otrzeźwiała dopiero po wielu cudownych tygodniach, kiedy zdała sobie sprawę, że musi podjąć decyzję. Dobrą, ale nie dla niej, tylko dla dzieci. Czas pokazał, że była to decyzja zła dla wszystkich.

*Następnego dnia*

Barbarę obudził telefon. Ze zdziwieniem stwierdziła, że tkwi w fotelu. Zasnęła nad ranem, zmęczona wspomnieniami. Spojrzała na wyświetlacz. Madzia.

– Chciałam ci powiedzieć... ja... myślałam o tym...

– Odeszłaś od Krzysia. – Barbara powiedziała to, czego synowa nie potrafiła z siebie wydusić.

– Przepraszam... – zaszlochała.

– Nie gniewam się. Jakoś to będzie. Zastanowimy się, co dalej, ale nie dziś, dobrze?

Madzia przytaknęła, a Barbara rozłączyła się bez pożegnania. Należy załatwić jedną sprawę na dzień, a dziś musi szczerze porozmawiać z córkami. Musi się im wypowiadać z grzechów młodości, zapewnić, że są najważniejsze, że je kocha. Obie tak samo mocno, choć każdą inaczej. Izę kocha za ten rozsądek i spokój, za mądrość i dystans do wszystkiego, a Ludmiłę za to, że była tak podobna do swojego ojca.

Ludmiła leżała na łóżku. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i nadał złotego blasku twarzy, w którą się wpatrywała. Jej i jednocześnie nie jej twarzy, na którą

po raz pierwszy od dawna patrzyła z czułością.

– Jak się z tym wszystkim czujesz? – zapytała Iza.

– Dziwnie.

Iza skinęła głową, przypomniało jej się, jak kiedyś nie wezwali na czas szambiaraki. Ekskrementy z przepełnionego zbiornika wylały i były wszędzie. Widocznie zbiornik, w którym gromadził się rodzinny syf, też już nie mógł więcej pomieścić.

– Szambo. – Ulubione powiedzenie bratanicy zyskało sens.

– Dobrze, że ojciec tego nie dożył.

– Myślisz, że nie wiedział?

– Nie poszedłby do Wolatowa ze swoją propozycją, gdyby wiedział o tym, co łączyło go z mamą.

– Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego tato to zrobił. Przecież był uczciwym człowiekiem.

– Choroba zmienia ludzi. Wiesz, ja ciągle za nim tęsknię – wyznała Ludmiła, a Iza w odpowiedzi mocno ścisnęła jej dłoń i, żeby zmienić temat, zapytała:

– Co będzie z tobą i Bogdanem?

– Nic. – Ludmiła udała, że nie widzi pytającego spojrzenia Izy, ale ta nie zamierzała odpuścić.

– Jak to nic? To świetny facet.

Ludmiła milczała.

– Ciągle mam wrażenie, że w tym związku jest nas troje. Ty... Wydaje mi się, że jesteś mu bliższa i...

– Nie ukrywam, że Bogdan mi się podoba i że świetnie całuje. I w innym życiu, kto wie. W tym, które mam, jestem w ciąży z wieloletnim narzeczonym. Chciałam od niego odejść, a nawet chciałam... Wiesz, kiedy siedzisz w wielkiej hali, ktoś wymachuje ci pistoletem nad głową i myślisz, że umrzesz, nagle rzeczy ważne okazują się nieistotne i dostrzegasz to, co naprawdę ma sens. Urodzę to dziecko i postaram się, żebyśmy razem z Pawłem stworzyli mu dom. Może nam się to nie udać, ale przynajmniej spróbujemy. Zresztą Bogdan do mnie nie pasuje. – Roześmiała się. – Za to idealnie pasuje do ciebie.

Ludmiła wymierzyła jej za te słowa delikatnego kuksańca.

– Zawsze ci zazdrościłam tego spokoju – wyznała, tuląc Izę.

– Masz w sobie tyle samo spokoju co ja, musisz go tylko odnaleźć. Jesteśmy jak odcisnięte tą samą sztancą, jak dwie krople wody. Tylko z całego tego dobrodziejstwa, które dała nam genetyka, każda wybrała coś innego. Ale zapewniam cię, ja mam twoją spontaniczność, a ty mój spokój. Odszukaj go, pokaż Bogdanowi, a zobaczysz, oszaleje dla ciebie. I pamiętaj o naszej obietnicy – nigdy więcej głupstw.

*Tydzień później*

Nie pamiętała drogi, trzy razy wracała na stację benzynową. W końcu znalazła właściwą. Wypowiedziała te słowa głośno: „Jesteś na właściwej drodze, Magdo” i nagle nabrały one znaczenia dobrej wróżby. W końcu co gorszego mogło ją spotkać? Porażkę w roli żony już poniosła, matką też nie była rewelacyjną. Emilka odniosła się ze zrozumieniem do rozstania rodziców, chłopcy jeszcze nie wiedzieli. Trzeba będzie ich na

to przygotować. Chciałyby zapewnić dzieciom poczucie bezpieczeństwa i spokojne, radosne dzieciństwo, a jednocześnie... jednocześnie chciała być z Arturem.

Na myśl o nim poczuła strach. Na wiecu przedwyborczym swoim zachowaniem manifestowała wybór, który wtedy padł na Krzysztofa. Nie chciała rewolucji w życiu. Tak jej się wydawało, ale natrętne myśli o przyszłości wracały. Widziała siebie na tarasie domu i widziała siebie w pustym mieszkaniu. W pierwszej wizji był z nią mężczyzna, w drugiej jej mąż odszedł z kimś innym.

A potem była rozmowa z Barbarą. „Przepraszam za niedzielę, byłam okropna. Domyśliłam się, że masz romans i w pierwszej chwili byłam na ciebie zła. Nawet nie na ciebie. Byłam zła na siebie, bo kiedyś też... Też kochałam mężczyznę, który nie był moim mężem. Wybrałam rodzinę i czasami byłam zadowolona z tego wyboru, a czasami nie. Jednak nigdy nie byłam szczęśliwa”.

Samochód Artura blokował drogę. Zaparkowała tuż za nim i rozejrzała się. Dziurawa siatka została zdjęta, wszędobylskie krzaki zamieniły się w stos. Artur z piłą w ręku ścinał niedobitki. Wyłączył urządzenie i nagle zrobiło się dziwnie cicho.

Wyjęła z bagażnika rękawice robocze. Bez słowa podeszła i zaczęła zbierać pocięte przez Artura gałęzie.

– Chciałabym, żebyś zostawił te brzozy. Można by tam postawić drewniany stół na koziolkach. Jeśli oczywiście chcesz ze mną stawiać jakiegokolwiek stoły.

Powoli odłożył piłę na ziemię, podszedł do niej, przytulił.

– Całą masę stołów – wyszeptał.

Rozryczała się. Wtuliła twarz w jego pierś, a łzy wsiąkały we flanelową koszulę.

– Myślałam, że już mnie nie chcesz.

– To ty mnie nie chciałaś.

– Przestraszyłam się, byłam głupia.

– To prawda – roześmiał się. W tym śmiechu usłyszała niezmiernie pokłady szczęścia. – To dobrze, że zmieniałaś zdanie, bo bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też. – Wspięła się na palce, by dotknąć ustami jego ust. To był bardzo długi, bardzo namiętny pocałunek.

– No dobra – powiedział, odsuwając ją od siebie. – Zabierajmy się do roboty. Sprzątniesz te gałęzie? Tak sobie myślę, że może zostawimy je na ognisko, co ty na to? Chłopakom chyba by się podobało, gdybyśmy urządzili im pieczenie kiełbasek?

– Będą zachwyceni – powiedziała bez entuzjazmu.

– A Emilka?

– Jest weganką.

– To zrobię sojowe szaszłyki.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu. Ciszę przerywał tylko warkot piły, nie słowa. Magda czuła pokusę, by powiedzieć Arturowi, że to się nie uda. Dzieci go nie zaakceptują, nie pogodzą się z rozstaniem rodziców. Nowy mężczyzna nie ma szans. Pomysł z ogniskiem jest dobry, ale może za rok, na razie...

– Mam już projekt. Na dole będzie kuchnia, jadalnia i salon w amfiladzie. Musimy kupić wielki stół. Za salonem będzie nasza sypialnia, na górze zainstalujemy dzieciaki. To nie będą jakieś duże pokoje, bo ciężko było zmieścić cztery na tej przestrzeni.

– Cztery?

– No trójka twoich i jakieś nasze, prawda?

W tym momencie Magda zrozumiała, że to, co ona początkowo brała za romans, jest prawdziwą miłością.

– Jest pani pewna? – usłyszała po raz kolejny.

– Tak, jestem.

– Pytam, bo teraz jest moda, za kilka lat nie będzie, a skóra straci jędrność. Znam wiele osób, które żałują swojej decyzji, bo jednak tatuaż to sprawa na całe życie.

– I o to chodzi – powiedziała Ludmiła. Spojrzała na rysunek lilii i z aprobatą kiwnęła głową.

– Gdzie to ma być?

Lilia? Wiadomo, na ramieniu. Taki ukłon w stronę młodzieńczych fascynacji literackich. W stronę tej części samej siebie, której chciała zaprzeczyć. Teraz już wiedziała, że nie jest grzeczną dziewczynką.

Poczuła ukłucie, kiedy igła dotknęła jej ciała.

Późnym popołudniem zjawiała się w mieszkaniu Bogdana. Umiarkowanie się ucieszył. Nie miała pretensji, wiedziała, że musi to wszystko przetrwać, niemniej byli na dobrej drodze. Nie czekając na zaproszenie, weszła do zabałaganionego salonu, rozpięła guzik bluzki i pokazała mu tatuaż. Bogdan stał dwa kroki od niej. Przyglądał się czarnym liniom na zaczerwienionej skórze.

– Nawet jakby mi głowę obcięli, to i tak bez problemów zidentyfikujesz ciało – zażartowała.

– Nie mów takich rzeczy. Bałem się o ciebie, ciągle się boję. Śledztwo w toku.

Przekaz pozawerbalny był wylewniejszy niż słowa. Bogdan podszedł do niej i, po raz pierwszy od wielu dni, przytulił naprawdę.

– Myślisz, że pójde do więzienia?

– Do więzienia? Nie. Ale na pewno będziesz miała kłopoty.

– Kłopoty to moja specjalność.

I rozpięła kolejny guzik.

*Miesiąc później*

Barbara skrupulatnie przeszukała kieszenie. Kilka monet, klucze, paczka chusteczek – wszystko trafiło do torebki, którą wcisnęła do małej szafki. Kiedy przechodziła przez wykrywacz metalu, rozległo się przeraźliwe wycie, a lampka rozgorzała czerwienią.

– A tak dokładnie sprawdzałam – zwróciła się do strażniczki. Ta uśmiechnęła się smutno i przystąpiła do rewizji.

– Czasem zamek albo guzik piszczy, muszę sprawdzić.

Kiwnęła głową i rozłożyła szeroko ręce, żeby ułatwić zadanie. Nawet przez głowę jej nie przeszło, że będzie regularnie odwiedzać więzienie. Kiedy była tu pierwszy raz, czuła strach i obrzydzenie, ale powoli się przyzwyczajała.

Rewizja wypadła pomyślnie i za bramką przejął ją strażnik. Prowadził ją długim korytarzem, przez szereg krat, otwieranych cichym buczeniem.

– Piętnaście minut, jestem za drzwiami – rzucił obojętnie. Barbara już nie próbowała prowadzić z nimi niezobowiązujących pogawędek o pogodzie, by udowodnić, że jest normalną kobietą, która znalazła się tu przypadkowo. Odwiedzała skazańca, a to znaczyło, że jakaś jej część należała do złego świata.

Usiadła naprzeciwko Siergieja.

– Jak się czujesz? – zapytała, a on skinieniem głowy dał znak, że wszystko w porządku, i zapadło milczenie. Dopiero uczyli się ze sobą rozmawiać. Nic dziwnego, byli przecież parą zupełnie obcych sobie ludzi, których trzydzieści lat temu połączyła miłość tak silna, że nie potrafili o niej zapomnieć.

– Jak dziewczynki? – zapytał.

– Dobrze. Prokurator uznał, że Ludmiła działała w obronie własnej, więc jesteśmy dobrej myśli. Iza chce jechać do narzeczonego.

– Nie zatrzymuj jej.

– Nie zamierzam. – Barbara planowała użyć wszystkich możliwych środków, by zatrzymać córkę, jednak w tym momencie uznała, że jeszcze to przemyśli.

Patrzyła z czułością na jego twarz. Zmizerniał.

– Jeśli ci czegoś potrzeba, to powiedz.

– Nie, mam wszystko.

Znowu milczenie.

– Przyjdę w przyszłym tygodniu.

– Wiesz, nie musisz tego robić.

– Nie muszę. Chcę. Nie mam nadziei na miłość czy szczęście. Jedyne, na co mogę liczyć, to bliskość z drugim człowiekiem.

Pogładził jej dłoń. – Dziękuję – szepnął. W tym momencie strażnik oznajmił koniec widzenia.

– Przyjdę w przyszłym tygodniu.

– Będę czekał.